

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 Zł (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 3 (318) • ROK XXVIII • MARZEC 2022



FATUM WOJNY
WIELKANOCNE NADZIEJE

ISSN 1425-3917



9 771425 391707

W związku ze zbliżającymi się

Świątami Wielkiejnocy

niosącymi wiarę w wieczną radość i miłość, przynoszącymi nadzieję na odrodzenie otaczającego nas świata w pokoju, prawdzie i pięknie, składamy w tych burzliwych czasach wszystkim członkom Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, współpracownikom i autorom miesięcznika „Śląsk”, wiernym czytelnikom i prenumeratorom, naszym przyjaciółom i sympatykom składamy życzenia zdrowia, pokoju i radości z okazji Świąt Wielkanocnych.

Wszystkiego dobrego, radosnego i Wesołego Alleluja.

Zarząd Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego,
Redakcja miesięcznika społeczno kulturalnego „Śląsk”

Z żalem żegnamy naszego autora, pracownika akademickiego, badacza najnowszych dziejów Śląska i Katowic, historyka powojennej emigracji polskiej, znawcę losów Polaków wysiedlonych z Kresów Wschodnich, wychowawcę młodzieży, harcerza, przyjaciela i kolegę

prof. dra hab. Zygmunta Woźniczkę.

Profesor zmarł w dn. 24 lutego 2022, miał 68 lat.

Zarząd Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego

W środę 16 marca 2022 odszedł znakomity badacz polskiego języka artystycznego i kultury polskiej

prof. zw. dr hab. Aleksander Wilkoń.

Był pracownikiem naukowym m.in.: Uniwersytetu Śląskiego, Uniwersytetu w Nancy, wykładał na Sorbonie w Paryżu, w Instituto Universitario Orientale w Neapolu. W zmarłym tracimy nie tylko uczonego, ale i poetę, prozaika, przyjaznego studentom wykładowcę akademickiego, naszego autora, przyjaciela i kolegę.

Za zarząd Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego i Redakcję miesięcznika „Śląsk”
Tadeusz Sierny
Prezes Zarządu

Nr 3 (318), Rok XXVIII, MARZEC 2022

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztuka

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS
MAGDALENA DZIADEK
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
JAROSŁAW KAPSA
WIESŁAWA KONOPELSKA
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
PAWEŁ MAJERSKI
JAN MALICKI
JAN MIODEK
KATARZYNA NIESPOREK
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
MARIAN SWORZEŃ
HENRYK SZCZEPAŃSKI
GRZEGORZ SZTOLER
JOANNA WAROŃSKA
EDWARD WIECZOREK
AGNIESZKA ZIELIŃSKAADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
zarzad@slaskwn.com.pl

DTP: Lechosław Węglorz, Marcin Gołaszewski

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.**Warunki prenumeraty:**
poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”
na terenie całego kraju. Bezpośrednio
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
Santander Bank Polska S.A.
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskglt.pl
Nakład: 1500 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 4 Anna Majewska DMUCHAWIEC Z KONCZYC MAŁYCH
6 Antoni Wilgusiewicz LWÓW? TO SIĘ DOBRZE SPRZEDAJE!
8 LISTY CZĘSTOCHOWSKIE Jarosław Kapsa CIEN PAMIĘCI
20 Tadeusz Loster ŚLĄSK OCZAMI WINCENTEGO POLA
23 Małgorzata Lichecka ŚLĄSKI REPORTER O UKRAINIE ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM ROKITĄ
26 Ks. Henryk Pyka PRIMUM NON NOCERE
28 Danuta Krzyżyk, Helena Synowicz MISTRZ I KOLEGA. O PROFESORZE EDWARDZIE
POLAŃSKIM
30 Katarzyna Kwaśniewicz CZASEM LEPIEJ POCZEKAĆ
32 Janusz Plewniak PASJONACI
35 Janusz Plewniak ZMARTWYCHWSTANIE W BĘDKOWICACH
37 Joanna Szweda TROPEM HERMESA. SŁOWEM O OBRAZIE
42 Grzegorz Sztoler DWIE KOSY DZIENNIKA. POCZĄTEK
45 Małgorzata Tkacz-Janik HERSTORIE Z GIERAŁTOWIC
50 Edward Wieczorek BIAŁE DAMY, CZARNY PIES
55 Agnieszka Ziełińska TURYSTYKA EKO I HAND MADE
56 Jacek Okoń POETYCKA SZYCHTA DOROTY SZATTERS
59 Tadeusz Aleksandrowicz MICHAŁ BEDNARSKI (2 WRZEŚNIA 1944–18 LUTEGO 2022)
60 PO-GWARKI PROFESORA Jerzy Paszek O PALINDROMACH PROF. MORAWSKIEGO
68 Wiesława Konopelska VIA CRUCIS WEDŁUG KRZYSZTOFA I MICHAŁA POWAŁKÓW
79 Zbigniew Lubowski CAVATINA HALL – KOSMICZNA ARCHITEKTURA

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

- 69 GALERIA: DROGA KRZYŻOWA – MALARSTWO KRZYSZTOFA I MICHAŁA POWAŁKÓW

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE Tadej Karabowicz GROMNICA
(z języka ukraińskiego przełożył Marian Kisiel)
11 Tadej Karabowicz WIERSZE (z języka ukraińskiego przełożył Jan Leończuk)
12 Ihor Astapenko WIERSZE (z języka ukraińskiego przełożył Tadej Karabowicz)
14 Witalij Bilozir WIERSZE (z języka ukraińskiego przełożył Tadej Karabowicz)
16 Oleh Kocarew WIERSZE (z języka ukraińskiego przełożył Tadej Karabowicz)
18 Lubomyr Lesonin WIERSZE (z języka ukraińskiego przełożył Tadej Karabowicz)
24 Wasyl Symonenko BIAŁE DUCHY
40 Mariusz Jochemczyk WIERSZE

FELIETONY

- 38 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA. Jan Miodek SKOCZ MI NA PUKIEL!
39 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM Marian Gerlich BADACZ TRWAJĄCY PRZY PRAWDZIE
66 BŁYSKI I ZAPATRZENIA Marian Sworzeń STRAŻNIK PAMIĘCI I SŁÓW
73 JĘZYK W STRUNACH Piotr Grella-Możejko BIAŁA MAGIA TATIANY
74 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ Krzysztof Korwin-Piotrowski LOTHAR DZIWIKI I JEGO ŻORSKA
ORKIESTRA
75 Jan Malicki „DOSKONAŁY KANCJONAŁ POLSKI” Z 1673 ROKU

KSIĄŻKI

- 62 Dominika Rudka MAŁE MIASTA, WIELKIE TRADYCJE
63 Andrzej Juchniewicz OD SKAMANDRA DO EKSPERYMENTU
64 Tomasz Pyzik POESIA MILITANS
65 Piotr Skowronek #MUSZYŃSKI#POEZJA
78 KSIĄŻKI NADEŚLANE
76 NOTATNIK KULTURALNY

Na okładce:

Pavlo Kazmin, Ukrainizacja, 240x150. Olej, płótno, 2017 (fragment).

Tył okładki: Yevhenii Liukh, Rainy evening, grafika.

Sprostowanie

Na okładce numeru listopadowego „Śląska” zamieściliśmy jedynie fragment obrazu profesora Antoniego Kowalskiego Eden-Cicha woda, olej, 97x130, 2018. Niestety, nie zostało to uwzględnione w opisie sugerującym, że to cała praca. Bardzo przepraszamy. Obraz zostanie pokazany w całości w szerszej prezentacji prac Antoniego Kowalskiego w naszym miesięczniku. Maria Korusiewicz

Pismo wspierane
finansowo przez:Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



GrafiKa na podstawie: Opera Lwowska, Alegoria Sławy - Wikipedia

GROMNICA

palę się jak gromnica
w pragnieniu nocnym

zapomniany

marzący we śnie
o elizjum

synkopach

kto mnie takim
zapamięta

przez okno
zagląda do mnie

tylko księżyc

15.02.2022

Dmuchawiec z Kończyc Małych

ANNA MAJEWSKA

W kościele parafialnym w Kończycach Małych niedaleko Cieszyna znajduje się obraz z wizerunkiem Matki Boskiej, trzymającej na lewym ręku Jezusa, a w prawej dmuchawiec. Pierwsza informacja o obecności obrazu w Kończycach Małych datuje się na rok 1679. Obraz wykonano przy użyciu farb i złotej folii na lipowej desce o wymiarach 175 cm wys. i 145,5 cm szer. Jest wysokiej klasy przykładem malarstwa tablicowego i najprawdopodobniej był pierwotnie środkową częścią tryptyku z ruchomymi skrzydłami. Mógł powstać na Słowacji albo Morawach na początku XVI w., choć niewykluczony jest rodowód wrocławski lub krakowski. Autor obrazu jest nieznan, podobnie jak pierwotna lokalizacja. Wszystko wskazuje jednak na to, że obraz jest jedynym na świecie przedstawieniem Maryi z dmuchawcem w dłoni.

Dlaczego autor przedstawił Maryję właśnie z dmuchawcem – przekwitłym mniszkiem, bądź co bądź uważanym powszechnie za pospolity chwast? To tajemnica biorąc pod uwagę nieznanne pochodzenie samego obrazu. Mirella Levi D'Ancona w pracy poświęconej symbolice roślin we włoskim malarstwie renesansowym przestrzega przed zbyt pochopnym interpretowaniem botanicznych przedstawień oraz zaznacza, iż „symbolika roślin nie jest stała i raz określona, ale może zmieniać się w zależności od czasu i miejsca powstania dzieła czy nawet interpretacji konkretnego artysty”. Jednak „funkcję symboliczną posiadają najpewniej rośliny umieszczone w dłoni Marii, Dzieciątka Jezus czy świętych. Gest trzymania w ręku jakiegoś przedmiotu (...) podkreśla jego znaczenie i wskazuje na głębszy sens czy wręcz stosunek emocjonalny”. Matkę Boską najczęściej przedstawia się z różą w ręku, przede wszystkim czerwoną, często z białą li-

lią, czasem z goździkiem lub poziomką. Może także być przedstawiana z owocem w dłoni – głównie z jabłkiem, granatem, gruszką lub winogronem. Z wszystkimi tymi roślinami wiąże się określona symbolika.

Także symbolika mniszka od najdawniejszych czasów była bardzo bogata. Dla Wschodnich Słowian jej gorzki

smak symbolizował trudy życia, jakich doświadcza człowiek. Żydzi tradycyjnie przyrządzali z mniszka gorzką sałatę – jedną z potraw paschalnych. Chrześcijanie powiązali mniszka z Ostatnią Wieczerzą. Był z jednej strony symbolem cierpieniem Chrystusa na Krzyżu, a drugiej strony Zmartwychwstania i Zbawienia. W wielu językach eu-



Matka Boska Kończycka z dmuchawcem (archiwum własne)

ropejskich nazwa tej rośliny dosłownie oznacza „zab łwa” (np. franc. *dent de lion*, ang. *dandelion*, wł. *dente di leone*, hiszp. *diente de León*, port. *dente-de-leão*, niem. *Löwenzahn*). Co ciekawe, w średniowieczu funkcjonowała legenda o lwicy, wydającej na świat martwe lwiątko, które ożywały po trzech dniach tak jak Chrystus.

Roślina ta mogła symbolizować odradzające się życie, gdyż kwiat mniszka zamyka się na noc i otwiera wraz ze wschodem słońca, a jednocześnie swoim wyglądem przypomina słońce. Warto zauważyć w tym miejscu, że we wczesnym Średniowieczu Chrystusa nazywano Słońcem Sprawiedliwości oraz Słońcem Niezwyčajnym.

Wreszcie, ze względu na charakterystyczny sposób rozsiewania nasion, mniszek jest również symbolem przemijania, ulotności, nietrwałości.

Roślina ta pojawia się często w sakralnej sztuce okresu Średniowiecza i Renesansu jako fragment krajobrazu lub ornament, co nie wyklucza jego symbolicznego znaczenia ukrytego w dziele. Przykładowo widnieje w scenie Ukrzyżowania, będącej środkową częścią dzieła „Ołtarz Świętego Tomasza Becketta”. Jest to dzieło autorstwa Mistrza Francke – artysty działającego w Hamburgu, jednego z przedstawicieli nurtu artystycznego z okresu przełomu XIV i XV stulecia – stylu pięknego. Dziś dzieło to możemy obejrzeć w zbiorach sztuki średniowiecznej w hamburskim muzeum Kunsthalle. Środkowe skrzydło ołtarza tworzyła wielofigurowa scena Ukrzyżowania. Do dziś zachowały się z niej jedynie fragmenty z lewego dolnego narożnika – postaci lamentujących niewiast wraz z Matką Boską oraz Jana Ewangelisty. U stóp cierpiącej Matki Boskiej widzimy bujnie rozkwitającego mniszka.

Roślina ta znajduje się także na obrazie Jacoba Cornelisza van Oostsanena „Noli me tangere”. Dzieło to olej na



Ołtarz Świętego Tomasza Becketta – fragm. Ukrzyżowanie, https://commons.wikimedia.org/wiki/Category:Thomasaltar_by_Meister_Francke#/media/File:Meister_Francke_005.jpg

desce z 1507 roku. Znajduje się w Muzeum Hesji w Kassel. Na obrazie widzimy Marię Magdalenę, która pada na kolana przed Zmartwychwstałym Chrystusem. Według ewangelii spotkanie miało miejsce w ogrodzie, a Maria Magdalena początkowo pomyliła Jezusa z ogrodnikiem. Wykorzystując ten motyw, malarz przedstawił Zbawiciela ze szpadlem w ręku. I właśnie tuż przy szpadlu rośnie mniszek.



Noli me tangere, https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Jacob_Cornelisz_van_Oostsanen_001.jpg

Przykładem użycia przekwitłego mniszka jako symbolu przemijania jest szesnastowieczny portret mężczyzny autorstwa Hendricka Goltziusa, niderlandzkiego malarza i rytownika, przedstawiciela niderlandzkiego manieryzmu i współzałożyciela tzw. akademii haarlemskiej. Na obrazie widzimy młodego mężczyznę z dwoma kwiatami w dłoni. Jeden z kwiatów – dmuchawiec, wyglądający jak tarcza zegara – rozsiewa wokół swe nasiona. Nad kwiatami widnieje facińskie motto, które oddaje zamysł malarza: *sic transit Gloria mundi* („tak oto przemija chwała świata”). Obraz można obejrzeć w kolekcji Fitzwilliam Muzeum w Cambridge, w Anglii.

Także w Polsce można odnaleźć przedstawienia mniszka pospolitego w dziełach sakralnych z okresu Średniowiecza i Renesansu. Przykładem jest obraz „Oplakiwanie”, znajdujący się w Muzeum Miejskim w Żywcu, datowany na ok. 1450 rok. Przedstawia scenę Zdjęcia z Krzyża, która ma miejsce na łące, a jedną ze zidentyfikowanych roślin jest właśnie mniszek. „Oplakiwanie” zalicza się do najważniejszych przykładów malarstwa tablicowego w Polsce. Przykłady przedstawienia tej rośliny w rzeźbie to liście mniszka na poliptyku olkuskim „Chrystus w Ogrójcu” Jana Wielkiego (Olkusz, kościół pa-



Young Man Holding two Flowers, <http://museu.ms/collection/object/94977/young-man-holding-two-flowers>

rafialny), a także na ołtarzu Mariackim Wita Stwosza (kwatery *Noli me tangere*).

Jak widać, niepozorne żółte kwiatki kryją w sobie bogatą symbolikę, powiązaną ze śmiercią i zmartwychwstaniem Chrystusa.



Oplakiwanie z Żywca, <https://www.muzeum-zywiec.pl/oplakiwanie,4,6,akt.html>

Choć pojawiają się w dziełach wielu mistrzów, to małookończycza Madonna z dmuchawcem jest najprawdopodobniej jedyna na świecie. Być może okres Wielkanocy będzie dobrą okazją by zwiedzić kościół parafialny w Kończycach Małych, w którym znajduje się ten piękny i wyjątkowy obraz.

Lwów? To się dobrze sprzedaje!

ANTONI WILGUSIEWICZ

Lwów zajmuje szczególne miejsce w literaturze polskiej. Jest on mianowicie od długiego czasu miejscem akcji wielu utworów – bardziej i mniej znanych; wystarczy rozpocząć od klasycznych Roksolanek czyli ruskich panien, napisanych przez lwowskiego urzędnika Szymona Żimorowica w roku 1629 z okazji ślubu jego brata Bartłomieja z lwowską mieszkanką Katarzyną Duchnicówną. We Lwowie toczy się akcja wielu innych, późniejszych utworów; na początku XX wieku osiadła tu Gabriela Zapolska, która umieściła we Lwowie (a nie w Krakowie, jak sądzą niektórzy!) akcję słynnej „Moralności pani Dulskiej” (1906) i jej kontynuacji, o wiele mniej znanej noweli „Śmierć Felicjana Dulskiego” (1911). W okresie międzywojennym z kolei powstało wiele utworów poświęconych Obronie Lwowa, zwłaszcza dla dzieci i młodzieży, mających cel wychowawczo-edukacyjny – na czele z Kornelą Matuszyńskiej „Uśmiechem Lwowa” (1934, wznowienia 1936 i 1938).

Po utracie Lwowa przez Polskę tematyka lwowska była reprezentowana przede wszystkim na emigracji i miała na ogół charakter wspomnieniowo-pamiętnikarski – wystarczy wspomnieć najwyżej w tej kategorii oceniany Józefa Wittlina „Mój Lwów” (1946). Wśród nielicznych dopuszczonych w kraju utworów najbardziej znany jest Wysoki Zamek Stanisława Lema, niedawno przypomniany z okazji 100-nej rocznicy urodzin autora. Wysyp utworów o tematyce lwowskiej – zarówno wznowień i reprintów, jak też dzieł oryginalnych – rozpoczął się po 1988 roku, kiedy tematyka ta przestała być obiektem zainteresowania cenzury, a zapotrzebowanie na nią – po wielu latach wymuszonej nieobecności – było ogromne. Mimo upływu lat taka sytuacja trwa do dziś, a zainteresowani tematyką lwowsko-kresową nie mogą narzekać na brak wciąż nowych propozycji. W miarę wyczerpywania się tematyki stricte wspomnieniowej pojawił się nowy nurt, który można określić jako li-



Budynek Komendy Policji we Lwowie – ul. Łąckiego (widok współczesny)

teraturę popularną o akcji umieszczonej w całości lub części we Lwowie. W niedawno wydanej pracy „Literackie topografie Lwowa. Szkice komparatystyczne” doktorantka Uniwersytetu Śląskiego Zoriana Czajkowska wymienia kilka tego rodzaju utworów. Są to powieści kryminalne Marka Krajewskiego „Głowa Minotaura” oraz „Erynie”, a także „Marionetki” i „Foresta Umbra” Pawła Jaszczuka; autorka wymienia także trzy książki niedawno zmarłej Marii Nurowskiej „Imię twoje...”, „Powrót do Lwowa” i „Dwie miłości”. Wszystkie są to utwory powstałe stosunkowo niedawno, bo już w XXI wieku.

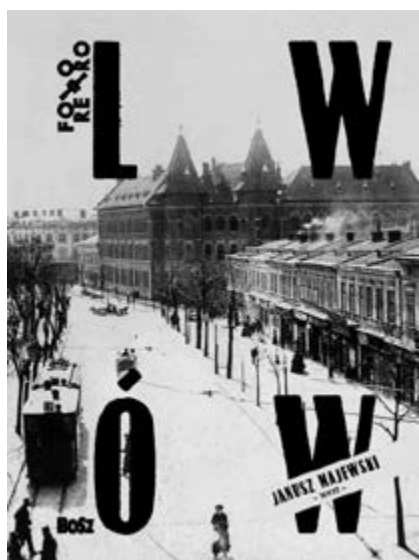
Trylogia Marii Nurowskiej pokazuje Ukrainę, w tym przede wszystkim Lwów, w trudnych czasach po rozpadzie ZSRR w sposób zróżnicowany: piękno miasta i krajobrazu Ukrainy, ale też brud, ubóstwo znacznej części społeczeństwa, korupcję. Szokuje to główną bohaterkę, Elisabeth, przybyłą tu z Nowego Jorku w poszukiwaniu zaginionego w Ukrainie męża. W części drugiej autorka nawiązuje do pomarańczowej rewolucji, a w trzeciej do jej następstw. Występują tu także ważni ukraińscy politycy, jak Julia Tymoszenko i Wiktor Juszczenko. Powieści te nie uzyskały jednak wysokiej oceny czytelników ze względu na mało wiarygodne losy głównych bohaterów i uchodzą za najsłabsze w twórczości autorki. Nie zmienia to faktu, że podjęła ona próbę wprowadzenia Lwowa i problematyki współczesnej Ukrainy do polskiej

literatury popularnej, adresowanej do szerszego grona czytelników niż dawni kresowianie, czy osoby głębiej zainteresowane polityką i stosunkami polsko-ukraińskimi.

W nurcie „romansowym” mieszczą się też inne powieści z akcją rozgrywaną się we Lwowie i jego okolicach powstałe stosunkowo niedawno, ale rozwijające narrację w bardziej odległym czasie. Są to dwie trylogie: „Światło i mrok”, „Ogień i lód” oraz „Brzask” i zmierzch autorstwa Joanny Wtulich (Warszawa 2020–2021), a także Lwowska Odyseja („Pora westchnień, pora burz”; „Powrót z piekła” i „Nowy początek”) Magdaleny Kawki (Warszawa 2021). Pierwsza z nich to typowy romans „z życia wyższych sfer”, opisujący na tle Lwowa w początkach XX wieku i twierdzy Przemysły perypetie miłosne młodej hrabianki Anny Lipińskiej. Druga nawiązuje do literatury wspomnieniowej i losów wielu lwowskich rodzin przed, w czasie i po II wojnie światowej. Gimnazjalistka Lilka musi szybko porzucić bez troskie życie w przedwojennym Lwowie; w części trzeciej życie rodziny toczy się w miasteczku na Pomorzu Zachodnim, gdzie Lilka osiada z rodziną po przymusowym opuszczeniu rodzinnego miasta.

Podobny charakter nosi ciekawie zapowiadająca się, ale niestety przerwana – jak dotąd – saga Lwowskie Losy Jana Bila, lwowianina, a od 1990 roku warszawianina, znawcy poezji Jana Hemara. Bohaterem tomu „Tańce ze śmiercią” (Rzeszów 2018), którego akcja toczy się w sowieckim Lwowie w 1940 roku jest młody lwowianin Rafał; autor nie szczędzi opisów jego erotycznych fascynacji, co z pewnością podnosi atrakcyjność powieści w oczach masowego czytelnika. Część dialogów jest pisana w dobrze znanym autorowi bałaku lwowskim, co obok innych lwowskich realiów stanowi duży walor powieści.

Przechodząc do literatury o tematyce kryminalnej, należy rozpocząć od twórczości Marka Krajewskiego i jego lwow-



Album Lwów w starej fotografii z tekstem Janusza Majewskiego

skiego bohatera, komisarza Edwarda Popielskiego.

Marek Krajewski, wrocławski filolog klasyczny, stał się w polskiej literaturze prekursorem i – mimo wielu naśladowców – wciąż najwybitniejszym przedstawicielem gatunku, który można określić jako kryminał retro, a więc powieści kryminalnych rozgrywających się w przeszłości – najczęściej w latach międzywojennych. Zaczął od niemieckiego policjanta Eberharda Mocka, tropiącego przestępców w Breslau, by potem zrećnie przejść do międzywojennego Lwowa i postaci współdziałającego z nim, także po wojnie – komisarza Edwarda Popielskiego, zwanego Łyssym. Związek między Wrocławiem a Lwowem jest bliski i ogólnie znany; potwierdzają go zresztą powojenne losy Popielskiego, który podobnie jak wielu lwowian osiadał w tym pierwszym mieście po 1945 roku. Jeśli chodzi o Lwów jako miejsce akcji powieści Krajewskiego klasyczny zestaw tworzy tetralogia złożona z tomów: „Liczba Charona” (akcja w 1929 roku), „Głowa Minotaura” (akcja w 1937 roku – zaczyna się w Breslau i przenosi do Lwowa), „Erynie” (akcja w maju 1939 roku) oraz „Rzeki Hadesu” (akcja we Wrocławiu w 1946 roku z reminiscencją w przedwojennym Lwowie).

Obraz Lwowa w powieściach Krajewskiego jest wyrazisty i zgodny z prawdą – oczywiście co do tła akcji, a nie samej narracji, będącej w całości fikcją literacką. Wiemy, gdzie mieszkał Popielski wraz z kuzynką Leokadią i córką Ritą (na ulicy Kra-szewskiego, dziś Salomei Kruszelnickiej, z widokiem na Park Kościuszki czyli Ogród Jezuicki); wraz z nim chodzimy i jeździmy ulicami międzywojennego Lwowa, odwiedzamy lwowskie knajpy różnych kategorii, spotykamy przedstawicieli wszystkich nacji tworzących barwny obraz ówczesnego miasta. Prezentują oni różne warstwy społeczne, od wysokich urzędników czy profesorów uniwer-

sytetu i arystokratów po batiarów i zwykłe męty oraz pospolitych przestępców, z którymi z racji swego zawodu musiał stykać się komisarz Popielski.

Drugi ze wspomnianych autorów, mniej znany, ale także poczytny Paweł Jaszczuk (laureat Nagrody Wielkiego Kalibru za najlepszą powieść kryminalną 2005 roku – „Foresta Umbra”), jest z kolei autorem serii powieści kryminalnych z dziennikarzem śledczym Jakubem Sternem jako głównym bohaterem. Są to: wspomniana „Foresta Umbra”, „Plan Sary”, „Marionetki”, „Akuszer śmierci” (ich akcja rozgrywa się w ostatnim okresie polskiego Lwowa – latach 1938–39) i post scriptum całego cyklu – „Lekcja martwej mowy”, którego akcja dzieje się w 1968 roku z reminiscencjami sięgającymi wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku. Obraz Lwowa jest tu tak samo, a nawet bardziej wyrazisty niż u Krajewskiego, bo wzbogacony o autentyczne wydarzenia historyczne. Jak pisze Krzysztof Masłoń „Na Wałach Hetmańskich demonstrowają bezrobotni. Na Uniwersytecie Jana Kazimierza narodowcy biją się z Żydami, a bursę ukraińską odwiedza przyjmowana z honorami delegacja Hitlerjugend. Coraz ciężej się tu oddycha... Na szczęście... w szynkach wciąż podawane jest piwo marcowe, w kinach króluje Robin Hood z Errolem Flynem, a Pogoń wygrała właśnie 2:0 z CSK Bratislava. Ostatnia polska Wielkanoc we Lwowie”.

Kryminałem retro, ale dość nietypowym, bo usytuowanym w scenarii Lwowa podczas okupacji hitlerowskiej jest też „Ryk kamiennego lwa” Janusza Majewskiego, wybitnego reżysera, lwowiaka urodzonego w 1931 roku, a więc pamiętającego jeszcze Lwów z autopsji. Napisał on dwie książki, których bohaterem jest nadkomisarz Rafał Król – „Czarny mercedes” (2016, sfilmowany przez autora w 2019 roku), którego akcja rozgrywa się w okupowanej Warszawie, oraz „Ryk kamiennego lwa”, którego akcję stanowi kontynuacja śledstwa Rafała Króla toczzonego teraz we Lwowie. Autor, jak sam wspominał, opuścił Lwów będąc dzieckiem i niezbyt się nim interesował do czasu ponownego przybycia do tego miasta związanego z kręceniem filmu Sprawa Gorgonowej (1977 – chodzi o słynną zbrodnię dokonaną w Brzuchowicach koło Lwowa przez, prawdopodobnie, Ritę Gorgonową). Topografia Lwowa – i inne realia miasta – jest w książce oddana wiernie, czemu nie można się dziwić; wydarzenia historyczne – walka AK-owców lwowskich z okupantem hitlerowskim przeplatają się tu ze śledztwem w sprawie szmalcownika – listonosza Edmunda Frankowiaka, na którym ostatecznie zostaje wykonany wyrok śmierci przez powieszenie.

Obok kryminałów retro, bazujących na zainteresowaniu dużej części nasze-



Foresta umbra

go społeczeństwa przedwojennym, jeszcze polskim Lwowem, zaczęły pojawiać się utwory odnoszące się do dzisiejszego Lwowa i współczesnych stosunków polsko-ukraińskich, oczywiście z odniesieniami do przeszłości, czego nie da się uniknąć. Przykładem takiej książki jest powieść Tomasza Nowakowskiego pod intrygującym tytułem „Rzeczy, które robisz we Lwowie będąc martwym” (Wydawnictwo Nowae Res, 2019). Akcja łączy się w momencie wizyty konsula polskiego we Lwowie na terenie zamku w Olesku – miejscu urodzenia późniejszego króla Jana Sobieskiego – w związku ze znalezieniem tu zwłok Polaka pochodzącego z Radomia. Grozę potęguje fakt wycięcia na czole zamordowanego tryzuba, co prawdopodobnie wskazuje na ukraińskich nacjonalistów jako sprawców. Prywatne śledztwo w tej sprawie prowadzi Jerzy Kawalec, nauczyciel z Radomia, a finał całej sprawy jest zaskakujący i zostawiający czytelnikom pole do własnych domysłów. Powieść jest zrećnie napisana, w dodatku umiejętnie łączy wątki z przeszłości z historią najnowszą (wydarzenia na Majdanie) i dzisiejszym życiem Ukrainy – oczywiście przed obecną wojną wywołaną przez Rosję. Bez wątplenia jest adresowana przede wszystkim do młodszego pokolenia czytelników, którym jednak nieobce jest zainteresowanie historią i polityką. Z pewnością jest to nowy nurt w literaturze polskiej, który będzie się rozwijał, także w związku ze wspomnianą wojną, która na pewno przeorientuje wzajemne stosunki polsko-ukraińskie.

Warto w tym miejscu wspomnieć także o powieści Justyny Białowas „Wołyńska gra” (Kraków 2021), dziejącej się na terenie Polski, a ściślej na pograniczu polsko-ukraińskim. Jest ona zdecydowanie adresowana do młodego czytelnika, a jej młodzi bohaterowie – Polacy i Ukraińcy – prezentują różne, także skrajne poglądy na wzajemne stosunki obu narodów, a co więcej – wcielają je w czyn, z czego bierze się sensoryjny charakter powieści. Nie cieszą się jednak one uznaniem autorki, a przesłanie powieści bez żadnej wątpliwości ukazuje motto autorskie: *Dla mojej rodziny, którą zamordowali Ukraińcy i dla Ukraińców, których zamordowała moja rodzina.*

Cień pamięci

JAROSŁAW KAPSA

Piszę listy częstochowskie, adresowane do Śląska i Ślązaków, by ułatwić Im zrozumienie Nas. Tematem jest historia, bo ta, siedząc w podświadomości, narzuca sposób postrzegania świata. Nie byłoby Nas, nie byłoby Was, gdyby nie było przeszłości. Nie jest moim celem z nostalgia pisać o starych „dobrych czasach”, bo takowych nigdy nie było. Nie warto dowartościowywać siebie przypomnianiem o zasługach przodków; każdy sam pracuje na swe dobre imię.

Wstęp ten jest niezbędny, bo w zderzeniu z obecną rzeczywistością, wspominać będą epizod, o którym – dla wspólnego dobra – może lepiej nie pamiętać. Było przez chwilę moje miasto siedzibą przegranego rządu przegranego państwa – Ukraińskiej Republiki Ludowej. Oby ten fakt nigdy się nie powtórzył, oby zawsze siedzibą rządu suwerennego państwa była stolica – piękny Kijów.

W ślad za „Gońcem Częstochowskim” z 4 grudnia 1920 r. powtarzam informację:

„Sensacją dnia wczorajszego był przyjazd do Częstochowy rządu ukraińskiego Petlury, w skład którego wchodzi około 500 urzędników i kilkunastu generałów i kilkudziesięciu wyższych oficerów, z szefem sztabu generałem Simplerem na czele. Pociąg z ewakuowanym rządem przybył o godz. 5 rano, zatrzymując się w pobliżu przejazdu Stradomskiego. W 2 zaplombowanych wagonach eskortowanych przez polskich żołnierzy pod komendą kap. Paszyca znajduje się skarb ukraiński, w 48 wagonach przybyli przedstawiciele rządu z rodzinami, oficerowie i urzędnicy. W skład ewakuowanego ministerstwa skarbu wchodzi: minister Widybeda, który przybył wraz z żoną i dwojgiem dzieci, wiceminister Lebed – Jurczyk z żoną i dziećmi, dyrektor głównego banku państwowego Kłypaszewski, 2 dyrektorów krymskich kredytowych biletów, 14 szefów departamentów, dyrektor kancelarii głównego banku Tatarów z żoną oraz 132 urzędników. Ministerstwo spraw wojskowych i sztab generalny reprezentują: naczelnik sztabu generał porucznik Simpler, generał



Częstochowski hotel Polonia – tu w grudniu 1920 zakwaterowała się część ewakuowanego rządu Ukraińskiej Republiki Ludowej – m.in. minister skarbu, szef sztabu generalnego, wyżsi urzędnicy i generałowie. Fot. Tomasz Bienek

Diadusza, generał Jeszczenko, generał Kapuściński, generał Nowicki, generał Michajłow, generał Drobinski, pułkownicy: Bazyłowicz, Klejder, Siwaczew, Swaricha, Pucharski, Sichariew, Sułkowski, Staszko i inni oraz naczelnik kancelarii sztabu generalnego ppułk Buczek i 108 oficerów i urzędników Ministerstwa spraw wojskowych, wywiadu gospodarczego i 98 oficerów sztabu generalnego, z których liczni przybyli z żonami i dziećmi. Minister skarbu, szef sztabu generalnego i wyżsi urzędnicy i generałowie rozlokowali się w hotelach „Polonii” i „Wiktorii”, dla reszty zaś ewakuowanych z powodu braku miejsca w hotelach Dowództwo garnizonu postanowiło za pośrednictwem miejscowej komisji kwaterekowej przeznaczyć zasekwestrowane w tym celu mieszkania prywatne.

„Goniec...” uzupełnił informację pozytywnym, choć powściągliwym komentarzem: „W przeciwieństwie do innych matadorów ruchu ukraińskiego, rekrutujących się z osławionych działa-

czy wschodnio-galicjskich, ataman Petlura zachował się w stosunku do Polski najzupełniej poprawnie. Zawarte z Polską traktatu dochował lojalnie. Jakkolwiek zapatrujemy się na ukształtowanie przyszłych stosunków polsko-ukraińskich, jako naród wolność miłujący, żyjemy szczerą sympatią dla dążeń wyzwoleniczych Ukrainy. Heroiczne a dotychczas daremne wysiłki Petlury, by Ukrainę uniezależnić od Moskwy, budzą w nas łatwo zrozumiałe współczucie. Wszak sami przeszliśmy przez podobne piekło niewoli i walk zda się beznadziejnych. Polska, opuszczona przez cały świat, musiała się zdecydować na pokój z Rosją sowiecką, tem samem opuszczając sprzymierzeńców ukraińskich. Tem więcej chwila obecna wymaga od nas taktu w stosunku do goszczących przymusowo w naszej ojczyźnie bojowników o niepodległość ludu ukraińskiego. Przyszłość przed nami ukryta. Ale tego możemy być pewni, że posiew krwi ukraińskiej nie pójdzie na marne i Ukraina prędzej czy później uzyska ziszczenie swych uzasadnionych dążeń. Naszem zadaniem w najtrudniejszych okolicznościach torować drogę do porozumienia i pokojowego współżycia z Ukraińcami. Z tych założeń winien wypływać nasz stosunek do Ukraińców, którzy losów koleją znaleźli obecnie przytułek w Polsce”.

Dziennikarz częstochowski, nie znając specyfiki wschodu Europy, niechcący pomylił nazwisko przybyłego szefa sztabu ukraińskiej armii: był nim gen. Wołodymier Sinkler. Urodzony w 1879 w Margylancie (Uzbekistan), pochodzący z rodziny o szwedzki korzeniach, był zawodowym oficerem wojska rosyjskiego. Ukończył orenburską szkołę kadetów, następnie kształcił się w Mikołajewskiej Szkole Artylerii. W 1905 r. ukończył Mikołajewską Akademię Sztabu Generalnego. Karierę w armii carskiej zakończył w stopniu generała-majora. Od lipca 1918 r. służył w armii ukraińskiej, w stopniu generała porucznika. Do marca 1920 r. był głównym kwater-

mistrzem, potem szefem Sztabu Generalnego. W Częstochowie mieszkał do 1924 r., potem przeprowadził się do Sosnowca, gdzie pracował jako urzędnik kolei kopalnianej. W 1945 r. po zajęciu Polski przez Armię Sowiecką aresztowany przez NKWD. Wywieziony do Kijowa i zamordowany w więzieniu Łukianowskim. Chcąc nadrobić błąd, w kolejnym numerze „Gońca” zamieszczono wywiad z generałem. Z tegoż tekstu wiemy, że Sinklera ulokowano, wraz z rodziną, w dwóch małych pokojach hotelu „Polonia”. „Obecnie armia nasza doszczętnie rozbrojona – oświadczył gen. Sinkler – przebywamy tutaj jako goście. Mieliśmy się zatrzymać w Kielcach, lecz w drodze nastąpiła zmiana decyzji i przybyliśmy do Częstochowy. Dowództwo armii podobnie jak i cały rząd ukraiński znajdują się teraz w zawieszaniu. A co będzie dalej, tę sprawą zajmuje się nasz naczelnik Petlura”. W udzielonym wywiadzie sceptycznie oceniał szansę kontynuacji powstańczej walki przeciw bolszewickim, choć jednocześnie podkreślał, że naród ukraiński, nawet pokonany, nigdy nie pozwoli się zniewolić. Przestrzegał przed rządem sowieckim: „bolszewikom nie można ufać, wyzyskują oni pierwszą lepszą sposobność, aby zerwać pokój, o ile tylko wznowie wojny przedstawiać będzie pewne widoki zwycięstwa”.

To nie władze lokalne, ani społeczeństwo Częstochowy, zaprosiły, szukających lokum dla siebie, polityków ukraińskich. Było to pokłosie amoralnej realpolityki, której efektem stał się zawarty w Rydze rozejm z państwem bolszewickim. Realpolityka nie zna słowa „zdrada”, a jednak – choć wypieramy to z pamięci – nie tylko heroizm wykazany w wal-

ce w obronie Rzeczypospolitej, bohaterstwo żołnierzy walczących pod Warszawą, nad Wkrą, pod Komarowem i wielu innych miejscach; nie tylko „cud nad Wisłą”, ale także ryska zdrada, tworzyła fundament naszego państwa. Zdrada była faktem, porzucono państwo, z którym 25 kwietnia 1920 r. zawarło pakt o wzajemnej współpracy i wspólnej walce z bolszewickim wrogiem. Porzucono żołnierzy, którzy odważnie bronili swojej i polskiej ziemi, którym, tak jak oddziałowi gen. Bezruczki, zawdzięczamy uratowanie Zamościa. Uzasadnieniem zdrady było kłamstwo. Pisał on tym, w pełnych goryczy słowach, Aleksander Lednicki, prawnik-idealista, mąż za wolnej Polsce i o demokratycznej Rosji – federacji wolnych narodów.

„Ale do jakiego stopnia trzeba uwierzyć w fikcję którą się przyjmuje za prawdę, aby myśleć, że nasz układ z sowietami przez to, że nazywa się «Traktatem pokoju między Polską a Rosją i Ukrainą» jest rzeczywiście rozstrzygnięciem sporu naszego z Rosją i Ukrainą, że to one, Rosja i Ukraina przemawiały do nas w Rydze przez usta Joffego /.../. Pokój jest zawarty między Polską a Rosją i Ukrainą, tak jak gdyby w wojnie tej po jednej stronie stała Polska, a po drugiej Rosja i Ukraina. My zaś z Ukrainą zawieraliśmy sojusz dla wojny z bolszewikami i występowaliśmy w obronie jej niepodległości. /.../ Wychodzi zatem, że zawarliśmy pokój nie z tym, z kim prowadziliśmy wojnę”.

Porozumienie w Rydze zostało podpisane 12 października, weszło w życie 18 października 1920 r. Minister Spraw Wojskowych Kazimierz Sosnkowski, zobligowany treścią porozumienia ryskiego wydał rozporządzenie nakazu-

jące wszystkim oddziałom niepolskim opuszczenie terytorium Rzeczypospolitej do 2 listopada, w przeciwnym razie żołnierze zostaną rozbrojeni, a oporni internowani. Osamotnione oddziały ukraińskie próbowały jeszcze walczyć na Podolu. Rozbite przez bolszewików, 17 listopada, wycofały się za Zbrucz. Pokonani przez bolszewików żołnierze zostali rozbrojeni i umieszczeni w obozach internowania: w Szczypiornie pod Kaliszem oraz w mniejszych: w Łąncucie, Wadowicach, Aleksandrowie Kujawskim i Strzałkowie. Cywilna administracja URL ulokowana została w Częstochowie, sam Petlura osiadł w Tarnowie. 15 maja 1921 r. do obozu w Szczypiornie przybył Józef Piłsudski, w imieniu internowanych witał go obrońca Zamościa gen. Bezruczko. „Piłsudski wśród wielkiej ciszy, nawiązując w paru słowach do traktatu ryskiego i sprawy ukraińskiej, powiedział: Ja was przepraszam, panowie, ja was bardzo przepraszam!”.

Piłsudski przynajmniej miał odwagę przeprosić za zdradę. Późniejsza propaganda zrzuciła odpowiedzialność za warunki pokoju w Rydze na endecję i jej przedstawiciela Stanisława Grabskiego. Endecja jednak nigdy nie akceptowała istnienia narodu ukraińskiego, nie zawierała z nim sojuszu, ani takowego nie popierała. Z poczuciem wstydu czyta się stenogram Sejmu z 22 października 1920 r., z debaty nad informacją premiera Witosa o rozejmie ryskim. Otóż w niej, przedstawiciele lewicy – PSL „Wyzwolenie” i PPS – odważnie przyjęli fikcję za prawdę; zapomnieli, z kim Polska zawarła sojusz, za sukces uznali zagwarantowanie w preliminariach pokojowych „samostanowienie” socjalistycznej Ukrainy. Tej budowanej szablą „konarmii” Budionnego, terrorem Czechi, z „marionetkowym” rządem wyznaczonym z Moskwy. Polska była wyczerpana 6-letnimi zmaganiem wojennymi toczącymi się na jej terytorium, nie dysponowała siłami, by kontynuować ofensywę i wyzwolić Rosję od bolszewików, nie ufała w możliwość skutecznego współdziałania z oddziałami „białej” kontrrewolucji ani z walczącymi o wolność narodami. Z tych względów traktat w Rydze był niezbędny. Ale politycy mogli nam oszczędzić festiwalu hipokryzji, który do dziś pali wstydem.

Wróćmy więc do Częstochowy, do której, jako miasta przy zachodniej granicy, skierowano urzędników rządu „zlikwidowanej” Ukrainy. Decyzja ta nie wywołała entuzjazmu, raczej przeciwnie. Zniszczone i wygłodzone miasto z coraz większym trudem nosiło ciężary rodzącej się suwerenności. Głód, zimno, śmiertelne zarazy, w tym hiszpanka i tyfus, związane z trudnymi warunkami życia strajki, protesty „głodo-we”... Mimo tak tragicznych warunków stać było częstochowskie społeczeństwo



Dworzec kolejowy Częstochowa Stradom, na który 3 grudnia 1920 wjechał pociąg złożony z gigantycznej nawet jak na dzisiejsze czasy liczby 50 wagonów, którymi ewakuowali się członkowie rządu Ukraińskiej Republiki Ludowej. Fot. Tomasz Bienek

na wystawienie i wyekwipowanie pułku wojska, walczącego o Lwów, broniącego Warszawy przed bolszewikami. Zapewniono także kwatery dla kilku tysięcy żołnierzy Armii Hallera, skierowanych tu wiosną 1919 r. Z otwartymi rękami i z pełną ofiarnością przyjęto kilka tysięcy Górnolązaków, chroniących się przed niemieckimi represjami po powstaniach 1919 i 1920 r. Nie da się jednak czynić więcej, niż jest to możliwe. To nie niechęć do ukraińskich gości, ale trud warunków bytowania, decydował o tonie dyskusji w Radzie Miasta. Na sesji 18 XII 1920 r. w sprawie przybyłych Ukraińców interpelacje złożyła radna Zofia Tyszecka z Narodowego Komitetu Wyborczego oraz radny Federman z PPS.

„Wniosek r. Tyszeckiej i tow. wskazuje na katastrofalną sytuację aprowizacyjną naszego miasta i stwierdza, że zamiast pomocy otrzymujemy gości, którzy wzmagają drożyznę i brak mieszkań, wreszcie proponuje upoważnić Magistrat do poczynienia starań w kierunku przeniesienia uchodźców ukraińskich do okolic zasobniejszych. W dyskusji zabrał głos prezydent dr Marczewski, oświadczając, że Magistrat uczynił za pośrednictwem starostwa wszystko, co było w jego mocy, aby przynajmniej ograniczyć liczbę Ukraińców w Częstochowie do minimum. Na wszelkie starania otrzymywano jedną odpowiedź. W tej chwili przy lokowaniu zbiegów ukraińskich Częstochowy pominąć nie można. Nadto na piątek dnia 17 b.m. zapowiedziano przybycie jeszcze 250 Ukraińców, których liczba ogólna w Częstochowie wynosi około 2000. Dowiedziawszy się o tem, Magistrat wysłał telegram terminowy do województwa, oświadczając, że miasto dalszych emigrantów ukraińskich bezwzględnie utrzymać nie może. Odpowiedź województwa brzmi w streszczeniu: Musicie znaleźć miejsce jeszcze dla tych 250. Dalsze zwiększenie liczby Ukraińców w Częstochowie prawdopodobnie nie nastąpi. W dalszej dyskusji zabierało głos kilku innych mówców. W wyniku powzięto uchwałę następującej treści: „Rada poleca Magistratowi poczynienie niezwłocznych starań o jak najszybsze uwolnienie miasta od gości, których miasto nie może pomieścić, ani wyżywić”.

Dla większości przybyłych Częstochowa miała być tylko „przystankiem” przed powrotem do domu. Z trudem przyjmowano do świadomości, że domu już nie ma, że zabrał go bolszewik. Łudziło się szansami „nowej wojny”, oczekiwano z nadzieją antybolszewickiego powstania ujarzmionego narodu. Próby wzniecenia takowego przez gen. Jurija Tiutinnika skończyły się kolejną porażką. Rząd bolszewickiej Rosji, odwołując się do traktatu ryskiego, żądał od Polski usunięcia „wrogich kontrrewolucjoni-



Na początku 1921 roku częstochowskie kamienice były skrajnie przełudnione. W tym czasie w takich domach jak te na zdjęciu codziennością był też głód, zimno, brak opału i fatalna sytuacja sanitarna. Fot. Tomasz Bienek

stów”. W październiku 1921 r. minister spraw zagranicznych J. Dąbski zgodził się na upokarzające żądanie, by wydaląc z Polski 14 przywódców środowisk antykomunistycznych, w tym Semena Petlurę, Mychajło Omelianowicza-Pawlenkę, Jurko Tiutinnika i Wiktora Zelińskiego. Oburzenie społeczne doprowadziło do dymisji Dąbskiego, ale nie wpłynęło na los emigracyjnych władz URL. W lutym 1922 r. kolejna nota rządu sowieckiego domagała się zaprzestania szkoleń kulturalnych i wojskowych w obozach internowania żołnierzy ukraińskich: w Strzałkowie i Szczypiornie, likwidacji tych obozów i usunięcia żołnierzy z terytorium Rzeczypospolitej. Pewnym oparciem dla środowisk URL była grupa piłsudczyków-federalistów (m.in. T. Hołówka, H.

Józewski), skupiona w służbach wywiadu przy Sztabie Generalnym RP. Dzięki pomocy tej grupy Petlura mógł ukrywać się do 1923 r. w Tarnowie; zapewniano także wsparcie materialne, a nawet możliwość służby w wojsku polskim, wyższym rangą oficerom ukraińskim. Po emigracji Piłsudskiego do Sulejówki, tego rodzaju działania ograniczono.

Hotel „Polonia” opustoszał już wiosną 1920 r., uchodźców nie stać było na pobyt w nim. Szukano „tanich mieszkań”, wielu, pozbawionych środków, emigrantów trafiło na „dno nędzy”, do baraków dla bezrobotnych na Stradomiu. Zasobniejsi materialnie wyjeżdżali do Niemiec. Na stałe w Częstochowie pozostało ok. 100-150 rodzin. Powstał i cieszył się dużą popularnością wśród mieszkańców chór ukraiński. Duchowym wsparciem służyła cerkiew prawosławna i grekokatolicka; nabożeństwa dla środowiska ukraińskiego odbywały się w kaplicy w kamienicy ul. Waszyngtona 62. Organizowano także otwarte wykłady, zapraszając przedstawicieli ukraińskiej kultury i nauki. Ślady bytu tej społeczności znaleźć można na cmentarzu Kule, w kwartale dla prawosławnych. Jeszcze można... bo stare groby pochłania czas.

W pamięci częstochowian ten epizod nie istnieje. Temat Ukrainy postrzegania był poprzez inne historyczne wydarzenia. Jest pomnik Orłąt Lwowskich i organizowane przed nim manifestacje w rocznicę obrony Lwowa przed najazdem ukraińskiej Siczy. Są na Jasnej Górze wzruszające pamiątki, przypominające tragedię rzezi wołyńskiej. Hotel „Polonia”, niegdyś najlepszy hotel w mieście, podupadł całkowicie; nie ma gdzie umieścić tabliczki informującej o pobycie tu rządu URL. Cóż, był to dla Polski epizod wstydlivy...



Pod koniec 1920 w Częstochowie panowała nędza pogłębiona trudnościami lokalowymi. Na zdjęciu współczesny widok podwórza kamienicy z tamtego okresu w centrum miasta. Fot. Tomasz Bienek

Z języka ukraińskiego przełożył Jan Leończuk

IKONA

Ikona zapatrzona w wieczność budziła
przitulone do ziemi szkielety
policzkami
jak do poduszki

dawno nie było ciebie ze snu
już myślałem
że umarłaś
ale nie
istniejesz
wiatr powiewa nad tobą

jak dobrze, że jesteś

OGIEŃ PIEKIELNY

To ogień piekielny
i krzyki dusz skłębione
przypomną
że nie ma powrotu do domu
który wczoraj stał na skraju przepaści

a jednak pozostanie nad przepaścią
smak domowego chleba
masła
i pomidorów
w morowym powietrzu

wszystko zatrzymane na chwilę
w mitycznym uśmiechu
przydrożnego krzyża

przed Paruzją...

*

A jednak pozostanie, krwawy ślad ranionego wilka
ryczenie jeleni za lasem przypominające modlitwę
o świcie odezwią się żurawie nad pustymi miastami
wiewiórki wyniosą z opuszczonych spiżarek orzechy
piłki będą leżały samotnie na placu zabaw

zostanie po mnie wiersz niedopisany na pustkowiu
nad ranem kartkami książek szeleszczący wiatr

mityczny uśmiech przepaści zatrzymany na chwilę

22.03.2020

TEN CZAS

Ten czas zdarzył się już setki tysięcy razy
mistyczny uśmiech Apokalipsy
chichot morowego powietrza
wiejącego ponad przydrożnymi krzyżami

krzyże przydrożne
choleryczne
w spróchniałych pniach
gniazda dzięciole

i kwilenia piskląt

ratujcie nasz na pustkowiu

w modlitwie czerwonego blasku
zachodzące słońce
oświetla śpiewy trumienne
oświetla wieka niedomknięte
i napisy na piasku



Tadeusz Karabowicz (także **Tadej Karabowicz**). Poeta, tłumacz, literaturoznawca. Urodził się 6 kwietnia 1959 roku w Sawinie na Lubelszczyźnie. Po ukończeniu Szkoły Podstawowej w Tarnowie, w latach 1974–1978 uczęszczał do Liceum Ogólnokształcącego w Siedliszczu. Studiował na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie (1978–1987), później pracował jako redaktor w tygodniku społeczno-kulturalnym „Nasze Słowo” (1986–1995). Był adiunktem w Zakładzie Filologii Ukraińskiej Instytutu Filologii Słowiańskiej Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie (do roku 2018). Członek lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich, Narodowego Związku Pisarzy Ukrainy, Komisji Polsko-Ukraińskich Związków Kulturowych PAN Oddział w Lublinie. Członek honorowy Klubu Inteligencji Twórczej Stowarzyszenie Żywych Poetów. Był dwukrotnym stypendystą Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Autor szesnastu tomików wierszy. ■

Z języka ukraińskiego przełożył Tadej Karabowicz

ULICE

gdy z ulicy parchomenki
nieśli człowieka którego zapomnieli zapytać
czy chce z muzyką czy bez
tak samo jak on zapominał
o literze „i” w słowie „chcieć”

właśnie jedliśmy jeżyny
zapychając usta wiązkami czarnych jagód
zapominając o przeżuwananiu
energicznie zanurzając jeżynowe dłonie w koszyk
a jednocześnie nasłuchując
będą graли czy nie zagrają

wyęźaliśmy nasz słuch
uciszając jeżynowy oddech
i słyszeliśmy jak człowieka niosą już gdzieś
na ulicy w pobliżu

a kiedy już byli
obok naszej kotłarewskiego
kazano nam siedzieć cicho
i nie patrzeć przez okno
a ja czerpnałem garścią z tuzin jagód
nie posłuchałem
i popatrzyłem

TRÓJCA³

bóg lubi trójcę
złam sobie dwa palce
i rób znak krzyża całymi

bóg lubi trójcę
w trzydziestym trzecim lubił dwukrotnie
ten żółty kraj
z przezroczystrych kości

narysuj sobie trzecie oko
zobacz w nim prawdę
módl się człowieku
ze wzrokiem na potylicy

kiedy powiesz mi „amen”
powiem ci „nie ma”
wszystko na opak człowieku

bóg lubi trójcę
to ile mówisz że miałeś
kiedy umarłeś
jezusie?

MODERN ART

polecono mi gotować barszcz
bo tak jest u nich przyjęte
jedzenie barszczu przez dziewięć dni
a ja nie miałem buraków

nie miałem buraków i ochoty
gotować barszczu

bo po co jeść gdy ktoś umarł
bo co ma wspólnego żołądek
z rozpaczą odejścia
gdy należy pić wódkę
i rwać włosy z bólu

nie miałem buraków i ochoty
gotować barszczu
a mi powiedziano że przyjdzie
aż czterdzieści sześć dusz
a ja zapytałem to ile ludzi będzie
gdyby tylko dusz czterdzieści sześć?

nie miałam buraków ani ziemniaków
nie miałam kapusty i marchewki
nie miałem wody ani soli
nie miałam mięsa ani śmietany
ani cebuli ani chęci gotowania barszczu

ponalewałem do miseczek wódki
i powiedziałem im że to barszcz
i że oni nie rozumieją
modern art

UMIEĆ CZYTAĆ

jeden dobry poeta
nie będę dodawać *młody*
bo to nic nie zmieni
tak podpisał mi swój tomik:
moje nazwisko przecinek czytaj wykrzyknik
swoje nazwisko kropka

wyrywam duże liliowe serce
z obsypanej czarnym klatki piersiowej kwadratowego ciała
w czerwcową noc z jemioluszką księżycą
i szukam czegoś co można przeczytać:

drzewa ludzie splot gwiazdzisty
linie papilarne naprężona cisza
ciało ukochanej kobiety
ciemność zabryzgana żelem
ty w niezmierzonej przestrzeni

ale znajduję tylko figury słów
w tomiku dobrego poety
który zawierzył mi swój sekret
ale nie dał kluczy do jego rozumienia

napiszę piękną książkę
z dużym liliowym sercem
i obowiązkowo dedykuję mu w ten sposób:
jego nazwisko przecinek pisz wykrzyknik
swoje nazwisko kropka

nie
nie tak:

jego nazwisko przecinek
moje nazwisko kropka
nie pisz bo będą czytać
wykrzyknik
a tak naprawdę

słyszysz się: *umarłych więcej niż żywych*
a tak naprawdę: *ofiary pieszko między modlitwami*

przygryzam dziąsła w środku nabożeństwa
i wypluwam ich resztki w moją zgrzaną dłoń
próbując uchwycić słowa celebransa
na witki haczki zwojów

słyszysz się: *śmierć oczyszczenie wszystkich*
a tak naprawdę: *wymazać czy jeszcze nie swe grzechy?*

padam na kolana i staję się literą z
w słowie zzzzzzzzzz namalowanym na posadzce świątyni
chłonę do środka jedyny prawdziwy głos
ale on mija mnie i leci nad sklepienie

słyszysz się: *zbawiciel co usłyszał wszystkich*
a tak naprawdę: *nieś to co na ramieniu!*

nie wytrzymuję
i wybiegam z wielkiej szafy świątyni
biegnę na oślep prosto do najbliższej biblioteki
aby nauczyć się wszystkich słów świata
aby przekonać się jak pisać słowo *prawda*
aby było najpiękniejszym słowem
w księdze której
nikt nie napisze

ale właściwie:
kto z was nie jest ciszą?

— jakby las się kołysał
tłum czyni znak krzyża
kłaniają się głowy
podobne do badyli świec
ze skróconym wiekiem

z ust celebransa lecą do nas
melanie klaudie hanki
mikołaje archipy aleksandry
stefanie anny anny
grzegorz jurki grzeński
a inni przychodzą do nas
z bram świętych ust

chleby na chlebach milczą
chleby które nie zaznały rąk
kobiecych mocnych gadatliwych
chleb sklepowe
woda na wodzie milczy
zwykła zwariowana woda
nieszczęsna woda w butelkach
woda sklepowa

melania klaudia hanka
stare garbate siostry
mikołaj archip aleksander
wnuk wnuk i dziadek
stefania anna anna
w jednym samolocie leciały
grzegorz jurek grzesiek
bracia nie po mieczu lecz słowie

las głów się kołysze
drzewa w chustkach i bez
kreślą w powietrzu krzyż
wychodzą do nas imiona
z wypominków na kartkach

RODZAJ

powiedziała mu
że jest w ciąży
a on pocałował ją w brzuch
równy jak oddech
niemowlęcia

podarował jej dziecko uśmiechu
na ustach
i kołysał ją
w swoich dołeczkach
na policzku

podarował jej
dziecko światła
i kołysał je
w małej jamce
na brzuchu
która była coraz bardziej
podobna do słońca

jakoś zapytał
co będzie
chłopiec czy dziewczynka

a ona odpowiadając zapytała
a życie
jakiego jest rodzaju?



Ihor Astapenko urodził się 16 marca 1992 roku w Białej Cerkwi. W 2015 roku ukończył Instytut Filologiczny Kijowskiego Narodowego Uniwersytetu im. Tarasa Szewczenki. W 2018 roku obronił pracę doktorską (ukraińskie: kandydacką) w Instytucie Literatury Narodowej Akademii Nauk Ukrainy. Jako poeta brał udział w różnych imprezach literackich: Arsenał Książki, Forum Wydawców we Lwowie, GogolFest, Platforma Sztuki, Arka Sztuki, Festiwal Poezji, Międzynarodowy Festiwal Poezji „Terra Poetica”. Jest finalistą konkursu MRP (2015) oraz konkursu „Dictum” Wydawnictwa Krok (2015). Laureatem I nagrody Międzynarodowego Konkursu „Hranosłów” (2016), II nagrody Konkursu Literackiego Wydawnictwa Smołoskyp (2018), Międzynarodowej Nagrody im. O. Honczara, nagrody „Złoty Klarinet” (2016), nagrody „Koronacja Słowa” (2016). Jest założycielem Ogólnoukraińskiego Konkursu Poezji „Hajworonnia” i Platformy Literackiej „Litstage” («Літстейдж»). Autor tomików wierszy *Szcziłnyk* («Щільник» 2015), *Lychotomia* («Лихотомія» 2016), *Szampanskie-pywo-szampanskie* («Шампанське-пиво-шампанське» 2018), *Derewa kraszczy za nas* («Дерева кращі за нас» 2021) oraz powieści *Czapolocz* («Чаполоч» 2019). Wiersze poety były przetłumaczone na język włoski, rosyjski, białoruski, angielski, polski, gruziński, rumuński i czeski. ■

Przekład z języka ukraińskiego Tadej Karabowicz

* * *

Wraz z pierwszym kluczem na niebie wrócisz i ty.
Twój cień twardo położy się na łono ziemne.
Tylko czy będzie ziemia jeszcze, czy czadem piekielnym
Przywitać cię zgorzkniałe tęsknych wiatrów sny?
Ulice czarne będą doganiały twój cień.
Kijowskie trotuary deptane setkami pokoleń,
Po raz pierwszy poproszą kogoś o hałas i ludzi.
Ty nie słyszysz ich! Będą ryczeć zajadle w piersi
A morzem i mgłą będą stać w tobie mocno,
I ty przeciw mim oddzieraj swój cień od ściany,
I stawaj na ziemi i jakoś próbuj ją ocienić,
nietykalną nawet dla siebie...

31.03.2020

* * *

cień przebyta
setkami pokoleń,
lecz nadal na nią dostojnie
spadają
jesienne świece
miodnych grusz,

gdy chodzę po świecie,
noszę cień pod słońcem,
niosę pod sercem słońce –
pierwszy z pokoleń stu.

i gdzieś w oddali
nad Żaszkwem gruszki
pęknięte w cieniu gniją.

gdy nagle powrócę
w świecę miodu gruszkowego –
cień przebędzie swój wiek.

* * *

chcę, żeby nade mną rozkwitła wiśnia.
wyżej niż niebo i kwiatem zasłaniała oczy.
posadźcie na tę wiśnię gołębia, bym w ciszy
miał więcej echa. i dziecięco
klaskał w dłonie,
póki ciemność przytula na moim łonie
swoje pierwsze zaczątki nocy.

będę zrywał kwiatki,
bo jeszcze długie nasze życie,
bo jeszcze gołąb prorokuje na wietrze
manowcami obce przybycie

w tym świecie na gościny – chrzciny – pogrzeby.

a ja chcę aby nade mną zawsze kwitła wiśnia
niby promienie.

SPOWIEDŹ KRZYŻOWEJ

między liśćmi wypalona cień.
dalej – kwiaty
i światło.
nikogo...
potem ktoś – niby czas – po kole
obejdzie od wszelkiego złego,
aby nie śnić po nocy
jem.
liście padają młodo,
padają na krzyż, a potem
kurz przemienia się w dym,
zatulając słońce i kamień.
amen.

* * *

można, położę się na twoich piersiach, jak na łożu.
i pokażę, że jestem dzieckiem. ty obejmiesz
potem ściskasz moją skórę, jak kwietniową trawę – cicho
zapłaczę.

łyż, jak orzechy, sypią się gorzkawo
na wzburzone płoso.
pasemko twoich włosów w dłoni – jak szkło –
i płytkie cięcie, i osocze krwi
nie przepowiednia gorącej, jak ostrze,
miłości

leżę na twojej piersi
dopiero narodziły.
jeszcze nie ma na drzewach liści.
jeszcze dzisiaj pruszyło śniegiem.
już kwiecień.
jeszcze nie ma na drzewach liści,
ale wczoraj zagrzmiało...

W.

my – niby dwa zgubione piórka
ze skrzydeł anioła w lutym –
cicho unoszone za śniegiem,
obnażając kontury ciała.

my zatrzymaliśmy się przed martwym ciepłem
ze szklanych oczek latarni,
aby odczuć muzyczną jedność
oddechów.

my zbyt delikatnie
w mroku nie odczuwaliśmy obecności –
a czuliśmy usta szaleństwem nalane,
jak różowe płatki.

* * *

Ja pod brokatem w słowie
świeczkę nieść będę do dzwonu.
ciemno i dymno, i dziwnie
straszenie, i dalej, iść.
gaśnie świeca – i wokół krzyże.
u sąsiadów – chrzciny.
znowu do dzwonu.
znowu od dzwonu –
księżyc – w jajku –
ile jeszcze lat na mojej twarzy
świeczka będzie się gasić..?

* * *

nic nie wiem
trawa niebiesko wrosła się w niebo
białe kielki słońca położyły się na moje zebra
nikogo nigdzie.
ani dopomagać
ani do nocy
Wreszcie ktoś zadzwonił
Jednak słońce we mnie
Już światem się potoczy

Białe serce moje w piołunie

W.

chłopczyku, spójrz między przestworza
spójrzaniem żółtych liści róż:
ile miłości noc po prostu niesie
we własnych rękach.

chłopczyku, zraniony Księżyc dojrzały z rozpacz
jest prorocstwem twojego własnego smutku
niebieskimi oczyma
silnymi żyłami
niezbyt miło.

noc przebiję wzrok w czarnych gałęziach
połączonych rąk,
puści świeżą krew na każde napotkane usta

a ludzie opadną, jak jabłka,
od bezsilności przed własnymi mękami
i będą ci zazdrościć, chłopczyku, widzialnego bóstwa.

KOŁYSANKA DLA PSZCZÓŁKARZA

zasypiaj chłopczyku,
z młodzieńczą nieskalaną twarzą,
na której lśni niewinność, jak rozdmuchana noc.
psia ciemność między maniakami i liśćmi
gorąco błądzi, jakby rozpołowiony gniew,

zasypiaj, chłopczyku, podczas gdy zarysy twego ciała
delikatni oddech czujny i ciężki.

wydechy uderzają o ramiona, jakby biały pszczółkarz
strząsa mokre skrzydła o światło płaskie.

śpij, chłopczyku,
bo już ten biały pszczółkarz
siadł na twoich ustach,
siadł tobie na piersi,
siadł na twoich biodrach
i zamarł.

* * *

czarny kwiat
wzbił się w niebo, jak modlitwy
czarny głos, jej płatki – słowa moje

widzi ptak
na czarnym kwiecie Boga półcień
schyla słońce w płatki do zdziwienia

mdleje kwiat
w trzech płatkach, jakby zobaczył Boże dźwięki
ja mały i mokry podbiegam łapiąc kwiatek do ręki.



Witalij Biżozir urodził się 28 września 2003 roku w mieście Żaszków w obwodzie czerkaskim (Ukraina). Do pisania wierszy zachęciła poetę babcia Kateryna Biżozir. W październiku 2019 roku autor napisał swój pierwszy wiersz, a w styczniu zadebiutował w almanachu poetyckim *Tak nikt nie kochał* w Wydawnictwie „Lilia”. W lipcu tego samego roku wszedł do pierwszej dziesiątki laureatów konkursu „youngArt”. W „Ukraińskiej Literaturnej Hazecie” w Kijowie ukazała się szersza prezentacja utworów poety *Gdzie padał kwiat – płonął świat...* (Kijów, 17 listopada 2020). Obecnie Witalij Biżozir aktywnie pracuje nad słowem, badając każdy jego aspekt. Publikuje swoje nowe utwory poetyckie na Facebooku. Studiuje na kierunku filologia ukraińska i twórczość literacka im. Andrija Małuszki w Narodowym Pedagogicznym Uniwersytecie im. M. Drahomanowa w Kijowie. Tłumaczenia pochodzą z publikacji prasowych i Facebook. Były uzgodnione z Autorem i przez niego autoryzowane. ■

*Z języka ukraińskiego przełożył Tadej Karabowicz***LASEM ZA LISICĄ**

krajobraz szczęśliwie przylegał do oczu
drżałem
przestraszony przepiórką
i wcale nie powinienem był tego robić
w ogóle wśród lasu za lisicę

ale potem ją wypatrzyłem
rozgarniając włosami
krajobraz
zaskoczyły mnie jej długie i smukłe cztery nogi
zaskoczyła mnie biała plama na końcu ogona

ja nie kogut
i nie kot
dlatego spokojnie mogłem podziwiać lisicę
wśród lasu
ale także spostrzegając
jak z ogrodu paintballowego
nadciągała szara chmura w siwej spódnicy –
ciemna góra jasny dół
jak mówią

lisica wbiegła na ścieżkę –
a ziemia była jeszcze czarna
lisica dotarła do środka ścieżki –
a ziemia stała się srebrna,
lisica zeszła ze ścieżki –
a ziemia już była biała,

wygląda na to że nie rozumiesz
że ja widziałem lisicę
tak jak w tej chwili
widzę ciebie

SHERRY AŁUSZTA

Z kobietą z zachodu, którą uczyłem pływać,
Z kobietą z południa, która proponowała zostać,
Z kobietą ze wschodu, która tkąła pajęczynę władzy,

Szliśmy wieczornym nasypem Ałusztu
Przez barokowe ubrania do foto-
Grafowania,
Przez odblaski
Oraz z powodu sherry.

Poszliśmy na dyskotekę,
Gdzie z nami tańczyła piana,
Tak obfita,
Że wydawała się strażą
I to dodawało poczucia pewności, poczucia bezpieczeństwa,
Przynajmniej przed pożarem.

Ale na próżno –

Po paru dniach, z dała od Ałusztu,
Dowiedzieliśmy się, że ta dyskoteka spłonęła.

Od tamtego czasu przybyło
Wiele nowych lat,
Zaglądałem, jak odbijają się w morzu inne miasta,
I zdarzało się często – że wspomniałem Ałusztę.

Pogodzony z nadmierem sentymentalizmu,
Ruszyłem na
Promenady włoskie, tureckie, hiszpańskie i greckie
W poszukiwaniu dyskotek,
I potem szukałem o nich w wiadomościach,
Ale wszystko stabilnie – nigdzie się nie paliło.

Nie jest łatwo zaakceptować myśli,
Że jakieś ważne wydarzenie
Może być powiązane
Nie z tobą, ale z kimś innym,
A jednak napisałem
Do trzech kobiet
To samo pytanie.

I jak myślicie –
Nie,
Na ich dyskotekach nic się nie paliło.

ŚCIANOLOGIA

ty wychodzisz stąd i idziesz

/można spokojnie sobie wyobrazić
jak twój bus
napina się i przebija
granice soczyste granice umowne miasta/

ty wychodzisz stąd i idziesz
a ja zaczynam
dobrze
jak w żadnych innych okolicznościach
rzetelnie
jak w żadnych innych okolicznościach
widzieć ściany

WŁOSY

biczowe fale mżawki
uderzają po twarz w zamyśleniu
i przypominają
wzburzone morze

jak kobieta
płynęła na wyspę
ale nie wyszło
i pętiła się zapachami
piany mokrej i piany suchej
i wróciła na brzeg

kiedy płynęła przed siebie
jej włosy wydawały się słoneczne
po powrocie –
słonecznikowe.

CIESZĄ SIĘ Z JESIENNEGO DETYLOMIDU

nie zauważyli –
świat stał się mokrym chlebem,
zupełnie nie do wzięcia: całkowicie się rozpada;

byłoby smutno, gdyby,
mały ziemisty domek
między dwoma torami
i stacją benzynową z ubiegłego wieku
nie uruchomił nowego projektu z komina –
żółto-sałatowego dymu
koloru,
który nakrywa całą okolicę;

jeżdżą teraz obok pociągami różnych kalibrów
ludzie –
persony świata hybrydowego –
i nie tylko jadą:
cieszą się z jesiennego detylomidu.

TRIUMF

Zachód słońca – to nieosiągalny
wszystkich triumfów prototyp i archetyp.

Świecą się rogi,
struny strzelają
i portyki chmur przebijają,
klawesynowa gwiazda.

Mienia się flagi w każdej minucie,
i my siedzimy na krowach,
całujemy rogi słońca, ramiona i piersi
i jak zawsze mamy wybór
szczodry,
triumfalny:
i iść z nim – to radość,
i zostać tutaj nie jest wstydem.

DOPEŁNIONA RZECZYWISTOŚĆ

zapach bukszpanu zimą –
jak księżyc za chmurami:
wiesz na pewno, że gdzieś jest;
jak masa perłowa w kałuży;
jako równowaga podczas siedzącego, nawet stojącego snu;
jak dzwonięcie sekundy;
jak kruka krakanie drżące;
jako dotknięcie siebie w muzeum;
jako przypadkowe spotkanie rąk
w dopełnionej czymś realności;

nawiasem mówiąc, czym dopełnić realność?

zimą ją dopełniają
zapachem bukszpanu,
a ty na pewno już wiesz,
gdzie on jest,
więc roztul swoje płatki
i poprzekadź trochę tej słodkiej muzyce,
oczywiście każdy może grać na takim flecie
w maju, czerwcu, w paleogenie,
a ty właśnie teraz spróbuj.

DOBIORĄ SIĘ RÓWNIEŻ DO TWOICH GARAŻY

w jednym z ośrodków
słodkich kłaczy kručzej cywilizacji garaży
wychyliwszy głowę z pociągu
zobaczyłem jak na szczycie góry garażowej
siedzi dziewczyna w szortach ze szparagusem
i trzyma podbródek na kolanach,
patrzyłem-patrzyłem
a potem obudziłem swój wewnętrzny głos
i on krzyknął do dziewczyny:

he-hej! nic!
już tam z wejść do metra wyrzucają kioski!
dobiorą się ścierwo i do twoich garaży!

czy to słyszała?
trudno powiedzieć
bo mój pociąg rozrzucił po wszystkich czterech
ścianach letniego wieczoru
głośne dźwięki
takie odgłosy
jakby ze wszystkich sił coś metalowe
uderzyło w inne coś metalowe

a właściwie
to tak było



Oleh Kocarew urodził się w 1981 roku w Charkowie. Poeta, pisarz, autor tomików poetyckich: *Krótkie i długie* (2003), *Całodobowo!* (2007, wspólnie z B. O. Horobczukiem i P. Korobczukiem), *Mój pierwszy nóż* (2009), *Zbieg okoliczności pod Jahotynem* (2009, z rosyjskimi przekładami Dmitra Kuźmina i Anastasji Afanasiewej), *Która godzina* (2013), *Cyrk* (2015), *Mielizny rzeki* (2015, wydanie wspólnie z Tarasem Prochašką), *Czarny chleb, biały wieloryb* (2015, w czeskich przekładach O. Sewruka i K. Hazukiny), *Plac Charliego Chaplina* (2018, z czeskimi tłumaczeniami M. Tomka), *Synkopa* (2019, w rosyjskich tłumaczeniach Stanisława Belskiego), *Zawartość męskiej kieszeni* (2021). Autor powieści *Ludzie w gniazdach* (2017) oraz zbiorów opowiadań *Niesamowita Historia Władzy Chłorofituma I* (2009). Współautor (wraz z Julią Stachiwską) antologii *Ukraińska poezja awangardowa (1910-1930)*. Redaktor almanachu „Znak”. Laureat nagród literackich „Smotokyp”, „Młode wino” im. Waleriana Pidmohylnego, czasopisma „Kurier Krywasu”, festiwalu „Kijowskie Laury”, konkursu haiku Instytutu Polskiego w Kijowie. Członek jury konkursu literackiego „Smotokyp” (2012–2019). Mieszka w Buczy pod Kijowem. ■

Z języka ukraińskiego przełożył Tadej Karabowicz

Gdy ginie piękno – jest jak proch z pierwiosnka,
 Jak płomień w ciemności bezdennej krainy ciepła
 Zapala się – i gaśnie. I to wszystko,
 Czym żyłeś, co kochałeś, co lubiłeś
 W miejscach, gdzie siebie utraciłeś,
 Popieleje. Nie ma
 Ani niepokalanego ducha, ani udęki wolności,
 Ni serca utkanego z gałązek rosy.
 A teraz idziesz w niewolę
 Dobrowolnie. O tak,
 Jakby wszystko, co się wydarzyło, było tylko dla szczęśliwej
 Chwili, w której ginie piękno
 I ty rozpadasz się pasmami wiatru
 W rozpaczliwą ciszę
 Trawy.

* * *

Katerynie Zatulii

...gdy z pustych korytarzy biją potężne strumienie światła – to my
 Spotykamy się, w ciemności łowiąc
 Nieskalane dotknięcia, czekając na grzech
 I spowiedź, i drogie nam tęczne spojrzenia
 Ciepłych niebios. Tu nie ma śmierci czy
 Leku od niej. Tutaj zacieramy granice
 Między wiatrem i spokojem. Idziemy do promieni,
 I będziemy mieli siłę nie upaść, a pójść
 Odpoczywać, i nie zachłysnąć się powietrzem –
 Takim czystym i białym, jakby utkanym
 Przez samego Boga dla swoich najświętych
 Sakramentów. Skrzy się na dłoniach śnieg. Czy to
 Perły od gwiazd oderwały się i upadły na wznak?
 Uwierz mi. Uwierz mi. Uwierz mi. Uwierz mi. Wierz.

* * *

Szepcze cisza modlitwę,
 Niby poluje na tygrysa.
 Karbuje słowo w piersiach
 Kwiat przedwieczorny.
 Świat w nas zobaczył
 Łowców tygrysów.
 Patrzę – i widzę w słowie
 Łap na dojrzałość,
 I młodzieńczą starość
 Na tle witrażu
 Mojego ciała.
 I zniknąć by – nie,
 Nie wybaczy
 Nikt
 Ani trochę
 Znikania.
 Świergoczę,
 Jak skowronek.

* * *

Przelatuje gołąb
 Między moimi palcami.
 Osiada jak popiół,
 Na chmurę – szarą i samotną.

Wyciosuje swoje posłanie dla świata
 Miękkimi, świetlistymi skrzydłami.
 Pędzi do spowiedzi – i w milczeniu
 Topi się pod słońcem. A to słońce
 Bawi się promieniami w kryjówkach wiatru,
 Ogrzewa wysoką trawę,
 Gdzie się zagubiłem.
 Ogrzewaj mnie, niezrozumiały potworze,
 Podarty ognisty kapeluszu,
 I lepiej powiedz:
 Dokąd?

* * *

Zmęczone ramiona drzew pozrzucały
 Przybłądne wiatry spod ruin
 Kamienicy. Ukłoniły się szaty
 Zgorzkniałym ścianom,
 Zagubionym słońcom,
 Zapieczonym martwo w murach.
 A my oszaleli w drodze do raję,
 Wymoszczonego kurzem, błotem
 I cierniem,
 Pytamy sobie: gdzie i jak daleko
 Ściełą swoją drogę
 Skamieniałe promienie słońca –
 Bursztynowe pasma w oknach –
 I stwardniałe promienie Księżycy –
 Rtęć na rogówkach jezior
 I ryb, które nie śpią o północy.

* * *

Hryckowi Czubajowi

Umarłeś w wieku Chrystusa,
 Jak i wolałeś,
 Trzykrotne zdobywając niebo
 I sto razy omijając
 Kamienne wrota Łyczakowa,
 Tak i nie znalazwszy Dotyczącego.
 I zmartwychwstając – tam,
 Gdzie cienie modlą się do księżycy,
 Gdzie Mars oświeśla zagasłe ogniska,
 A wśród nich – Twoje.
 Ty – moja pułapka. Mój ból.
 Zamknięte źródło,
 Co rozgrodziło swoje biegi,
 Nawadniając trawy –
 Niepisane, napisane, nie do opisanie.
 Wszystko zmieściło się na ostrzu,
 Jakby na łące.
 Jakby
 Na łące.

* * *

Otworzysz oczy – i ściemnieje na dworze.
 Będą kwitły akacje. Ręce ciężkie
 Położą się na pasiasty zmierzch.
 Dawnymi ścieżkami
 Z lwowskich wzgórz
 Będą iść na spotkanie

Cienie świerków.
A po drodze będą się krzyżować
Ze spiżowymi dzwonami.
Echo niespokojne,
Córko kamiennych krat,
Schowaj się w ciemności
I zaśnij aż do skonania.
Ja cię zawołam
Jak umarli
Rozepną resztki dymu
Na oczach starców
Za moimi plecami.
Spiżowe dzwony – rozbite.
Poszczerbione kwiaty
Zakwitną ponownie.
Ptak chowa się pod skrzydłem
Ciepło jutrzejszego słońca.

* * *

Światła zagasły.
Za horyzontem sący się noc z dziurawego dzbana.
Pochłaniam rozdmuchane wspomnienia
Dziesięciodniowego
Dziesięcioletniego lata.
Zwijam stulecia w puste piwnice duszy.
Dźwięcznie nachyla do mnie dźwięki
Nieznajoma i solidna gitara.
A my... A my wokół patrzymy
Na lunę, jak na wstający świt.

* * *

Wyschłeś, zwiędłeś, zdrobniałeś.
Zdrewniały i lekki jak wiatr,
Wcisnąłeś się między światem,
Na tyle obcym dla ciebie,
Jak i ty dla niego.
Otarłeś się o trwoję. Zacichłeś.
I szukasz nieszczęścia.
Na próżno sieje liść młody dąb –
Nawet pęd nie wyrośnie
Na kamiennym gruncie.
Na koronach
Słowo rozdziobuje
Kościsty kruk.
W głąb nie puściwszy korzeni,
Drzewo chwiejności szuka,
A znajduje tylko chustkę,
Zakopaną w pustkę.

* * *

W ścianie wyrastają nowe kamienie –
W starej, zaczerepiałej ścianie,
Wplecionej w zieloną pajęczynę błuszczu.
Sieje się pył na spalone stronicie –
To przemielony z sumieniem deszcz,
Który cały czas niezauważone wyluszczał się
Z chmur
I padł
W dłonie
Rozpostartego
Wężowego chłodu.
Teraz kwiat, a nie śnieg, opada z gałęzi.

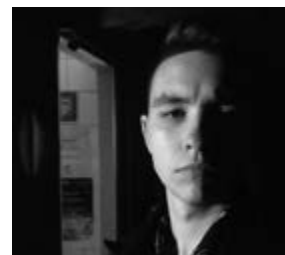
Lak zmartwychwstaje, wiatr krzesze się z trawy,
Chrystus czeka wyczerpany
Razem z nami
Na sąd.

* * *

Śpię.
A w moim śnie widzę twój pokój.
W tym pokoju czytasz książkę.
A obok ciebie wirują lustra
Ze łzami w szklach.
Za oknem pełnie pasmem zmierzch.
Ściany czekają na cienie. Cienie czekają,
Dopóki nie zakończysz czytania i wejdiesz
W niespokojne ręce ognia.
Deszcz – blada, wstydliva dziewczyna – chłodzi zasypany
popiołem komin.
Stukanie kropli odciąga cię
Drżącymi palcami
Do rajju

* * *

Wyznaj nocy że jej nie kochasz –
I zobaczysz odcięte od wiatru
Kielki światła pod swoim zębem.
Zabity przez noc,
Sprowadzaj dziwną gwiazdę swojej tajemnicy
Na wschód, przeciwko lúnie.
Po cichu przeszukaj w pajęczynie gałęzi
Niedojrzały płód,
A on potoczy się po brzuchu drzewa
I szuśnie w wodę.
Tam znajdziesz kości słońca –
Mokre, gorące.
Usiądź.
Ogrzej w nich dłonie.



Lubomyr Łesonin urodził się w 2002 roku w mieście Brody w obwodzie lwowskim. Od dzieciństwa interesował się literaturą różnych gatunków w tym poezją. Obecnie student Wydziału Filologicznego Lwowskiego Narodowego Uniwersytetu Iwana Franki. Debiutował we wrześniu 2017 roku, w lwowskim czasopiśmie literackim „Dzwini” opowiadaniem *Samberlerowe rękopisy*. Od tego czasu jest stałym autorem lwowskiego „Dzwonu”. W 2018 roku wszedł do setki, a później do „dwudziestki” najzdolniejszych autorów Ukrainy na I Międzynarodowym Dziecięcym Festiwalu Literackim „Literature Future” (Czerniowce). Otrzymał tytuł „Najlepszego Młodego Autora Ukrainy i Przyszłość Ukrainy”. Zdobywca dyplomu konkursu literacko-artystycznego „TERNOSŁOW” (Tarnopol, 2019) w kategorii „Proza”. Zdobywca dyplomu w konkursie „Młoda KoroNacja” (Kijów, 2019) w nominacji „Powieść”. Własną poezję oraz krótką prozę sytuacyjną i wypowiedzi literackie umieszcza na Facebooku. ■



Wincenty Pol
20.04.1807 – 02.12.1872

Śląsk oczami Wincentego Pola

TADEUSZ LOSTER

siebie Śląsk. Warto przytoczyć te dość obszerne fragmenty listu, które dotyczą Górnego Śląska, widzianego oczami nie tylko poety ale także samouka geografa, który za parę lat będzie profesorem nadzwyczajnym pierwszej w Polsce, a drugiej na świecie katedry geografii na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie.

Most na Przemysły zatętnił pod nami i byliśmy za granicą i już po drugiej stronie pięknych wyżyn krakowskich, na szląskiej prozaicznej ziemi. W Mikołajowie (spolszczona przez Pola nazwa miejscowości Mikołów) był już świt dobry. Strudzeni po niespanej nocy wysiedliśmy z powozu na mieście. Nic prozaicznego nie widziałem w życiu, jak ten Mikołajów o chłodnym świecie, gdzie wszystkie uliczki proste, wszystkie domy jednakie, ponure i ciemne z wierzchu, a jak się domyślać należy, bardzo nudne w środku. Kilka starych szlafmic wywlekło się do okien i wyjrzało na nas zza firanek – znać, że ich trąbka pocztarska zbudziła i że widok pocztowych wozów należy do najosobliwszych w tym mieście... Z niecierpliwością, z jaką się człek zbliża do brzegu morskiego, kiedy po raz pierwszy ma zobaczyć morze, zbliżaliśmy się ku Gliwicom, gdzieśmy wsiadli na żelazną kolej, bo było w towarzystwie kilka osób, które jeszcze nie znały tej jazdy.

Wincenty Pol trasę z Krakowa do Mikołowa przebył dylizansem pocztowym po wyboistych w tych czasach drogach, które wtedy pasażerom zaprzęgniętego w piątkę koni pojazdu nie pozwalały zasnąć podczas nocnej podróży. Rozpędzony dylizans do prędkości nawet ponad 20 kilometrów na godzinę wjeżdżał do miasta, uprzedzony sygnałem trąbki pocztowej, która budziła mieszkańców.

Drogę z Mikołowa do Gliwic musiał przebyć poeta również konno choć w jaki sposób nie wspomina w liście. Kiedy tutaj po kilku dniach pobytu wsiadał do pociągu, jazda koleją żelazną była w tym czasie atrakcją. Trasa Kolei Górnośląskiej na odcinku Mysłowice-Wrocław została ukończona 3 października 1846, czyli funkcjonowała już 10 miesięcy a w Galicji, gdzie mieszkał poeta, linia kolejowa z Krakowa do Mysłowic została otwarta dwa miesiące po podróży Pola na Śląsk.

Okolice Gliwic i Królewskiej Huty należą na Śląsku do najbardziej ożywionych przemysłem. Gdzie tylko okiem rzucisz, wznoszą się po polach samotne domy fabryczne, kuźnie i warsztaty, i wysokie kominy parowych maszyn, i długie koszary robotników, a obok nich sterczą wszędzie mogiły rudy, żużla i węgla kamiennych. Zużelica wysypane drogi, dymami napelniona nieraz cała okolica; a sadzą okopcone domy, pola a nawet i lasy na znacznej przestrzeni dokoła tych kuźnic: nadają dziwnie ponury wyraz tym okolicom, gdzie człowiek pod ziemią nurtuje tylko za rudą i węglem, a na ziemi zajmuje się tylko wyrobem żelaza. Do łatwiejszego przewozu jest tu kilka rzek skanalizowanych, a podziemny kanał sztucznie bardzo prowadzony aż w głębie kopalni węgla kamiennego, ułatwia ich dostawę w odleglejsze strony. Stąd pochodzi cały ruch handlu żelazem, który się na wszystkie rozchodzi strony i Gliwice lubo małe, mają już pozór handlowego miasta.

Schyłek XVIII wieku na Górnym Śląsku to zarazem początek jego przemysłowego rozwoju. W 1796 roku w Gliwicach założona została Królewska Odlewnia Żelaza zwana również Starą Hutą. Już w 1798 roku w tejsze hucie uruchomiono

A czy znasz ty, bracie młody,
Twojej ziemi bujne płody,
Twe kurhany i mogiły,
I twe dzieje, co się śmiły?

Kto tam zgadnie, gdzie osiędzisz,
Jaką wodą w świat popłyniesz,
w której stronie walczyć będziesz,
I od czyjej broni zginiesz?

Wyleć ptakiem z tego gniazda,
Miłać będzie taka jazda,
Spojrzyć z góry na twe ziemie,
I rodzime twoje plemie...

Wincenty Pol „Pieśń o ziemi naszej”

W roku 1843 ukazało się poetyckie dzieło Wincentego Pola „Pieśń o ziemi naszej”, które przyniosło mu duże uznanie. Był to poetycki cykl opisów ziem polskich, odwiedzanych przez Pola a także tych, które wchodziły w skład Rzeczypospolitej w okresie jej świetności. Niestety wśród opisanych ziem brakło Śląska „...który z dawna do Polski należący naprzód utracił”.

W połowie sierpnia 1847 Wincenty Pol ze Lwowa poprzez Kraków przyjechał na Śląsk i zatrzymał się w Gliwicach w Hotelu „Pod Złotą Gęsią” (w istniejącym do dzisiaj budynku przy ul. Matejki 3). Przebywając w Gliwicach nie przypuszczał, że jego wnuk Leon Wincenty Pol wkrótce po plebiscycie i wkroczeniu Wojska Polskiego na Śląsk w 1922 roku jako nauczyciel osiedli się w Siemianowicach Śląskich, a syn Leona Adam Wincenty Pol zamieszka w Gliwicach przy ul. Krótkiej, 200 metrów od hotelu, w którym przebywał prapradziadek.

Przypuszczalnie po kilku dniach pobytu w Gliwicach Pol koleją żelazną poprzez Koźle i Brzeg udał się do Wrocławia. Tutaj pisze obszerny list do swojej żony Kornelii Polowej z domu Olszewskiej, w którym opisuje zwiedzany przez



Tablica na budynku hotelu „Pod Złotą Gęsią” w Gliwicach, fot. Jerzy Lewczyński

miono odlewnię, która do wytopu żelaza używała pieców opalanych koksem.

Jeszcze przed uruchomieniem hutniczych pieców – w roku 1791 w Zabrzcu rozpoczęto budowę kopalni „Królewskiej”, w której wydobywany węgiel nadawał się do produkcji koksu potrzebnego dla hutnictwa. Wraz z budową kopalni i huty rozpoczęto budowę Kanału Kłodnickiego, który miał połączyć przemysłowy region Górnego Śląska z morzem poprzez doprowadzenie go do Koźła do rzeki Odry. Początkowo kanał miał być doprowadzony do Gliwic a tu zasilany wodą z rzeki Kłodnicy. Ze względu na powstanie gliwickiej huty (a w Zabrzcu kopalni węgla koksującego) kanał został przedłużony do doliny rzeki Bytomki, gdzie był wylot Głównej Kluczowej Sztolni Dziedzicznej odprowadzającej wodę z kopalni „Królewskiej” zwanej później kopalnią „Królowa Luiza”.

W roku 1806 kanałem tym, zwanym „Sztolniowym”, z kopalni łodziami, a później barkami węgiel płynął do Królewskiej Odlewni Żeliwa w Gliwicach. Kanał Kłodnicki, który miał ok. 45 km długości, szerokości 12 m oraz 18 śluz, został oddany do użytku w 1812 roku. Wiezione tą drogą wodną małymi barkami wyroby żelazne, węgiel oraz rudy cynku płynęły do Koźła gdzie towar przeładowany na większe barki rzeką Odrą płynął już w stronę morza.

Czy Wincenty Pol, przebywając w Gliwicach, zwiedził Starą Hutę? Czy oglądał Kanał Sztolniowy, ujście Kluczowej Sztolni Dziedzicznej, gliwicki port oraz Kanał Kłodnicki? Czy tylko wspomina te cuda techniki słysząc o nich z opowiadań? Jestem przekonany, że je zwiedził. Na pewno przejeżdżał po utwardzonych wielkopieczowej szlaką drogach, oglądał kuźnie ze wznoszącymi się kominami od parowych maszyn, przyfabryczne i przykopalniane hałdy węgla i żużla, i ówczesne „familoki” nazwane przez Pola robotniczymi koszarami. Musiał oddychać powietrzem przepelnionym dymem i oglądał domy okopcone sadzą.

Czterdzieści kilka wagonów składa tą razą tabor, który z nami odpłynął na zachód lekką pochyłością kraju ku Odrze, a w Koźlu ujrzelśmy się już w obszernej dolinie Odry, którą odtąd na całej przestrzeni aż do Wrocławia prowadzona jest kolej żelazna. Zda mi się, iż nie oceniono dotąd tych korzyści, jakie daje podróż koleją żelazną pod względem poznania fizjognomii kraju i jego rzeźby geograficznej. Powszechnie słyszałem żalących się na to, że ta piękna panorama widoków znikła za przędko z przed oczu i że żadnego szczegółu oko w tym przelocie przedmiotów pochwycić nie zdoła. Tego wrażenia doznałem, gdyśmy po łagodnych stokach wysoczyzny śląskiej spłynęli w Koźlu na dolinę Odry.

Dawno, bo jeszcze o świcie, znikła była na południu błękitna wstęga, którą się od seledynowego nieba odcięły podgórze polskiego Beskidu – teraz od Koźła rozłożył się w dolinie Odry kraj równy i otwarty szeroko przed nami; tu i ówdzie po lewej stronie błysły w przelocie malownicze zakręty Odry wiklinami porośłe, a na niej pierwsze żagle i pierwsze flagi statków, wiążące nadzieję ku morzu.

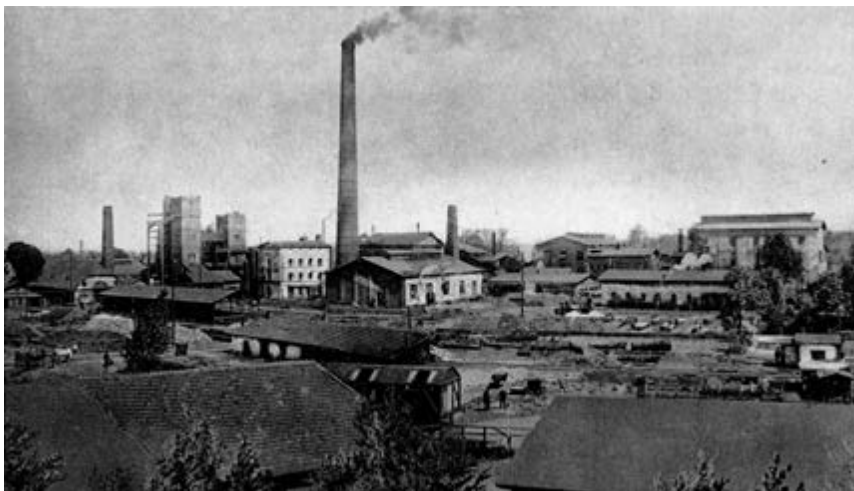
Małe dąbrowy i topolowe laski, płaskim grzbieciem na wielkiej bardzo przestrzeni tarnowieckiej wyżyny, w starożytnej Polsce Tarnowskimi Górami nazwane. Te zamykają na wielkiej przestrzeni dolinę Odry lesistym grzbieciem i odwracają ją ku północnemu zachodowi łagodnie. Odпустowe miejsce na górze św. Anny jest punktem górującym na grzbiecie tych wyżyn, lecz od niego poczyna się obniżać całe pasmo i przechodząc w kilka gałęzistych cieklin pomniejszych spływa na północ łagodnie.

Już od miasta Brzegu – gdzie się gościńce handlowe dawnej Polski schodziły ku Odrze – widać na zachodzie smugę błękitną jakiegoś górzystego grzbiecie, który się z każdą chwilą podnosi i coraz wyraźniejsze przybiera kształty. Są to olbrzymie góry po czesku Korkonoszami zwane.

Gdyśmy się ku Wrocławowi zbliżaliśmy, ujrzelśmy górę Sobotę w błękitnym oddaleniu w kształcie olbrzymiego kopca wznoszącego się na trzonie obszernych równin, które od gór Korkonoskich spływają ku Odrze. Starożytnymi wieżami



Ładunek węgla na łodzi w podziemnym porcie kopalni „Królowa Luiza” w Zabrzcu, rycina z pocz. XIX w. ze zbiorów Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzcu



„Królewska Odlewnia Żeliwa – Stara Huta” w Gliwicach w XIX wieku, pocztówka ze zbiorów Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze

swoimi powitał nas Wrocław i chwil kilka później ujrzelśmy się wśród wrzawy prawdziwego pogranicza i ruchu handlowego miasta.

Pociąg złożony z czterdziestu wagonów ciągnięty był przez lokomotywę parową, która z Gliwic do Wrocławia poprzez Koźle miała do przejechania około 160 km, które pokonywała w czasie 5 godzin jadąc ze średnią prędkością ponad 30 kilometrów na godzinę. W tym czasie dla pasażerów przyzwyczajonych do prędkości pojazdów ciągniętych przez konie była to prędkość oszałamiająca. Pasażer pociągu, oglądający przez okno wagonu mijane widoki, nie nadążał ze śledzeniem w przelocie zmieniającej się okolicy.

Takich trudności nie miał Wincenty Pol, opisujący w swym liście malownicze zakręty Odry, laski i wyżyny czy miejscce pątnicze, Górę św. Anny, oddaloną od torów żelaznej kolei o kilka kilometrów. Korkonosze to spolszczona (przez Pola) nazwa Karkonoszy – najwyższego pasma górskiego Sudetów a góra Sobota to Sobótka wyraźny samotny Masyw Słęzy, położony 30 km od Wrocławia będący najwyższym wzniesieniem Pogórza Sudeckiego.

Kraj na całej przestrzeni od Koźla do Opola jest mało urodzajny, piaszczysty, często sosnowymi lasami porosły. Gospodarstwo jest wzorowe, uprawa ziemi bardzo staranna, lasy utrzymane jak najlepiej, lecz roślinność w ogólności biedna i tylko cywilizującej potędze udało się odkraść naturze pewien wdzięk i nadać krajowi wyraz cywilizacji zachodniej. Wszakże nie tylko czasy dzisiejsze przyłożyły się do wzniesienia tej krainy. Śląsk ma piękną przeszłość, którą odczytać można już nawet w przelocie taboru.

Wszędzie lud zamożny i dobrze odziany, w swym stroju lśniący barwami przeszłości, wszędzie bydło piękne, wsie gęsto nasiadłe, miasteczka budowane. Wszędzie wznoszą się wieże Piastowych ratuszów, wielkie ogorzałe korony baszt sta-

rych, zamki i klasztory po miastach, a po wsiach odwieczne gotyckie i bizantyjskie kościółki, na pozór starsze niekiedy niż kościoły krakowskie. Patrząc na ten kraj, gdzie przeszłość w budowlach starych zostawiła dzieje, i na ten lud dzisiejszy jego, na ten lud prosty „pracy i spokoju”, smutniałem bardzo i pytałem sam siebie, czy w tym kącie świata Szląsk jest przedmową do Krakowa czy Kraków w tym zakątku progim Europy zachodniej i ostatnim wielkim pomnikiem jej cywilizacji odwiecznej.

Pol nie tylko widział i podziwiał krajobraz Śląska ale także Ślązaków – lud zamożny, dobrze odziany, prosty, lud pracy i spokoju, któremu udało się poprzez swoją pracowitość, wzorową gospodarkę, staranną uprawę ziemi, zadbane lasy doprowadzić ten obszar kraju do cywilizacji zachodniej. Poeta ze smutkiem stwierdza, że Śląsk jest początkiem Europy zachodniej w stosunku do Krakowa, a faktycznie – biednej Galicji.

Warto przytoczyć fragment drugiego listu, który Wincenty Pol pisze do swojej żony z Wrocławia w sierpniu roku 1847. W tym fragmencie listu poeta w Ślązakach odnajduje Polaków.

Jeszcze na żelaznej kolei poczeli wszyscy z nami jadący Szlązacy mówić po polsku, poznawszy w nas Polaków, lubo poprzednio mówili po niemiecku między sobą. Nawet nazwiska mają tu znaczenie: i tak jechało z nami dwóch oficerów pruskich, Błędowski i Bogusławski, obadwaj wnukowie dwóch konfederatów barskich osiadłych na Szląsku, którzy lubo nie umieli po polsku, przyznali się jednak z chlubą do swego pochodzenia i umieli nam w sposób bardzo zajmujący opowiedzieć swe rodzinne dzieje. Na coś podobnego natrafia się co chwila we Wrocławiu; rzadki dorożkarz, który by nie mówił po polsku, gdy pozna, że wiezie Polaka – służba w oberżach i kupcyki w magazynach poznali nas na pierwszy rzut oka i wszędzie znajdzie się przynajmniej jeden człowiek w domowym lub

handlowym składzie, co mówi dobrze po polsku – wszystkie napisy na sklepach są w dwu językach pisane. Uderzającym jest jednak to zjawisko, że tylko lud czytuje i modli się po polsku; dla ludu więc jest język polski językiem domu i kościoła.

Może jeszcze trochę o księgarniach handlujących polskimi książkami, oraz o polskich i polskojęzycznych książkach, sprowadzanych z Lipska, wydawanych przez firmę F.A. Brokhaus, które Pol przegląda i podziwia we wrocławskich księgarniach. Właśnie ta firma w roku 1864 wydała poecie Wincentemu Polowi zbiór wierszy „Kilka kart z krwawego Rocznika” – z okresu Powstania Styczniowego, które w tym czasie nie miałyby szans na opublikowanie w Galicji, a co dopiero w Kongresówce.

Dziś rano zwiedzałem tutejsze księgarnie – Księgarnia Hyrta i Szlettera jest prawie wyłącznie zajęta handlem książek polskich. Mnóstwo nowych i pięknych rzeczy, mnóstwo przedruków i nakładów świeżych, których nie znamy jeszcze; a to najdziwniejsza, że te same książki polskie sprowadzane z Lipska są tu daleko tańsze od tych, które do nas wprost docho- dzą z Warszawy, z Poznania, z Krakowa.

To tylko kilka fragmentów długich i wyczerpujących spostrzeżeń Wincentego Pola z wyprawy po Śląsk. Piszący żałuje, że przytoczył tylko krótkie urywki listów. Te pominięte, równie wspa- niałe opisy i spostrzeżenia poety geografa, uczyniłyby z tego artykułu naukowe opracowanie, czego pragnąłem uniknąć. Ciekawe jak po tej wyprawie brzmiałby rozdział o Śląsku poematu „Pieśń o ziemi naszej”. Należy tylko żałować, że Wincenty Pol zwiedził ziemię śląską cztery lata po napisaniu swoich Pieśni. Korzystałem z książki Zbigniewa Sudolskiego *Listy z Ziemi Naszej. Korespondencja Wincentego Pola z Lat 1826-1872.* ■



Wylot Głównej Kluczowej Sztolni Dziedzicznej kopalni „Królowa Luiza” w Zabrze, zdjęcie ze zbiorów Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze

Śląski reporter o Ukrainie

ze Zbigniewem Rokitą rozmawia
Małgorzata Lichecka



foto: Michał Bukasa

Jest pan reporterem, specjalizującym się w problematyce Górnego Śląska i Europy Środkowo-Wschodniej, niedawnym laureatem NIKE za „Kajś”. Proszę powiedzieć, dlaczego Putin zaatakował Ukrainę?

Chce powrócić do ładu jałtańsko-poczdamskiego. Tak, chyba najprościej, można to ująć. Ma poczucie, że Zachód oszukał Rosję. Z perspektywy Putina w 1945 roku doszło do porozumienia Zachodu z Związkiem Sowieckim, którego sukcesorką jest Rosja, i w momencie osłabienia Związku Radzieckiego, później Rosji, Zachód wszedł we wschodnią strefę wpływów. Mieliśmy, kolejno, przyłączenie Niemiec Wschodnich do Zachodnich, później pierwsze rozszerzenie NATO, następnie drugie obejmujące również dawne republiki radzieckie – Litwę, Łotwę i Estonię. Rozpoczęło się też zbliżenie Sojuszu Północnoatlantyckiego z takimi krajami, jak Gruzja czy Ukraina, czyli z rdzeniem dawnego Imperium Rosyjskiego. W związku z tym Putin chce powrócić do zimnej wojny, wygrać wojnę, która skończyła się już dawno temu i zrewidować porządek międzynarodowy.

Z jednej strony szaleńczy pomysł, z drugiej, trudno mu się dziwić. Jest wychowankiem tamtej epoki i tęsknoty imperialne są immanentną cechą jego życia, wzrastał w takiej idei. Co skutkuje odbieraniem niezależności tym państwom, które ją osiągnęły, czyli na przykład Ukrainie. Ale specjaliści twierdzą, że to nie koniec. Dzisiaj przeczytałam na jednym z poważniejszych portali takie pytanie: czy Putin zaatakuje Polskę?

Rozumiem pokusę przeprowadzania analogii z drugą wojną światową, ale trzeba zauważyć, że w 1939 roku Niemcy były jedną z globalnych potęg gospodarczych. Zatem podbić jakiś kraj to jedno, choć – jak się okazuje – nawet to nie udaje się Rosjanom tak łatwo, jak zakładali. Trzeba jeszcze kontrolować podbite terytoria. PKB Rosji jest wielkości PKB Korei Południowej. To niewielka gospodarka i nie może się równać ani z Niemcami w 1939 roku, ani ze Związkiem Radzieckim w szczycie zimnej wojny. To kraj, który ma bardzo ograniczone możliwości konstruktyw-

nego działania, ma natomiast ogromny potencjał destabilizacyjny i z chaosu czerpie korzyści – temu ostatniemu towarzyszy np. wzrost cen ropy. Putin nie jest w stanie kontrolować całej Ukrainy. Ja sam, podobnie jak wiele osób ze środowiska dziennikarskiego, zajmujących się Europą Wschodnią, mam poczucie bardzo dużej dezorientacji. Na scenariusz, który Rosja, Putin, obecnie realizuje, dawałem może pięć procent szans. Czy Putin zaatakuje Polskę? Nie można odrzucić takiego scenariusza, ale jest on mało prawdopodobny. Jeśli już, spodziewałbym się punktowych prowokacji, mających sprawdzić, gdzie kończy się Sojusz Północnoatlantycki i czy da się cofnąć rozszerzenia z 1999 i 2004 roku, czyli zrobić to, o czym kilka miesięcy temu mówił Putin: uczynienie z NATO-wskiej Europy Środkowo-Wschodniej *de facto* strefy buforowej, która nie byłaby rdzeniem NATO. Ale wydaje się, że Polska rzeczywiście jest chroniona i Zachód zrozumiał, gdzie są jego granice. No i zarówno UE, jak i NATO poaktowały Ukrainę jako część Zachodu i bardzo asertywnie się o nią upominają.

Większość społeczeństwa żyła w bańce, nie miała pojęcia czym jest dziś Rosja, jakie są jej interesy w świecie, jak uzależniła od siebie wiele państw zachodnich. Okazało się, że wszyscy jesteśmy ze sobą połączeni, nie tylko gazociągami jamalskim, a pieniądze znaczą często więcej od ludzi.

Nie przeceniałbym skali bojkotu Rosji. Trzeba pamiętać o tym, że ogromna część świata nie potępiła jej. Chiny, Indie, Brazylia i wiele innych. A to nie koniec. Rosja ma możliwość gospodarczego wyżycia, jest w stanie dłuższy czas przetrwać sankcje w ich obecnym kształcie. Jeśli z lekcji, jaką dostał Zachód, rzeczywiście wyciągnięto by wnioski i uniezależniono się od surowców energetycznych Rosji, byłby to wielki cios dla jej budżetu, którego znaczna część opiera się na eksporcie ropy i gazu. Mamy instrumenty i nigdy nie było tak solidarnej odpowiedzi Zachodu na działania Rosji. Tej solidarności zabrakło choćby w 2014 roku. Wtedy Zachód zrobił mało i pokazał Putinowi, że może bezkarnie działać. Ale okazało się, że dziś już nie może.

Co mówią pana znajomi z Ukrainy?

Kiedy rozmawiam z przyjaciółmi z Ukrainy nie wiem jak się zachować. I myślę, że wiele osób nie wie. Bo sytuacja, w której się znaleźliśmy dla większości z nas jest precedensowa. Z jednej strony sami, pośrednio lub bezpośrednio, czujemy się zagrożeni, z drugiej, często mamy tam bliskich. Wczoraj rozmawiałem z przyjacielem z Ukrainy i usłyszałem „no przecież większość świata jest po stronie Orków”. Ukraińcy tak nazywają Rosjan, i wcale nie u wszystkich jest poczucie, że oto świat się za nimi wstał. Kiedy słucha się przemówień Wołodymyra Zeleńskiego, dziś popieranego przez ponad 90 proc. Ukraińców, wierzy się, że Ukraina wygra wojnę. Ja w to wierzę, bo wojnę można wygrać na wielu poziomach. A poparcie tego polityka bierze się w dużej mierze z jego asertywności wobec Zachodu. Zeleński daje mu do zrozumienia: to ty Zachodzie nas potrzebujesz, nie my ciebie. Skończył się czas, kiedy Ukraina wycierała brukselskie korytarze, prosząc o wejście do UE, teraz to Ukraina broni Zachodu, a on, nakładając sankcje, owszem, płaci cenę, ale jest ona niewielka, w stosunku to tego, co robią dziś, walcząc, Ukraińcy i Ukrainki.

Codziennie przybywa uciekinierów z Ukrainy, już półtora miliona znalazło schronienie w wielu polskich miastach.

Ktoś napisał, że Polska robi dla Ukrainy to, czego nikt dla Polski nie zrobił w 1939 roku. Dziś wizerunek Polski i Polaków polepszył się, w wielu środowiskach na świecie byliśmy w ostatnich latach często kojarzeni jako kraj ksenofobiczny, teraz coraz bardziej jako wręcz bohaterski. Na Google Maps widać pięknie, że Polska jest jednym wielkim domem dla uchodźców. Widzę, jak się integrujemy, jak wiele osób się angażuje, to jest wręcz terapeutyczne, bo bezczynność jest straszna. Mam nadzieję, że tej pary starczy nam na długo. ■

18 marca 2022 red. Małgorzata Lichecka została laureatką 14. edycji ogólnopolskiego konkursu dziennikarskiego dla mediów lokalnych SGL Local Press 2021 w kategorii Wywiad, za rozmowę ze Zbigniewem Rokitą *Niech się wszyscy stają Ślązakami*. Redakcja „Śląska” serdecznie gratuluje Autorce i życzy dalszych sukcesów.

Do holu wchodziły białe duchy, tupiąc niezgrabnymi nogami, klaszcząc w dłonie, a mleczne chitony falami opadały na podłogę.

„Ale zima!” – wykrzykiwali niektórzy, ponieważ brakowało im wyobraźni, by powiedzieć coś więcej.

– Pozdrowienia od Dziadka Mroza! – próbowali inni żartować, zrzucając mokre płaszcze na szafę.

Lina automatycznie się do nich uśmiechała, inaczej przecież nie wypada. „Jacy oni wszyscy nudni i niewyraźni” – wkradła się myśl do jej głowy. Nudni i niewyraźni wchodzili do sali tanecznej i zaczęli monotonnie polerować parkiet, podrywać te same nudne i niewyraźne dziewczęta lub gubić się w stadach i strasznie bezmyślnie narzekać, na to i owo.

Nie, nie, Lina nimi nie gardzi, po prostu strasznie żałuje tych zbuntowanych łani, które dzień w dzień trwonią swój czas i energię na tasowanie po parkiecie. Tak, na tasowanie po parkiecie, bo nie chce bluźnić i nazywać tego tasowania tańcem.

– O czym myśli moja Pani? – czyjś głos przerwał myśli Liny.

Aha, to ten sam, który próbował ją oczarować wczoraj i przedwczoraj dowcipami i wyrazem twarzy zapożyczonym z hinduskich filmów.

– Pan znowu zapomniał papierosów? – wpatruje się w jego cukierkowy uśmiech.

– Trafiła Pani w samo sedno.

– Numer? – bogatsza o tę informację, Lina znalazła tani krótki płaszcz przywieziony kiedyś z zagranicy i wyciągnęła z prawej kieszeni wytłamszoną paczkę „Kazbek”. Nie ma wątpliwości, że ten dzielny pan pali zwykłe gilzy, które co wieczór napycha tanim tytoniem. Ale z jaką pompą uderza ustnikiem papierosa o pudełko! Jak majestatycznie podpala zapałkę!

– Może zatańczy Pani ze mną na jeden taniec?

– Nie, nie ma mowy.

– Och, anioł pokazał zęby! A jednak?

– Niech mnie pan posłucha – mówię z irytacją – to jest szatnia, a nie zbiór komplementów z zeszlorocznych filmów.

– Państwo, bądźcie wobec siebie uprzejmi – powiedział sympatyczny pan.

– Goście, nie przeszkadzajcie pracownikom w wykonywaniu ich obowiązków – uśmiechnęła się Lina niezwykle uprzejmie.

– Może Pani powie swoje imię?

– Makbet.

– Będę na Panią czekać przy wyjściu.

– Jeśli tancerze mają wolny czas, mogą go spędzić w towarzystwie jednej z baletnic – Lina wskazała paluszkami w górę.

– Ты меня не любишь, не жалеешь...¹

– Członkowie klubu literackiego mają spotkania we wtorki i piątki o piętnastej – wręcza mu darmową ulotkę.

Chwała Bogu, grają pożegnalnego tańca i wąski strumień ludzi wraca do szatni po ubrania. Lina nienawidzi swojego „zawodu”, ale bardzo lubi ubierać i rozbierać ludzi, jest w tym jakaś magia i niejednoznaczność, gdy w końcu znajdzie prawdziwą pracę, jeszcze długo będzie pamiętała bukiety ludzkich twarzy. W końcu tu, oprócz „profesjonalnych tancerzy – tasowaczy” czasami pojawia się mnóstwo pięknych chłopaków i dziewczyn. Gdzie tylko nuda ich nie zaprowadzi! Może kiedyś też będzie musiała spędzać wieczory w takiej sali tanecznej i umierać z nudów i pustych rozmów, słuchać komplementów i tańczyć „tak jak poprowadzi partner”...

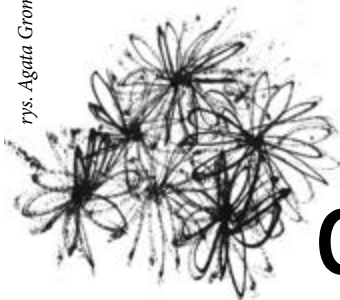
Och!... Wreszcie ostatni płaszcz, ostatnie „do widzenia”.

Można wracać do domu, ale ciocia Pasza jest dziś przerażona tym, ile pracy zostało – nadeptali, zostawili śnieg, bagno i niedopałki papierosów w pobliżu koszy na śmieci. Lina sprząta w holu, a ciocia Pasza narzeka i namawia ją, by szła do domu.

– Może ktoś jeszcze na Ciebie czeka...

– Kto czeka, ten poczeka – Lina dudni łopata, potrząsa miotłą i strzela do ciotki Paszy ogniem w oczach, a ona beszta ją za lekkomyślność.

rys. Agata Gromada



Białe duchy

WASYL SYMONENKO

– Kiedyś będziesz chciała tych komplementów, ale będzie już za późno... Młodość przepłynie jak woda na wiosnę...

Lina pospiesznie przebiera się i jednocześnie przekonuje ciocię Paszę, że absolutnie nie myśli o ślubie, bo teraz tylko słysząc o tym, że i rozwodów jest bardzo dużo, a dobrych facetów bardzo mało.

– No idź już do domu!.. A na chłopakach się znasz jak świnia na gwiazdach...

Przy wyjściu rzeczywiście czeka na nią biały duch. Idzie obok niej i nie widać ani śladu jego lekkomyślnej waleczności. Mamrocze coś o pogodzie i opowiada głupie żarty. Irytacja Liny drzemie w najcichszym kąciku jej duszy.

– Podoba mi się, że nie łamiesz się i nie krzywisz – mówi biały duch.

– Więc po co robisz z siebie takiego frajera?

– „A tak po prostu”...

– Na mnie czekałeś też „tak po prostu”?

– I tak, i nie.

– Słuchaj, jesteś łajdakiem czy nie? – Pyta Lina wprost.

– Może łajdak, ale nie do końca – westchnął chłopak i milknął oboje, idą dalej i każdy swoje myśli.

– Może jestem głupcem – mówi nagle „Niedokońcałajdak”.

– Rzeczywiście, prawdopodobnie tak jest – zgadza się Lina.

– Jesteś mądra?

– Kto wie? Mama mówi, że jestem złośliwa.

– Twoja mama to wspaniały człowiek!

I idą dalej, a miasto śpi, a śnieg pada i pada, latarnie w śniegu są tak cudowne i bajeczne, że Linie wydaje się, że postawiła stopę na innej planecie. Ile tajemnic i niespodzianek czeka ją w tym dziwnym, nieznanym, białym rodzinnym mieście!

Nie odważył się wziąć jej pod ramię i pożegnał się przy wyjściu, nie prosząc jak inni, by została z nim „na chwilę”.

Lina położyła się na śnieżnobiałym prześcieradło i westchnęła z niepokojem i pewną lekkością. W nocy śniła o tym, jak z jej oczu rosły fioletowe kwiaty. ■

Wasył Symonenko (ukr. Василь Симоненко), ur. 8 stycznia 1935 w Bijiwcach, zm. 14 grudnia 1963 w Czerkasach – ukraiński poeta, dziennikarz, działacz ukraińskiego ruchu antyradzieckiego.

Emigracyjne wydawnictwo „Smołoskyp” nosi od 1964 roku imię poety. W 1987 roku Związek Pisarzy Ukrainy ustanowił nagrodę literacką jego imienia za najlepszą książkę poetycką młodych autorów.

Przekład tekstu Białe duchy:

Radostyna Borowyk – w 2015 roku ukończyła kierunek „Międzynarodowe Studia Polskie” na Uniwersytecie w Katowicach, obecnie pracuje jako tłumacz na „kanał 24 Ukraina.”

¹ (ros.) Ты меня не любишь, не жалеешь... – Nie kochasz mnie, nie żałujesz... (fragment wierszu Siergieja Jesienina „Monolog miłości”).

Білі привиди



ВАСИЛЬ СИМОНЕНКО

Білі привиди заходили до вестибюля, гупотіли незграбними ногами, ляскали долонями, і молочні хітони осипалися з них на підлогу.

– Оце так зима! – вигукували одні, бо фантазії на більше в них не вистачало.

– Привіт від Прадіда Мороза! – намагалися жартувати інші, кидаючи вологі пальта через бильце гардероба.

Ліна автоматично посміхалася їм, бо треба ж бути ввічливою. „До чого всі вони нудні і невизразні”, – прялася думка. Нудні і невизразні піднімалися в танцзал і приймалися монотонно шліфувати паркет, залицятися до таких самих нудних і невизразних дівчат або збивалися табунцями і страшенно бездумно патякали бозна про що й для чого.

Ні-ні, Ліна не зневажає їх, просто їй страшенно жаль оцих бундючних гиндиків, що з дня на день тринькають свій час та енергію на танцюльках. Так, саме на танцюльках, бо вона не сміє кощунствувати і називати танцями оце шаркотіння.

– Про що задумались, міледі? – рве Лініне прядиво занадто вкрадливий голос. Ага, це той самий, що вчора і позавчора намагався полонити її дотепами й мімікою, взятими напрокат з індійських фільмів.

– Ви знову забули цигарки? – обминає очима його цукеркову посмішку.

– Ви вліпили прямо в десятку, мем.

– Номер? – збагачена його інформацією, Ліна добуває з правої кишені дешевого імпортного півпальта замусолену пачку „Казбеку”. Немає сумніву, що цей галантний джентльмен смалить звичайнісінькі гільзи, котрі щовечора набиває якимось дешевеньким тютюном. Але з якою помпою він стукає мундштуком цигарки об коробку! Як велично чиркає сірником!

– Може, ви підніметеся зі мною на один танець?

– Ні, я не опускаю до цього.

– О, ангел показує зуби! Але все-таки?

– Слухайте, – каже вона роздратовано, – це гардероб, а не колекціонерня компліментів з позаторішніх фільмів.

– Громадяни, будьте взаємно ввічливі, – метає лозунг чемний кавалер.

– Відвідувачі, не заважайте працівникам виконувати свої службові обов’язки, – ультратемно посміхається Ліна.

– Може, леді назвуть своє ім’я?

– Макбет.

– Я чекатиму вас біля виходу.

– Якщо балеро мають зайвий час, вони можуть скоротати його в товаристві однієї з балерин. – Ліна показує пальчиком угору.

– Ты меня не любишь, не жалеешь...

– Гурток художнього читання працює у вівторок і п’ятницю після третьої, – дає йому безплатну довідку. Хвала Всевишньому, заграли прощальний фокс, і тоненька цівочка людей потягнулася за одягом.

Ліна ненавидить свою „професію”, але їй страшенно подобається одягати і роздягати людей. Щось є в цьому магічне й незрозуміле, і коли вона нарешті підшукає собі

справжню роботу, їй ще довго ввижатимуться букети людських облич, сміятимуться, сумуватимуть і проситимуть очі. Кінець кінцем сюди, крім професійних шаркунів, знічев’я забувається і чимало гарних хлопців та дівчат. Куди не зажене нудьга! Може, і їй колись доведеться марнувати свої вечори в отакому танцзалі, і помирати від нудотних та порожніх розмов, і вислухувати комісовані компліменти, і танцювати, „як поведе партнер”...

Хух!.. Нарешті останне пальто, останнє „до побачення”. Можна й додому, але в тьоті Паші сьогодні жах скільки роботи – нанесли снігу, багна, накидали недокурків біля урн. Ліна пурхає по вестибюлю, а тьотя Паша бурчить і проганяє її додому.

– Може, тебе хтось ще й чекає...

– Хто чекає, той дочекається. – Ліна торохтить совком, шастає віником і обстрілює тьотю Пашу кулетметними чергами вражень, а та докоряє їй за нерозсудливість.

– Колись і кортітиму, щоб залицялися, та ніхто не захоче... Дівування, воно стече, як вода навесні...

Ліна похапцем одягається і водночас переконає тьотю Пашу, що вона зроду-віку і не подумає виходити заміж, бо тепер тільки й чути, що про розлучення, а путніх хлопців дуже мало.

– Та йди вже додому, мороко ти моя гостроноса!.. А в хлопцях ти тямийш, мов коза в рогозі...

Біля виходу її справді чекає білий привид. Він іде поруч, і від його розв’язної галантності не лишилося й сліду. Мимрить щось про погоду і неоковирно жартує. Лініне роздратування дрімає в найтихішому закапелку душі.

– Мені подобається, що ти не ламаєшся і не кривляєшся, – каже білий привид.

– То чого ж сам граєшся в денді?

– А так...

– І мене чекав „а так”?

– Трішечки „а так”, а трішечки не „а так”.

– Мені не треба твоїх трішечок!

– А мені треба!

– Слухай, ти негідник чи ні? – ставить вона питання руба.

– Може, й негідник, але не дуже, – зітхає хлопець, і вони замовкають, і йдуть поруч, і думають про своє.

– Можливо, я дурень, – раптом каже Недуженегідник.

– Дійсно, це ймовірно, – погоджується Ліна.

– А ти розумна?

– Хтозна. Мама каже, що я злюка.

– Твоя мама – великий чоловік!

І вони йдуть, а місто спить, а сніг валить і валить, і ліхтарі від снігу такі чудні й казкові, що Ліні здається, ніби вона ступила на іншу планету. І скільки загадок і несподіванок чекають її в цьому дивному, незнайомому, білому, рідному місті!

Він так і не посмів узяти її під руку і попрощався біля під’їзду, не прохаючи, як інші, постояти з ним „хоч хвилинку”.

Ліна впала на біле як сніг простиградло і зітхнула тривожно й легко. У сні в неї з очей росли фіолетові квіти.

Primum non nocere

KS. HENRYK PYKA

Trudna i niewdzięczna profesja, poprzez którą nie łatwo przebić się artyście nazwiskiem. Jest bowiem artystą. Jednak swoim kunsztem uwydatnia nie swój talent, lecz przyprószony czasem, niekiedy zakłamaną ignorancją obraz prawdziwy, objawiający ducha epoki, manierę, a nawet geniusz, nie własny, lecz innego artysty.

Piętnaście lat trwała konserwacja genialnego dzieła Michała Anioła „Sąd Ostateczny” w kaplicy sykstyńskiej. Restauracja tego dzieła odsłonięta przez papieża Jana Pawła II 8 kwietnia 1994 roku została poprzedzona wnikliwymi badaniami. W rezultacie działań konserwatorów stwierdzono, że wszystkie książki o Michale Aniele będą musiały być napisane od nowa. Turyści, którzy stoją w długiej kolejce po bilet by przez chwilę spojrzeć na rozslawiony fresk Buonarrotiego, ani przez chwilę nie pomyślą, że nie oglądaliby tak barwnej i promiennej kompozycji, gdyby nie dotknęły jej ręce Gianluigi Colalucci, Maurizio Rossi, Piergiorgio Bonetti i innych konserwatorów. Nazwiska te prawdopodobnie nic nie mówią i mojemu czytelnikowi, a przecież stoi za nimi ogromna wiedza i talent pozwalające podjąć badania, analizę dzieła sztuki i ostatecznie uwydatnić jego prawdę historyczną. Dzięki tej wiedzy i umiejętnościom dzieło genialnego florentczyka będą mogły podziwiać kolejne pokolenia. Dla wiedzy przyszytych pokoleń, które przejmą to cenne dziedzictwo wykonano także dokumentację każdego etapu procesu restauracji. Jej autorem był fotograf Takashi Okamura z Nippon Television Network Corporation. Dzięki niemu świat zobaczył to, co zostało odsłonięte spod warstwy brudu i nieudolnych, wcześniejszych konserwacji. Ostatecznie celem zabiegów konserwatorskich nie jest jedynie przywrócenie obrazowi, rzeźbie pierwotnego blasku, lecz przede wszystkim przywrócenie dziełu sztuki prawdy o nim samym, jego twórcy i czasie, w którym tworzył.

Swoją profesją Sabina Nyga (1947–2022) należy także do tego zespołu artystów wtajemniczonych w żmudną sztukę konserwacji co owi wybitni konserwa-

torzy fresku z Sykstyń, choć prace, które wykonywała, miały zaledwie wymiar regionalny, mieszczący się w granicach zjawisk artystycznych Górnego Śląska. Komu jednak Śląsk bliski, temu bliskie będzie to, co artystka dla Śląska zrobiła. Nazwisko dobrze znane jest w Bieruniu – choć nie tylko – gdzie Sabina mieszkała i pracowała. Bliskie jest także „okolicom” Muzeum Archidiecezjalnego w Katowicach, gdzie podejmowała się fachowych interwencji, zwłaszcza wtedy, kiedy „sypały się” obrazy, bo tak kolokwialnie trzeba nazwać pojawiające się z upływem czasu ubytki polichromii.

„Nygowa” – bo tak ją zwano – jako że była żoną Eugeniusza Nygi, artysty plastyka, głęboko związała się z Bieruniem, choć pochodziła z Tarnowskich Gór – Bobrownik. Więzom małżeńskim sprzyjała familijna tradycja, w której początkująca wówczas w sztuce konserwacji absolwentka Wydziału Konserwacji Uniwersytetu im Mikołaja Kopernika w Toruniu znalazła zawodowe oparcie. Rodzina Nygów od niepamiętnych czasów zakorzeniona w Bieruniu parała się rzemiosłem artystycznym. Nygowie malowali i odnawiali kościoły. Nie kończyli wprawdzie studiów artystycznych, ale byli doświadczeni w rzemiośle malarskim, sztuce dekoratywnej, złoceniu ram obrazów. Na Śląsku w czasach, kiedy posługiwano się niemiecką terminologią, takich rzemieślników nazywano „Kirchenmaler”. Katowicki artysta Witold Pałka, z którym się przyjaźniłem, który wiele kościołów pokrył swoimi polichromiami uważał określanie artysty jako „Kirchenmalera” z obraźliwe. W Niemczech jednak do dzisiaj szkoły zawodowe kształcą „Kirchenmalerów” bo prace, które wykonują, wymagają co prawda podstawowej wiedzy konserwatorskiej, są jednak żmudne i czasochłonne i sam konserwator takiej pracy nie podoła. W polskiej przestrzeni kulturowej tacy fachowcy nie mogą działać samodzielnie i traktowani są jako pomocnicy konserwatora. Nygowie jednak wykonywali zawsze swoje rzemiosło niezależnie, a z czasem pojawili się w tej rodzinie i artyści z prawdziwego zda-

zenia. Mam na uwadze Romana Nygę, autora projektu koron dla piekarskiego wizerunku Matki Bożej, zmarłego w lutym ubiegłego roku. Dla śląskiego eposu, ale i miasta Bieruń artysta ten znalazł wymiar plastyczny. Jego „stworoki” „spłynęły” do jego malarstwa z okolic mitycznej Klemensowej Górki. Jest to tak znacząca postać dla śląskiej kultury, że wymaga ona osobnego omówienia. Śmierć w przestrzeni Bierunia wywarła ostatnio śląskiej kulturze wielkie szkody. Zmarł bowiem ksiądz Jerzy Nyga – z tej rodziny – bardzo zabiegany jako Konserwator Diecezjalny wólk stosownych projektów dla naszych kościołów. Zmarł Roman Nyga. Zmarła Nygowa, która wniosła w śląską dbałość o pomniki regionalnej tradycji kulturę konserwatorską uczelni, z którą wiązały się takie nazwiska jak Leonard Torwirt, doskonały kopista jasnogórskiego wizerunku milenijnego Nawiedzenia i konserwator Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, czy Jan Tejchman. Ten ostatni zajmował się złożoną problematyką historyczną i konserwatorską zabytków architektury. Obydwaj są twórcami uznanej w środowisku tradycji toruńskiej szkoły konserwatorskiej, z której Sabina Nyga wyrosła. Tradycja ta wyraża się głębokim pietyzmem wobec świadków historii, jakimi jest sztuka dawna, zwłaszcza średniowieczna, z racji wpływu czasu szczególnie narażona na utratę zachowanych walorów plastycznych i ikonograficznych. Ten pietyzm absolwentki toruńskiego Uniwersytetu wyrażał się podczas komisji konserwatorskich jakie odbywały się w Wydziale Konserwacji ASP w Krakowie gdzie w miarę środków przekazywałem jako dyrektor Muzeum nasze średniowieczne artefakty do konserwacji. W przeciągu niemal dwudziestu pięciu lat udało się wykonać ponad czterdzieści prac konserwatorskich na obiektach, które po roku 1989 wróciły z Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu do Diecezji, właściciela kościelnej kolekcji w stanie ostatecznego zagrożenia korozją czasu, warunkami ich przechowywania i brakiem konserwacji. Prawie wszystkie obiekty, które wróciły z Krako-



Kościół świętego Walentego w Bieruniu (fot. Paweł Grzywocz – źródło wikipedia)

wa posiadają tekę konserwatorską zawierającą stan badań i opinie członków Komisji, gdzie obok innych jej uczestników znajduje się także podpis Sabiny Nygi.

Była mistrzem rekonstrukcji. Magazyn Muzeum Archidiecezjalnego był miejscem przechowywania dzieł sztuki, które nie mogły być eksponowane w galerii, bo były destruktem i wymagały gruntownej renowacji. Niektóre nosiły na sobie ślady wojennej tułaczki, przechowywania na strychu, w zakamarkach; najczęściej niewiadomego pochodzenia. Takim destruktem był obraz wybitnego malarza hiszpańskiego Jusepe de Ribera z roku ok. 1640, namalowany jako studium głowy starca. Artysta malował postacie z wypisaną na ich twarzach głębią ich duszy. Obraz malarza pracującego na dworze wicekróla Neapolu Alby, cenionego niegdyś przez Velazqueza kupującego jego dzieła dla Eskorialu, wskrzeszony przez Nygową jest dzisiaj katowickim klejnotem. W Katowicach eksponowany, znalazł także miejsce w katalogu Muzeum. Podziwiałem umiejętność, ale i wiedzę artystki, bo trudno byłoby z tak dobrym skutkiem bez znajomości malarstwa europejskiego epoki Caravaggia, wydobyć charakterystykę przedstawionej postaci wpisanej w manierę artysty. Już wtedy przywołałem w myślach uznaną tradycję toruńskiej szkoły konserwacji z wpisanymi w tę tradycję postaciami profesorów Torwirta i Tejchmana. Dlatego po nagłośnieniu przez *Süddeutsche Zeitung* rysunku Rafaela w naszych zbiorach, nawiązałem kontakt z profesorem Zygmuntem Ważbińskim, wybitnym historykiem sztuki specjalizującym się w renesansowej sztuce włoskiej – właśnie z Uniwersytetu Toruńskiego – w celu dokonania ekspertyzy badawczej.

Jej troską i miłością był drewniany kościół świętego Walentego w Starym Bieruniu. Ta troska objawiła się po pożarze kościoła, kiedy artystka oczyściła wnę-

trze, zdjęła przemalowania, odsłoniła pierwotną polichromię i odsłoniła polskie teksty na obrazach drogi krzyżowej zabezpieczone w czasie niemieckiej okupacji przez jej teścia Jana Nygę. Bolały ją nieuzasadnione i nieprzemyślane interwencje konserwatorskie. Potrafiła także energicznie wkroczyć, tam gdzie „logika” sprzątaczek ingerowała mokrą szmatą w złocenia ram i werniksy pokrywające stare obrazy. Zdarzyło się że z rusztowań zdjęła niekompetentną ekipę ingerującą w piaskowiec barokowej rzeźby przydrożnej.

Podczas pogrzebu Sabiny Nygi, któremu przewodniczył ksiądz arcybiskup Damian Zimoń, rozglądałem się po bieruńskim kościele świętego Bartłomieja, w którym odbywała się żałobna uroczystość. Tak wiele tu na ścianach śladów artystycznej działalności Romana Nygi. Podobnie jest i w „Walencinku” gdzie Roman i Sabina wzajemnie się uzupełniali ratując i przyozdabiając najcenniejszy relikwiarz tradycji swojego miasta. Polichromia Romana Nygi w tym kościele znajduje się na jego stropie.

Sabina Nygowa podejmowała prace konserwatorskie głównie w górnośląskich kościołach i kaplicach w przetrzeźnieniu dawnej diecezji katowickiej we współpracy ze swoim mężem Eugeniuszem, który ją wspierał w trudniejszych realizacjach. W wykazie tych realizacji pojawiają się kościoły w Raszczykach, Paniowych, Jaworzu pod Bielskiem, tarnogórskich Bobrownikach, prace w bazylice piekarskiej. Dramatyczny był finał konserwacji barokowych rzeźb zdobiących ambonę drewnianego kościoła, której podjęli się Nygowie w Miasteczku Śląskim. Tuż po zakończeniu prac konserwatorskich i zamontowaniu rzeźb do ambony rzeźby zostały skradzione.

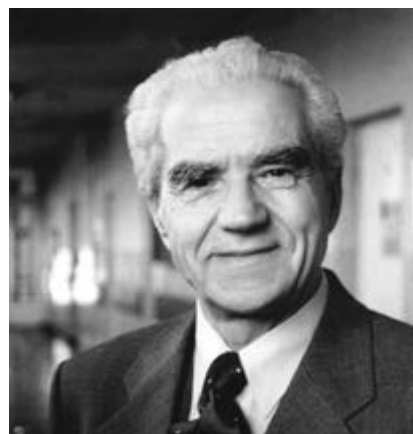
Koroną wszystkich zabiegów konserwatorskich, jakich podejmowała się Sabina Nyga, było wewnątrz drewnianego ko-

ścioła pw. ściecia świętego Jana Chrzciciela w Grzawie w powiecie pszczyńskim. Poświęciła temu kościołowi wiele lat pracy i po części swoje zdrowie, bo praca konserwatora wykonywana często w oparach chemikaliów nie sprzyja zdrowiu. Przeglądając stronę internetową kościoła w Grzawie dostrzegłem nazwisko Karola Stankiewicza z Kęt, który w roku 1870 dokonał tu konserwacji barokowego ołtarza z końca XVII wieku. Sabiny Nygi, jako głównej konserwatorki zabytkowego wnętrza, nie dostrzegłem. Kościół jest dzisiaj zadbane, także z zewnątrz i starannie ogrodzony. Kiedy jednak byłem tu z wizytą u ówczesnego proboszcza księdza Stefana Koziola odniosłem wrażenie, że ten jeden z najstarszych zachowanych kościołów drewnianych na Górnym Śląsku sprawia wrażenie zmurszałej huby zespolonej z wielowiekowym pniem tej sięgającej XIII wieku miejscowości. Tę „hubę” ksiądz Koziół postanowił ratować wespół z liczącą niespełna czterystu wiernych parafią. Karłomne zadanie, bo sam żył skromnie, ale Nygową zatrudnił, bo stała blisko kościoła i znała się na rzeczy. I tak zaczęło się odkrywanie polichromii kościoła spod wielowiekowego kopcia sadzy palących się tu podczas nabożeństw świec. W kolekcji Muzeum Archidiecezjalnego w Katowicach znajduje się najstarszy świadek tego kościoła, jeszcze sprzed reformacji. Jest nim zachowana prezentacyjna część tryptyku grzawskiego przedstawiająca Koronację Najświętszej Maryi Panny datowanego na lata ok. 1460. Obraz ten czyni zadość zaginionemu podczas nazistowskiej nocy niezwykłej urody obrazowi Koronacji Matki Bożej z Bierunia Starego znanego z publikacji Tadeusza Dobrowolskiego. Ostrołukowe detale dawnego wnętrza, w którym grzawski tryptyk niegdyś się znajdował, mogą sugerować resztki dawnej polichromii. Wnętrze jednak jest na wskroś barokowe. Zachwył i zaskoczenie konserwatora mogą być równie mocne jak zdumienie odkrywców nieznanego łądu. To prawdziwa zapłata za poniesiony trud mozolnego zdejmowania zabrudzeń spod których wyłania się czysty błękit pierwotnego malunku. Nygowa u zarania swojej pracy twórczej podjęła jako temat swojej magisterskiej dysertacji badania nad właściwościami barw naturalnych, które uzyskiwane z pierwotnych pigmentów, stosowane w dawnym malarstwie, mimo upływu czasu zachowały niegasnącą siłę emanacji koloru. Sięganie po stare sprawdzone receptury poparte doświadczeniem wieków wyznacza pewien rodzaj filozofii uprawianego przez nią zawodu, która w związku z sentencją tak bardzo zbliża misję konserwatora do posłannictwa lekarza. Ich podstawową dewizą etyczną przypisywaną Hipokratesowi zawsze było i będzie... „po pierwsze nie szkodzić”.

Mistrz i kolega

O Profesorze Edwardzie Polańskim w 90. rocznicę urodzin

DANUTA KRZYŻYK, HELENA SYNOWIEC



Fot. „Gazeta Uniwersytecka”

2 marca br. 90 lat ukończył Profesor Edward Polański – autor licznych publikacji naukowych, wśród nich słowników i podręczników, popularyzator poprawnej i pięknej polszczyzny, wychowawca kilku pokoleń nauczycieli polonistów, przez ponad 50 lat zawodowo związany z Uniwersytetem Śląskim.

Z wdzięcznością i szacunkiem mówią o Nim absolwenci śląskiej uczelni, z uznaniem i podziwem – Jego współpracownicy, z wielką sympatią i życzliwością – wszyscy, którzy Go znają. Przytoczmy niektóre głosy o Profesorze: „To mądry i bardzo pogodny pan Profesor...”; „uczony, a taki skromny i bezpośredni...”; „zawsze elegancki i z poczuciem humoru”; „mój promotor – wspaniały człowiek”; „to ten Profesor od ortografii – nikt nie zna się na niej lepiej od Niego”; „Edziu – niezawodny przyjaciel, „załatwiacz” spraw wszelkich”.

Jubileusz Profesora Edwarda Polańskiego jest szczególną okazją, by z perspektywy czasu przyjrzyć się Jego dokonaniom.

Autorki tego szkicu mają zaszczyt znać Profesora Edwarda Polańskiego od pierwszych lat swoich studiów – najpierw jako nauczyciela akademickiego, potem – jako swojego długoletniego przełożonego, też opiekuna naukowego i promotora rozpraw doktorskich, wreszcie – jako kolegę, życzliwego doradcę, mistrza.

Trudno w krótkim tekście opisać Jego bogatą osobowość, łatwiej skupić się na faktach z biografii, które odzwierciedlają Jego dążenia, pasje i wybory naukowe. O wydarzeniach tych wiemy nie tyle z *curriculum vitae* Profesora, ile przede wszystkim z Jego barwnych opowiadań (a jest przednim gawędziarzem!). Z łatwością przywołuje z pamięci daty, nazwiska, sytuacje.

We wspomnieniach Profesor rzadko wraca do dziecięcych lat spędzonych na Kresach – w Brzozdowcach (w województwie lwowskim); Jego kresowe korzenie zdradza wymowa dźwięcznego „h”, którą zachował w wyrazach typu: *herbata, hejnał, Bohdan*. Częściej wspomina lata młodości – już w Tarnowie, dokąd rodzina Polańskich przeniosła się w 1944 roku. Tu – podobnie jak jego starsi dwaj bracia – ukończył III Liceum Ogólnokształcące im. Adama Mickiewicza. Pamięta atmos-

ferę tej szkoły i szkolnych kolegów. Razem z bratem Kazimierzem (dziś już nieżyjącym wybitnym językoznawcą) podjął potem studia filologiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Nic wówczas nie wskazywało na to, że zainteresuje Go w przyszłości językoznawstwo. Pociągał Go wtedy teatr – występował w studenckich przedstawieniach, pracę magisterską pod kierunkiem prof. Henryka Markiewiczza napisał z historii literatury. Nic też nie zdało się zapowiadać, że Jego pasją stanie się praca naukowo-badawcza. Po studiach bowiem – jak większość absolwentów polonistyki w latach 50. XX wieku – został zatrudniony (z nakazu pracy) w charakterze nauczyciela języka polskiego w Krośnie Odrzańskim. W 1961 roku przeniósł się do Katowic. Docent Mięczyńska Mitera-Dobrowolska zaproponowała Mu asystenturę w Katedrze Metodologii Języka Polskiego i Literatury w katowickiej WSP. Praktyka nauczycielska, którą kontynuował w Katowicach w wieczorowym liceum ogólnokształcącym (1961–1966) zainspirowała Go do wyboru jako tematu badań determinantów sprawności ortograficznej uczniów. Od tej pory w Jego działalności zawodowej nurt dydaktyczny będzie się spletał z naukowym. Dla wielu ortografia to mało atrakcyjna dziedzina badań. A jednak Profesor znalazł silną motywację, by się nią zajmować. Uznał bowiem, że skutecznie uczyć poprawnej pisowni nie można intuicyjnie. Rzetelnych przesłańek do refleksji metodycznej mogą natomiast dostarczyć szeroko zakrojone badania empiryczne nad kompetencją ortograficzną dzieci i młodzieży. Jego przedsięwzięcie badawcze było wówczas (w latach 60., 70. XX wieku) odważne, a nawet karkołomne, ale – jak się okazało po opublikowaniu przez Niego rozprawy doktorskiej i kolejnych książek – przyniosło dużo pożytku dla dydaktyki języka ojczystego i przyczyniło się do wzrostu zainteresowania poprawną pisownią. Badania Profesora ujawniły, że niektóre stosowane na lekcjach formy ćwiczeń są... szkodliwe (np. uzupełnianie literami luk w wyrazach, wybór między poprawnie i niepoprawnie zapisanym wyrazem, wzajemne poprawianie sobie przez uczniów błędów). Krytyczne

refleksje nasunęła też analiza wyrazów z trudnościami ortograficznymi w ćwiczeniach podręcznikowych (były wśród ortogramów były na przykład wyrazy archaiczne lub obce codziennym doświadczeniom ucznia).

Ortografia była i jest nadal pasją Profesora Polańskiego – nie tylko od strony naukowo-badawczej, ale też praktycznej, leksykograficznej i popularyzatorskiej. Praktycznej – bo wyniki swoich badań wykorzystuje w opracowaniach dydaktycznych dla nauczycieli, w zbiorach ćwiczeń dla uczniów. Również studentów potrafił zachęcić do poznawania i respektowania reguł ortograficznych, a najbardziej opornych, którzy ortografię uważali za zbędny balast przekonał, że poprawny zapis ma wpływ na zrozumienie tekstu, np. *To był fatalny wrzód!* (= ‘ropień’), *To był fatalny wrzut!* (= ‘wznowienie gry w piłkę’); *Ładna mówka* (= ‘ironicznie bądź żartobliwie o przemówieniu, zwłaszcza krótkim’), *Ładna mówka* (= ‘osłona na dłonie, chroniąca je przed zimnem’). Ktoś w kuluarach jednej z konferencji nazwał Go żartobliwie i przyjaźnie „naszym Ortogramem”. Profesor szczerze przyznaje się, że sam miał w dzieciństwie kłopoty z ortografią niektórych wyrazów (np. pisał hiperpoprawnie *ostrzep* zamiast *oszczep*). Tym samym skłania innych do zastanowienia się nad ich trudnościami, także do pracy nad poprawną pisownią. Wiele osób zachęcił do udziału w odbywającym się do dziś Ogólnopolskim Konkursie Ortograficznym „Dyktando”, zainicjowanym w 1987 roku przez ówczesnych dziennikarzy Polskiego Radia Katowice – Krystynę Bochenek i Piotra Karmańskiego. Profesor zasiada w jury Dyktando. Był twórcą krótkich zabawnych, nasyconych trudnościami ortograficznymi tekstów, których poprawny zapis decydował w dogrywce o wyborze Mistrza Ortografii, a ponadto autorem dyktand dla młodych (do 16 roku życia) uczestników konkursu: „Jak rozhasana hałstra harcerzy chimerycznie zmitrężyła czas” oraz „Mrzonki pożądlivych rzezimieszeków w chaszczach”.

Profesor z entuzjazmem podejmował przedsięwzięcia popularyzatorskie. Jego działania sprawiły, że ortografia stała się modna – zarówno wśród dorosłych, jak

i uczniów. Świadczą o tym organizowane nadal szkolne i lokalne dyktanda oraz konkursy ortograficzne.

W upowszechnianiu poprawnego pisania nie można się oczywiście obejść bez słowników ortograficznych. Profesor jest autorem, współautorem bądź redaktorem licznych tego typu publikacji. Wymieńmy tylko niektóre: „Nowy słownik ortograficzny PWN”, „Wielki słownik ortograficzny PWN”, „Słownik ortograficzny nie tylko dla uczniów”, „Słownik łącznej i rozdzielnej pisowni”, słowniki popularne różnej objętości i wielkości (też kieszonkowe) oraz adresowane do uczniów słowniki z ilustracjami, wierszykami, przysłowiami.

Problemy ortografii interesują Profesora także od strony rozstrzygnięć normatywnych. Będąc przez wiele lat członkiem Rady Języka Polskiego przy Prezydium PAN i przewodniczącym Komisji Ortograficzno-Onomastycznej tej Rady, Profesor zaproponował kilka istotnych zmian w dotychczasowych przepisach, m.in. ograniczenie liczby wyjątków (po to, by pisownia stała się bardziej konsekwentna), doprecyzowanie obowiązujących reguł i wprowadzenie nowych reguł (np. pisownia imion postaci fikcyjnych – bohaterów literackich, bohaterów bajek; pisownia nazwy obiektów i przedmiotów jednostkowych, istniejących tylko w jednym egzemplarzu). Miało kto wie, że dzięki Jego propozycjom unikamy zapis kłopotów z łącznym lub rozdzielnym zapisem form typu: *nieopodal*, a także *niepalący*, *niepijący*. Dodajmy, że zanim Profesor przedstawił swoje pomysły reformatorskie Radzie Języka Polskiego, badał ich zasadność za pomocą ankiet wśród pracowników i studentów Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Śląskiego oraz wśród uczestników konkursów ortograficznych.

Ważną dziedziną badań Profesora – oprócz ortografii – była sprawność językowa dzieci i młodzieży oraz decydujący o niej zasób słownictwa. Tej problematyce poświęcił kilka publikacji, zainspirował też swoich doktorantów i magistrantów, by zgłębiali ją z perspektywy teoretycznej i dydaktycznej.

Dodajmy, że Profesor nie pozostawał ani nie pozostaje obojętny wobec przemian we współczesnej polszczyźnie. Potrafi dostrzec zarówno korzyści wynikające z możliwości stwarzanych przez środki elektronicznego przekazu, jak i zagrożenia. Swoimi spostrzeżeniami dzielił się w artykułach, podczas zajęć akademickich, a także w mediach, m.in. w cyklicznym programie telewizyjnym „Zabawy językiem polskim” czy stałej rubryce „Dziennika Zachodniego” „Bez tajemnic”, w wiadach radiowych. Uczestniczył ponadto w spotkaniach z nauczycielami i uczniami na temat kultury języka.

Największą radość sprawiała Mu praca ze studentami: ze swadą prowadzone wykłady, „oblegane” seminaria magisterskie (wypromował setki magistrantów)

i konwersatoria. Dobroduszość i życzliwość Profesora wobec młodych ludzi przejawiała się w różnych sytuacjach. Na przykład rozpoczynając egzamin, oznajmiał: „Najpierw pytam matki i przyszłe matki” (polonistyka zawsze była kierunkiem bardzo sfeminizowanym). Zresztą, zdawanie u Niego egzaminu należało do przyjemności: starał się nie stresować „delikwentów”, wręcz przeciwnie – rozładować ich przedegzaminacyjne napięcie, wspierał studentów, np. sugerując odpowiedź; rzadko oblewał, dawał szansę na szybką poprawę oceny, po prostu – wierzył w możliwości zdających. Dużym zainteresowaniem cieszyły się prowadzone przez Niego seminaria – tak ze względu na proponowaną tematykę (zwykle badawczą), jak i sposób prowadzenia zajęć, ukierunkowanie badań, przyjazną atmosferę.

Na wykładach z kolei dbał o zaciękanie studentów zagadnieniami z zakresu dydaktyki. Nierzadko w tym celu posługiwał się anegdotą, dowcipnym przykładem, np. „humorem zeszytów szkolnych”. Doceniał rolę pozytywnych emocji w zapamiętywaniu przez słuchaczy treści wykładu. Zachowywał duży takt, korygując błędy w wypowiedziach przyszłych polonistów, i okazywał wyrozumiałość, gdy oceniał ich prace.

Będąc doktorantkami Profesora, dostrzegaliśmy Jego wielką wrażliwość na styl wypowiedzi: ceniał precyzję i zwięzłość sformułowań, krytykował natomiast nadmierną emocjonalność i rozwlekłość. Zwykł mawiać: „to takie ochy i achy” (o pracy napisanej stylem emocjonalnym); „trzeba brać od razu byka za rogi i się nie rozdrabniać” (ubolewał nad wypowiedzią rozwlekłą). Uważał, że wszelkie „dłużyzny” szkodzi, że „im krócej, tym lepiej”, że nie ma takich treści, których nie dałoby się wyrazić zwięźle. Wyglądał (wręcz cyzelał) prace magisterskie, zanim przyjął ich ostateczną wersję, oraz nasze (doktorantów) artykuły, zanim je zaakceptował do opublikowania. Do dziś przechowujemy pokreślone ręką Profesora rękopisy naszych prób naukowych. Czasem nawet wykorzystujemy te teksty w celach „terapeutycznych” – pokazujemy studentom znużonym poprawianiem błędów stylistycznych w swoich pracach.

Życie zawodowe Profesora wypełniała nie tylko praca naukowo-dydaktyczna, ale też organizacyjna. Przez ponad 30 lat (1973–2005) był kierownikiem Zakładu Dydaktyki Języka Polskiego (do 1995 r.), a potem Katedry Dydaktyki Języka i Literatury Polskiej. Kierował zespołami badawczymi, zajmującymi się oceną programów nauczania i podręczników szkolnych, jakością i zakresem kształcenia polonistycznego w szkołach, normą językową współczesnej polszczyzny. Miał niezwykłą umiejętność organizowania pracy w zespole, motywowania współpracowników do działań, koordynowanie projektów i badań. Doceniano Jego zmysł organizacyj-



Notka zamieszczona w katowickim dzienniku „Wieczór” z 18 lutego 1970 roku. Fot. archiwum prof. Edwarda Polańskiego.

ny i poczucie odpowiedzialności. Dlatego w Uniwersytecie powierzano Mu znaczące funkcje, m.in.: wicedyrektora Instytutu Języka Polskiego, prodziekana Wydziału Filologicznego (w trudnym okresie stanu wojennego), przewodniczącego Senackiej Komisji ds. Rozwoju Kadr Naukowych i Uczelnianej Komisji ds. Mianowania na stanowisko Profesora Nadzwyczajnego.

Obce było Profesorowi stwarzanie dystansu między sobą a podwładnymi. Z wielkim poważaniem odnosił się do swoich mistrzów i współpracowników – tych, którzy wcześniej byli Jego zwierzchnikami, a później to On stał się ich następcą. Swoim przykładem uczył takiej postawy młode pokolenia pracowników nauki.

Zawsze pogodny i otwarty, do dziś znajduje wspólny język ze wszystkimi – bez względu na pozycję społeczną i wykształcenie; „dogaduje się” z młodzieżą i dziećmi. Jego optymizm (czasem nieoprawny) udziela się innym. „Dziewczyno/dziewczyńki bądźcie lepiej, nie trzeba się martwić zawczasu” – mawiał często do współpracownic. Zwracał się zawsze słowem „Dziewczyno” – niezależnie od wieku i stanowiska rozmówczynie. Aby jednak dostąpić zaszczytu przejścia z Profesorem na „ty”, trzeba było obronić doktorat. Z osiągnięć swoich doktorantów Profesor potrafił cieszyć się bardziej niż z własnych. Troszczył się stale o awanse naukowe współpracowników, dyskretnie im towarzyszył w trudnych momentach życia, cierpliwie wspierał w chwilach niepowodzeń, zarażał swoim entuzjazmem do pracy naukowej.

Takiego Profesora Edwarda Polańskiego (dla współpracowników po prostu Edka) znamy i podtrzymujemy z Nim serdeczną więź. Ciepło myślą o Nim Jego studenci i doktoranci – jako o mądrym, życzliwym, serdecznie dobrym Człowieku.

Plurimos Annos, Panie Profesorze! ■

Czasem lepiej poczekać

KATARZYNA KWAŚNIEWICZ

Konserwacja mapy Andreasa Hindenberga była nie lada wyzwaniem. Choć nie brałam w niej bezpośrednio udziału to jednak przez wiele lat ten cenny zabytek pochodzący z 1636 roku przechodził przez moje ręce. Artykuł Grzegorza Sztolera (Śląsk nr 1 (316), styczeń 2022) ukazał zagadnienie tylko (lub aż) z perspektywy historyka. Natomiast dzieje mapy mają jeszcze jedno oblicze – konserwatorskie. I o nim, uważam, należałoby wspomnieć, aby czytelnik miał pełniejszy obraz tego, co Grzegorz Sztoler nazwał „Cudem nad mapą Hindenberga”.

Idea ratowania mapy, rozpropagowana z wielką pasją przez Andrzeja Złotego, była niezwykle ważna i potrzebna. Pod koniec lat 90. historycy-kartografowie, w tym przyszły Dyrektor Archiwum Państwowego w Katowicach dr hab. Piotr Greiner, uderzali na alarm: śląski zabytek kartograficzny należało ratować za wszelką cenę. Wszyscy podkreślali konieczność przeprowadzenia konserwacji i wszyscy mieli świadomość ogromnych kosztów ratowania dziedzictwa kulturowego. Prace konserwatorskie wyceniono w owym czasie na 300 000 zł. Była to kwota zawrotna i zaporowa; średnie miesięczne wynagrodzenie w 1995 r. wynosiło 702,62 zł. Dlaczego koszt ratowania tego cennego obiektu musiał być tak ogromny?

NIENZWYKŁY ŚWIAT HINDENBERGA

Przechowywana w pszczyńskim Oddziale Archiwum Państwowego w Katowicach mapa autorstwa Andreasa Hin-



Mapa Andreasa Hindenberga po konserwacji. Fot. K. Kwaśniewicz.

denberga przetrwała do naszych czasów w stanie, który konserwatorzy określają mianem destruktu. W opiniach i ekspertyzach pojawia się także określenie stan katastrofalny. I rzeczywiście. Każdy kto zetknął się z zabytkiem widział, że mapa jest dramatycznie zniszczona. Historyk dostrzegał przede wszystkim rozległe, nieczytelne fragmenty, wyblakłe kolory, irytujący brud uniemożliwiający przeczytanie napisów i zrozumienie treści, ubytki informacji. Konserwator widział liczne zniszczenia mechaniczne, uszkodzenia powierzchni, odspojenia mediów, przetarcia, przedarcia i ubytki papieru; wielowiekowy kurz i brud wtarty w strukturę zakwaszonego i osłabionego papieru. Spod tej lichej fizyczności przebijał jednak niezwykły świat Hindenberga, któremu trudno było się

oprzeć. Nachylając się nad mapą, każdy ulegał jej magii i bezwiednie rozpoczął wędrówkę po wypełnionych zwierzyną lasach w radosnym poszukiwaniu i odnajdywaniu lisów, dzików, zająców i jeleni. Dla konserwatora radość wędrówki kończyła się wraz z uświadomieniem, że lico mapy było wielokrotnie reperowane za pomocą ogromnej liczby papierowych łatek i pokryte fuszczącym się spoiwem. Treść mapy, także ta wykonana techniką drzeworytniczą, była w różnych miejscach uzupełniana ręcznie przy użyciu atramentów. Tam gdzie oryginalne papierowe podłoże wykruszyło się, informacje dorysowywano bezpośrednio na płótnie, na które mapę pierwotnie nakleiono. Pod lakonicznym określeniem „zniszczona” kryło się więc całe szerokie spek-



Mapa Andreasa Hindenberga, detale: lisy.
Fot. K. Kwaśniewicz

trum możliwych problemów i dylematów konserwatorskich, a lista trudności wydłużała się proporcjonalnie do czasu spędzonego nad zabytkiem. Należy podkreślić, że już sam rozmiar obiektu (przeszło 7 m²) stanowił wyzwanie. Wiele z widocznych na mapie zniszczeń powstało w wyniku zwijania, rolowania i składania jej przez stulecia. Na początku XX wieku, mocno zniszczona mapa została pocięta na 12 brytów. Nie wiadomo kiedy nastąpiło obcięcie jej krawędzi, kiedy powstał rozległy ubytek w brytach nr 1 i 2, kiedy bryt nr 5 został rozerwany na dwie części oraz kiedy podklejono 6 części mapy na tekturę, a resztę pozostawiono na płótnie. Od lat 50. XX wieku mapa przechodziła przez ręce wielu specjalistów, którzy oceniali jej kondycję, czy nakreślali sposób przeprowadzenia prac konserwatorskich, jakim należałoby ją poddać. W skrócie, metodologia postępowania w owych czasach zakładała oddzielenie papieru od płótna, naklejenie mapy na nowe podłoże, oczyszczenie lica oraz uzupełnienie ubytków. Wiązało się to z zastosowaniem tak zwanych zabiegów mokrych, które biorąc pod uwagę stopień zniszczenia, mogły okazać się dość ryzykowne. Wśród różnych opinii pojawiały się także głosy, by nie podejmować ryzyka, gdyż obecny stan wiedzy nie pozwala na bezpieczne przeprowadzenie planowanych zabiegów.

W 1998 r. pszczyńska mapa została przetransportowana do Centralnego Laboratorium Konserwacji Archiwaliów



Mapa Andreasa Hindenberga, detale: jeleni.
Fot. K. Kwaśniewicz

w Archiwum Akt Dawnych w Warszawie, gdzie wykonano dla niej specjalną skrzynię, która służy jej po dziś dzień. Z Warszawy mapa nie wróciła już do Archiwum w Pszczynie, lecz zdeponowana została w Centrali w Katowicach. I choć stan zabytku nadal pozostawał katastrofalny, to jednak można go było określić jako stabilny. Okresowe kontrole obiektu nie wykazały jakichkolwiek szybko postępujących negatywnych zmian.

BENEDYKTYŃSKA PRACA

Intensywna działalność Bractwa Gospodarczego Związku Górnośląskiego na rzecz ratowania mapy nie przyniosła oczekiwanego rezultatu w postaci zebrania środków na zakonserwowanie zabytku i było to wówczas postrzegane jako fiasko. Jednak spoglądając na to „niepowodzenie” z perspektywy konserwatorskiej – można zaryzykować tezę, że czasami lepiej jest poczekać. Czas, gdy mapa leżała zabezpieczona w katowickim skarbcu, w stabilnych warunkach klimatycznych i pod opieką pracowni konserwatorskiej nie był czasem straconym. W okresie tym nastąpił szybki rozwój nowych, nieniszczących metod badawczych oraz samej sztuki konserwacji. To dzięki postępowi wiedzy, nowocześniejszym technologiom i zastosowaniu specjalistycznych materiałów można dziś w konserwacji zminimalizować ryzyko niepowodzenia oraz sprawić, że zabiegi stają się mniej traumatyczne dla samego zabytku. W latach 2017–2020 mapa Andreasa Hindenberga poddana została zabiegom konserwatorskim i renowatorskim w Katedrze Konserwacji-Restauracji Papieru i Skóry na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Opracowany przez naukowców szczegółowy program prac zakładał wykorzystanie do oczyszczenia zdegradowanej powierzchni zabytku sztywnych arkuszy żeli Gellan (zdeacylowana forma polisacharydu wytwarzanego przez bakterie *Auromonas elodea*, *Pseudomonas elodea* i *Sphingomonas elodea*). Metoda ta, niedostępna 20 lat wcześniej, miała za zadanie ograniczyć nadmierne przemoczenie obiektu i dzięki mechanizmowi absorpcji usunąć z mapy zanieczyszczenia. Działanie Gellanu wydaje się niezwykle proste – na zabezpieczony włókniną obiekt nakłada się arkusze hydrożelu, który powoli oddaje do papieru wodę, by ta z kolei mogła rozpuścić zanieczyszczenia. W wyniku procesu podciągania kapilarnego i osmozy zanieczyszczenia zostają wchłonięte i uwięzione w powrotem w hydrożelu. Zabrudzone żele są zdejmowane z powierzchni i usuwane. Technologia ta również pozwala na kontrolowane, punktowe nawilżanie wrażliwych partii obiektu dzięki temu,



Mapa Andreasa Hindenberga, detale: wilki.
Fot. K. Kwaśniewicz

że z hydrożelu łatwo można wyciąć dowolny kształt. Najważniejszą zaletą zastosowania Gellanów w konserwacji mapy był brak konieczności oddzielenie papierowego lica od płóciennego podłoża, które dziś stanowi integralną część dzieła. Stopień skomplikowania procesu był niezwykle duży, nie tylko ze względu na fakt, że obiekt został wykonany z ponad 140 arkuszy papierów o zróżnicowanym kształcie i wielkości, ale także dlatego, że na mapę naklejono liczne papierowe korekty oraz reperacje. Przyjęta metoda zwiększała więc szanse, że żaden, nawet najdrobniejszy fragment mapy, nie ulegnie niekontrolowanemu przemieszczeniu i że jej efekty pracy będą zgodne z założeniami. Tak też się stało. Konserwacja przeprowadzona została na najwyższym poziomie, a jej wynik wzbudza podziw nie tylko środowiska historycznego, ale także konserwatorskiego. A co najważniejsze, radosnej wędrówki po polach i lasach pszczyńskiego wolnego państwa stanowego, nie ma już troska o przyszłość dziedzictwa kulturowego.

Dzieje konserwacji mapy związane są z wieloma osobami, które dołożyły swoją cegiełkę do sukcesu tego przedsięwzięcia. Nie sposób ich wszystkich wymienić. Warto jednak w tym miejscu wspomnieć nazwiska autorów prac konserwatorskich i restauratorskich dzięki którym mapa Andreasa Hindenberga odzyskała swój blask. Są to pracownicy Uniwersytetu w Toruniu: dr Jolanta Czuczko, dr Dorota Jutrzenka-Supryn, mgr Karolina Komsta-Sławińska, mgr Marta Ciepłińska.

Dziś wiemy, że dla zabytku najważniejsza jest synergia czyli współdziałanie. Na powodzenie całego projektu złożyła się więc nie tylko niestrudzona i pełna wybojów walka o uzyskanie funduszy, ale także benedyktyńska praca toruńskich konserwatorów. ■

Katarzyna Kwaśniewicz jest kierownikiem Oddziału konserwacji jednostkowej i masowej oraz reprografii Archiwum Państwowego w Katowicach.

Historia Przedstawień Pasyjnych rozpoczęła się w Oberammergau prawie 400 lat temu. Zaraza szalała w wielu częściach Europy i nie zatrzymała się w Oberammergau...

Prawie 400 lat temu zaraza szalała w wielu częściach Europy i nie zatrzymała się na granicy niemiecko-austriackiego miasteczka Oberammergau, choć mocno je dotknęła. Jak zareagowało ono na ten dramat? Ciekawi tej karty jego historii, udaliśmy się z żoną, podobnie jak ja, pasjonatką podróży – do Oberammergau.

Pogoda w drodze była wspaniała, zatem po przystanku gdzieś tam na polanie alpejskiej nad jeziorem koło agroturystycznego gospodarstwa, ustawiliśmy właściwie nawigator i bezbłędnie dotarliśmy do celu.

Wyglądało na to, że w Oberammergau odbywa się jakieś lokalne święto; drogi do środka miasta były pozostawiane. Nieprzydatna okazała się nawigacja. Postanowiłem więc zaparkować auto jak najbliższe centrum, zapytać o hotel „Kopa” i dopiero potem podjechać tam z całym dobytkiem.

– Hotel „Kopa”? Hm, znajdujecie się państwo na Placu świętego apostoła Łukasza – zaczął udzielać nam wyjaśnień brodaty mężczyzna. – Za tym domem, który zwie się domem Piłata, przejdziecie zaułkiem Judasza prosto do następnej uliczki Marii Magdaleny. Nigdzie nie skręcając, dojdziecie w kilka minut do placu świętego Józefa. Po jego drugiej stronie stoi wasz hotel.

– Nawiedzony jakiś, czy co? – pomyślałem, ale posłuchałem jego rad.

Faktycznie hotel stał bokiem do placu, przy ulicy Królestwa Niebieskiego. I już po drodze do hotelu, w czasie niespełna dziesięciu spacerowych minut, zaczęło nam coś iskrzyć w mózgowicach. Wprawdzie skończyliśmy drugą dziesiątkę XXI wieku, znajdujemy się w zsekularyzowanej Europie, jednocześnie jesteśmy jednak w Bawarii i w dodatku w miejscowości Oberammergau. To tak jakby w polskiej Kalwarii Zebrzydowskiej na bawarską modłę.

A oto trochę historii, która rozegrała się tutaj.

Był początek roku pańskiego 1633. W poprzednim 1632 roku dżuma zabrała do grobu 82 dusze. Jak dać zaporę dżumie? – zastanawiali się przerażeni mieszkańcy. Po całonocnych obradach i sporach, radcy miejscy byli zgodni w postanowieniu. Najnowsza uchwała zwracać się będzie w imieniu mieszkańców do Boga. Nad ranem projekt uchwały do Boga był gotowy. Pomijając zawiłości XVII wiecznej stylistyki, mówiąc w skrócie, rajcy złożyli Bogu prośbę – proponując – Ty Panie odegnasz stąd zarazę, a my jako dziękczynienie, co dziesięć lat od nowa, będziemy wystawiali Misterium Męki, Śmierci i Zmartwychwstania naszego Pana Jezusa Chrystusa.

Widocznie Bogu taka forma modłów się spodobała, bo zaraza opuściła te alpejskie rejony. A mieszkańcy? W najbliższe Zielone Świątki na łące cmentarnej wystawili Misterium. I czynią tak aż po dzień dzisiejszy. Można powiedzieć, cała okolica żyje dla Misterium i żyje z wystawiania misterium. Większość domów, a już wszystkie w centrum, mają elewacje przyozdobione scenami biblijnymi. Nawet na budynku banku wymalowana jest wielometrowa postać Matki Boskiej patronki Bawarii. Wiele ulic i placów nosi nazwy zaczerpnięte z Nowego Testamentu. Pomniki, fontanny nawiązują do tematów z Biblii. Największy budynek w mieście to hala teatru pasyjnego. Nad Oberammergau wznosi się 1342 m n.p.m. szczyt Kofel, na nim skała, a na skale – Krzyż – Przesłanie.

Oberammergau jest najbardziej bawarskim z bawarskich miasteczek i chyba jedynym takim na świecie, gdzie wszystkie czynności przyporządkowane są inscenizacjom pasyjnym. W występach uczestniczy aktorzy, od maja do października, około 500–800 mieszkańców, a łącznie ze statystami ponad 2500. Zaś cała populacja miasta to pięć tysięcy ludzi. To tyle ile w sezonie codziennie przyjeżdża tu turystów. Gmina nie prowadzi żadnej działalności gospodarczej, dochód przynosi ją przyjezdni, zwykli turyści i pasjonaci pasji.

Nie jest łatwo przejść zwycięsko przez casting. Wykonawcy głównych ról muszą być stąd, przynajmniej zasiedzieli od dwudziestu lat. Wyjątkowo „dyspensy” udziela się wżenionym w tutejszą społeczność. Co dziesięć lat ekipa jest wymieniana, a przygotowania do kolejnej inscenizacji, zawsze trochę innej i zawsze, za zgodą rady miejskich rajców, trwają 2,5 roku. Aktorzy otrzymują gażę. Statyści występują za darmo. Całe miasteczko żyje z pasji. W 2010 roku budżet widowiska wyniósł wprawdzie 30 milionów euro, natomiast turyści zostawili w Oberammergau ponad trzykrotnie więcej, prawie 100 milionów euro.

Inscenizacja już 42 pasji w Oberammergau zaplanowana była w dniach od 16 maja do 4 października 2020 roku. Niestety pandemia zniweczyła lata prób i premiera została odwołana. Trwają przygotowania do scenicznej premiery i widowisk pasyjnych w okresie od 14 maja do 2 października 2022 roku. Acz i ten termin wisi na włosku pandemii.

Dla niektórych osób pewnym zaskoczeniem będzie wiadomość, że tym ra-

zem aktor przedstawiający Judasza nie jest katolikiem, a muzułmaninem. Miejscowi nie widzą jednak w tym problemu, skoro od dziecka mieszka on w Oberammergau. Ponadto przyjaźni się z Bawarczykiem, przygotowującym się do roli Jezusa.

Już kiedyś oglądaliśmy i czytaliśmy reportaże o miejscowości słynącej z odwzorniania męki pańskiej z udziałem mieszkańców. Dopiero jednak przyjechawszy tu, dostrzegliśmy urok tego miasteczka. Jest ono czystutkie, jak chyba jeszcze tylko w Bawarii, a jak przed laty zdarzało się także w innych częściach Niemiec. Nasz hotel „Kopa” jest nieduży, ale z sympatyczną rodzinną atmosferą. Na półpiętrze w szasklonej, chłodzonej szafie, a także na dwóch stolikach napoje; piwo, wino, soki i wody mineralne oraz łakocie do szybkiego zaspokojenia głodu. Obok wiklinowy koszyk pełen monet. Samoobsługa w dzień i w nocy oraz pełne zaufanie do gości. Kupując butelkę czerwonego wina, sam musiałem wydać sobie resztę z koszyka. Nie tyle dziwiła mnie ta oparta na zaufaniu samoobsługa, ile wymiary tego zaufania. Monecy dwu i jedno euro oraz całe mnóstwo drobniejszych, a nikt na bieżąco koszyka nie opróżni.

Hotel prowadzi rodzina. Ojciec zbiera ze stołów talerze, rozmawia z gośćmi, córka przyjmuje opłaty od wyjeżdżających, matka pracuje na zapleczu. Jeszcze istotny drobiazg. Gdy przybyliśmy do „Kopy”, córka – recepcjonistka pokazała nam pokój, dała klucze i tyle było formalności. Bez dokumentów, bez spisywania.

Opuszczając hotel, wymieniamy z ową śliczną i sympatyczną recepcjonistką kilka zdań, oczywiście o misterium.

– A pani, próbowała kiedyś szczęścia w castingu? Gdyby tak Matkę Boską udało się przedstawić?

– Ba, mi nawet na Marię Magdalenę nie udało się załapać. Mówiąc to, zafalowała zgrabnie pełnym biustem i uśmiechnęła się szelmowsko. ■



fol. Janusz Plevniak



fot. Janusz Plewniak



fot. Janusz Plewniak

Widoki z Oberammergau



fot. Janusz Plewniak



Zmartwychwstanie w Będkowicach

O BIWAKU POD DUPĄ SŁONIA (POTOCZNA NAZWA WAPIENNEJ SKAŁKI WSPINACZKOWEJ W JURZE KRAKOWSKO-CZĘSTOCHOWSKIEJ)

J. J. PLEWNIAK

Przepiękna wiosna. Trawy się zielenią. Ptaki śpiewają. Rześkie powietrze rozświetlone słonecznym blaskiem. Od stacji kolejowej w Rudawie mamy około pięciu, sześciu kilometrów wzdłuż potoku Będkówka do łączki między Iglicą a Dupą Słonia. To centralne skałki w grupie przydrożnych, wapiennych grup ostańców, w środku Doliny Będkowskiej, tam gdzie zbliża się ona na godzinę drogi pieszej ku sąsiedniej, mniejszej a równie malowniczej Dolinie Kobylańskiej. Stąd do wsi Będkowice wszystkim dwadzieścia kilka minut szybkim spacerkiem. Dla mniej obeznanych z topografią południa Polski, powiem, że planujemy kilkudniowy biwak na blisko hektarowej łące, z dwu stron ogrodzonej wysokimi na kilkadziesiąt metrów skałami wapiennymi, a od drogi potokiem. Ostatni bok czworokąta polany tworzy lekkie, trawiaste wzniesienie z możliwością dojścia połąką do wsi; całość gdzieś tak po drodze między Olkuszem a Krakowem, czyli na Jurze.

Jest czwartek, wczesne popołudnie. W siedem osób, niosąc cały potrzebny na te kilka dni dobytek w pokaznych plecakach, mijamy nieliczne zabudowania, ośrodek hodowli pstrągów i wnet rozszerzająca się dolina pozwala nam przypomnieć o cywilizacji. Gdy minęliśmy Sokolicę, najwyższą jurajską skałę wspinaczkową, już wiemy, za chwilę przekroczymy potok, pokaże się charakterystyczna Igllica, za nią *Baba i Dupa Słonia*. Tu postawimy namioty.

Ku naszemu zaskoczeniu jesteśmy jeszcze sami. Zwykle w okresie wielkanocnym na tej okazałej łące spotkać

można albo wspinaczy skałkowych, albo grotolazów z krakowskich, częstochowskich lub śląskich klubów. Czyżby dotąd przeciągająca się zima wystraszyła potencjalnych biwakowiczów? Tym lepiej. Drzewa, skały, rzeczka i my. I miejmy nadzieję aż do końca Świąt Wielkanocnych taka przyjazna pogoda jak dziś.

Postawienie kilku namiotów poszło sprawnie. Przynieśliśmy ze sobą praktycznie cały prowiant na najbliższe pięć dni. Rzeka w odległości niewiele metrów od obozowiska. Brak tylko pieczywa. Znaczący się, na dziś, może i na jutrzejsze śniadanie wystarczy. Na potem trzeba dokuścić. Kiedy Tomek z Amikiem w rzadkim lesie za skałkami zbierają patyki na wieczorne ognisko, dziewczyny porządkują biwak i moszczą namioty, my ze Staszem postanawiamy udać się do wsi. Nie wiadomo, czy po południu uda nam się poczynić zakupy, ale co z głowy, to za nami.

Bierzemy puste plecaki i ruszamy w górę ku Kopcowi, za nim powinna już być widoczna kościelna wieża Będkowic. Wieś jest duża, blisko 500 mieszkańców. Sołectwo, kościół, knajpa i sklep. Ach, jeszcze dwie studnie głębinowe. Miejscowi mówią, że 70 metrów głębokie. Poła droga doprowadza nas wprost do przystranku PKS *vis-à-vis* sklepu spożywczego. Jedyne w tej miejscowości. Sprawdziły się nasze przypuszczenia, sklep jest już zamknięty, drzwi zaryglowane. Nic to. Z doświadczenia wiemy, że w takich małych osadach sklepowa zazwyczaj blisko mieszka. Zaczynamy od tyłu domu ze sklepem. Faktycznie, na zapleczu dwoje drzwi, jedne obite blachą i obok zwyczajne, domowe. Jest nawet dzwo-

nek. Traf w dziesiątkę. W rzeczywistości kobieta, która nam otworzyła, okazuje się sklepową. Tyle, że dziś już nieczynne. Tłumaczymy naszą sytuację, wyjaśniamy, że jest nas aż siedem osób, że rozbiliśmy się namiotami w dolince, że nie trzeba nam niczego, poza chlebem, no, ewentualnie tuzin jajek.

Kobieta sprawia wrażenie jakby czymś skrupowanej, płacze się w odpowiedziach, tłumaczy, że dziś chleba i tak już nie... Jedyne czerstwy... Dostawy się nie spodziewa... Zresztą, sklep zamknięty i basta.

- A kiedy będzie otwarty?

- W przyszłym tygodniu, we wtorek rano - zabrzmiał męski bas i zza rozmówczyni ukazała się pełna, dość obfita figura w sutannie.

Księżulo miał poluzowaną koloratkę i wyglądał, jakby oderwano go od posiłku. Górował głową nad sprzedawczynią. Teraz wyraźnie on przejął inicjatywę. Jeden z nas zapytał:

- Jakże to, w przyszłym tygodniu? Po świętach? A jutro, w zwyczajny dzień w piątek?

- No tak! Miastowe ludzie. Zeświecczeni. Przecież jest wielki tydzień. To i sklep nieczynny. Dziś Wielki Czwartek, jutro Wielki Piątek, a wy byście chcieli, żeby ludzie pracowali?! Potem Wielka Sobota. A po niej Wielkanoc. We wtorek, po święcie Zmartwychwstania przyjdziecie, przyjaciele, to porobicie zakupy.

Nie podejmując dyskusji, wysunął się przed gospodynię, przyciągnął ku sobie drzwi i zamknął.

Klops. Może by jutro raniem podjechać PKS-em do Kobylan? To chyba większa wieś. A jeżeli i tam proboszcz tak

mocarny jak w Będkowicach? To trzeba się będzie wrócić aż do Rudawy, a może do Krzeszowic podjechać? Noga za nogą, snuliśmy się wzdłuż jedynej asfaltowej wstęgi rozdzielającej wieś.

Postanawiamy popytać się sołtysa, ten może wiedzieć, gdzie jeszcze w tych poprzedzających Wielkanoc dniach można się zaopatrzyć w pieczywo.

Szukając domu sołectwa, zwróciła naszą uwagę musztra kilku strażaków. Podchodzimy bliżej. Ośmiu chłopów w strażackich mundurach, pod komendą potężnego komendanta, ćwiczą jakby zmianę warty. Podeszliśmy całkiem blisko i wtedy usłyszeliśmy, że musztrowani zwracają się do prowadzącego po imieniu, Józefie, a młodszy – sołtysie. Lepiej nie mogliśmy trafić. Gromadka na chwilę przerwała oddawanie honorów bez broni i w pustkę. Przyglądali się bacznie nam, niezapowiedzianej publiczności, a my wykorzystaliśmy szansę na podjęcie rozmowy z sołtysiem. Kolejny raz dzisiaj wyjaśniliśmy naszą sytuację, znów tłumaczymy, że jest nas aż siedem osób, że rozbiliśmy się namiotami w dolince, że nie trza nam niczego, poza chlebem, no, ewentualnie tuzin jajek. No, i że sklep nieczynny.

– To trzeba było zejść od tyłu, do mieszkania Brandysowej.

Opowiedzieliśmy, że i owszem, zasłaliśmy, ale... i opowiedzieliśmy zdarzenie. Sołtys wstrząsnął śmiechem, gromki, przechodzący w chrapliwy chichot. Wreszcie odkaslnął i zaprosił swoich strażaków, ale nas też, do środka na kielonka. Po nim widać było, że dziś to nie jego pierwszy.

Na stole były dwa napoczęte potężne bochny krągłego chleba. Obok gliniak ze smalcem. Sołtys polał, wychylił nasze zdrowie, polał ponownie do wszystkich dwóch szklanek, stojących obok flaszki z przypuszczalnie bimbrem i podał nam. Trudno było nie wypić, choć obślinione szklanki wielokrotnego użytku odrzucały. A potem polał strażakom. Mężczyźni wypili, odkroili po pajdzie chleba, niektórzy maznęli smalcem, inni od razu przegryźli. Alkohol był mocny. Dobrej roboty. Nim do nas dotarła kolejka na „poprawienie zdrowia”, sołtys zdążył już dwukrotnie posmakować samogonu.

Opowiedział, że to u nich we wsi tradycja. W przeddzień Wielkiego Piątku ćwiczą warty u grobu pańskiego. A że to dopiero czwartek, to i postne piąteckie zwyczaje jeszcze daleko. Ostatnia okazja, by się urwać od kobiet, dla szlachetnego celu pokrzepić i godnie do jutrzejszego czuwania przygotować. A my? My możemy być spokojni. Oni już kończą,

więc ten chleb ze stołu już jest nasz. Zadowoleni z dobrego początku, musieliśmy jednak znowu napomknąć, że nas jest siódemka, a dni przed nami dni pięć. Więc dziękujemy za już, ale chętnie kupimy więcej.

– Nie może to być, by na Zmartwychwstanie Pańskie ludzie głodni byli – wykrzyknął do swoich. Zawrzało. Wydawało nam się, że lepiej będzie opuścić gościnną izbę. Ale gdzie tam? W krótkiej naradzie ustalili, w jakiej kolejności będziemy odwiedzać domy uczestników próbnej warty.

– To idziecie ta-raz z Ignasiem, jego Jadźka zawsze piecze więcej kołacza, to powinno i dla was starczyć. A potem on was poprowadzi do Karola... itd... itd...

Jakoż dostaliśmy na dobry początek od pierwszej rodziny, cały bochenek chleba i pół blachy kołacza z posypką. Gdy chcieliśmy płacić, obruszyli się.

– Jak? Za chleb, dar Boży? Toż byłby to grzech za poczęstunek brać pieniądze.

Potem była kolejna chata i kolejne, tym razem pół bochenka chleba i chałka – plecionka.

U sołtysa – czymś chciał się koniecznie wyróżnić – dostaliśmy dwa pęta swojskiej kiełbasy i butelczynę. Oraz przykazanie, by koniecznie w sobotę pokropić, bo na święcenie do kościoła może nam być daleko, ale zjeść i wypić dopiero w Zmartwychwstanie. Niech tam, po rezurekcji też można – dodał przy pożegnaniu.

Objuczeni bogatym prowiantem spokojnie mogliśmy wrócić na biwak. Acz nie wypadało. Należało nam zejść jeszcze do trzech gospodarstw. A jakże. Próbowaliśmy się wykręcić. Bez szans. Gościnnosc, skatalizowana poczęstunkiem sołtysa, duma, by nie być gorszym niż sąsiad...

Zrobiło się ciemno, gdy obczęstwani i obładowani wracaliśmy do swoich. Obaj mieliśmy wypełnione plecaki wszelkimi świątecznymi dobrami. Nadto na wyciągniętych rękach, zmieniając się co kilka minut, nieśliśmy dwie wytłoczki pełne jaj.

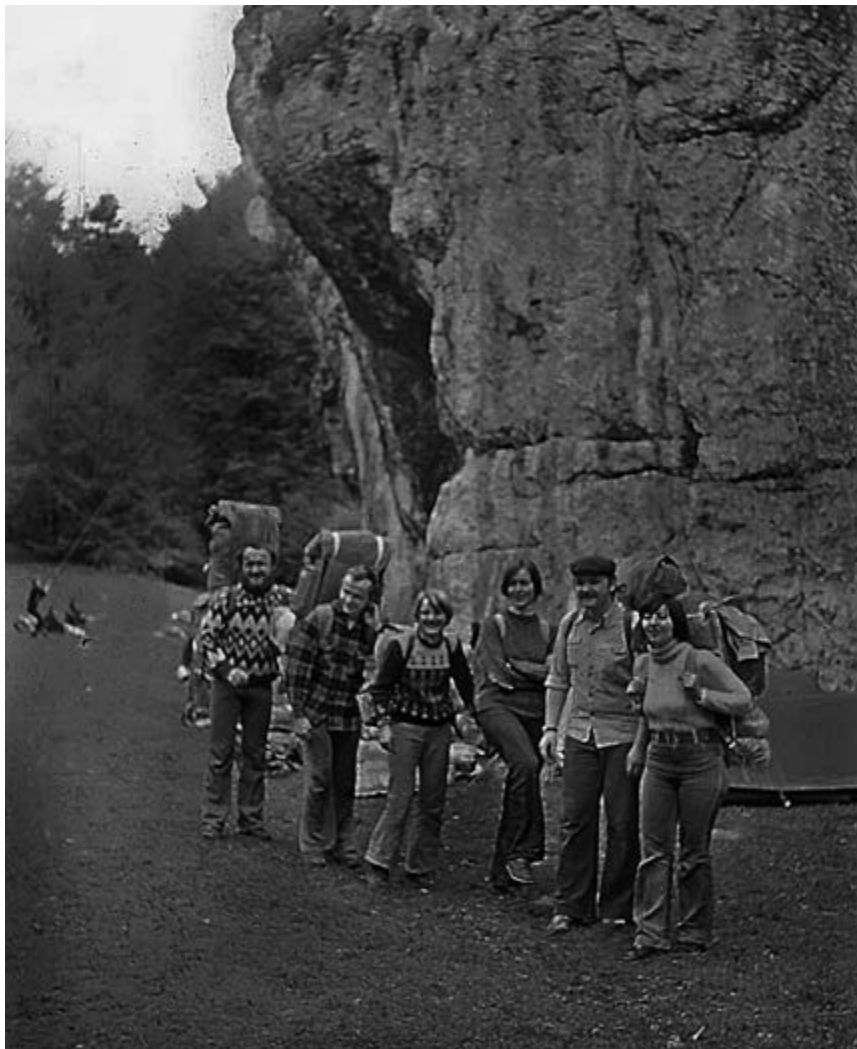
Kopa jajek na Wielkanoc, wypadło po prawie dziesięć na twarz.

Gdy dochodziliśmy pod *Dupę Słonia*, na przewieszanej jej ścianie, wesoło mrugały cienie postaci rozsiadłych wokół niewielkiego ogniska. Na juwelku – turystycznej kuchence benzynowej buzowała woda na herbatę. Wreszcie nas zauważono.

– Was razem gdzie postać – z wyczuwalną naganą oderwał się czyichś głos od ogniska. – Mieliście pójść tylko po chleb i z powrotem. A nam się już zdawało, że czekacie tam na cud...

– Bo się w istocie doczekaliśmy.

(Opowieść sprzed prawie pół wieku, niemniej wszystkie nazwiska i imiona zostały zmienione... a może i nie wszystkie).



Tropem Hermesa

Słowem o obrazie

JOANNA SZWEDA

„Powołaniem artysty jest obcowanie z tym, co ukryte”. Na myśl o maksymie Henryka Wańka przywołuję w pamięci jeden z jego obrazów, będący jednocześnie przetworzeniem cieszącej się dużą popularnością ryciny o nieznaney proveniencji. Dzieło przedstawia mędrca, z zachwytem spoglądającego poza ziemską sferę, w odmęty harmonijnego kosmosu. Warto skupić swą uwagę na geście wyciągniętej dłoni wędrowca. Nie tylko zagładanie za łuk niewidzialnego promienia czy próba przekraczania granicy doświadczalnego, ale przede wszystkim sięganie i dotykanie, na jakie pozwala sobie bohater obrazu, upoważnia do myślenia o rycinie oraz o jej Wańkowym przetworzeniu jako o emblemacie Hermesa – *psychopompos*, łącznika światów ludzkiego i boskiego, *trickstera*, który w pisarstwie Wańka zajmuje miejsce szczególne.

Waniek przyzwyczał swoich oglądających i czytających odbiorców do tego, by spodziewali się niespodziewanego, tajemniczego, ukrytego. Swój bogaty dorobek w dziedzinie sztuk wizualnych od lat uzupełnia narracjami. Jest autorem kilkunastu książek, z których najwcześniejsza – przesiąknięta ezoteryką i symboliką tarota *Dziady berlińskie* – ukazała się drukiem w 1984 roku jako publikacja drugoobiegowa, najpopularniejsza zaś bodaj, *Finis silensiae*, doceniona w 2004 roku przez kapitułę literackiej nagrody Nike, doczekała się wznowienia w roku ubiegłym. Publikacja ta pozwoliła ukazać prawdziwe oblicze maestra Wańka – gotowego rewidować słowa uprzednio wypowiedziane, z mnisim poświęceniem doskonalącego swój warsztat, dbającego o szczegóły. Zagadnieniu przestrzeni, ezoterycznym związkom liczb i substancji, kabale, mitologii, mistycyzmu wi chrześcijańskiemu, filozofii wscho-

du, a wreszcie pejzażowi Śląska wraz jego tajemnicami, złożoną naturą, historią wpisanych w śląski krajobraz rozszad i perturbacji, poświęcił autor do tej pory znaczące miejsce w obrazach i tekstach. Tym razem, korzystając z alchemicznej zasady *coincidentia oppositorum*, prezentuje syntezę wcześniejszych doświadczeń spod znaku *pictura i poesis*. Mowa o *Obrazach napisanych* (Waniek, Ruda Śląska 2022), będących niejako kontynuacją znanego już projektu *Podwójność*, łączącego w sobie prezentację katalogową wybranych dzieł malarskich z komentarzami objaśniającymi. Złote promienie mandali umieszczonej na fioletowym tle oprawy *Obrazów napisanych* przywodzą na myśl starannie wydaną, świętą księgę, stanowią zapowiedź misterium. Waniek przeprowadza czytelnika przez labirynt twórczości, budując chronologiczną, a jednocześnie z ducha chaotyczną, opowieść o ludziach i doświadczeniach, które wywarły wpływ na bohatera jego słowno-obrazowych podróży. Wypełnia przestrzenie pomiędzy werbalnym i wizualnym, pozwala obcować odbiorcy z tym, co do tej pory zdawało się ukryte.

We wstępie przywołuje autor, znaną skądinąd, anegdotę dotyczącą swoich pierwszych doświadczeń z książkami. Historia odnalezionego w piwnicy bytomskiego starostwa księgozbioru naprowadza czytelnika na trop dziecięcego obcowania z lekturą. Doświadczenie podlegające mitologizacji pamięci – staje się ucieleśnieniem „intymnej tajemnicy”, o której w *Pisarzu i fantazjowaniu* wspominał Freud. Pierwszy „za-chwył” książką – nawet jeśli rozumianą w sposób czysto materialny, wyłącznie jako artefakt słowa – będzie fundamentalnym doświadczeniem rzutującym na późniejsze przekonanie o wyjątkowej,

sprawczej mocy litery. Nie bez powodu wspomnienie pierwszego zetknięcia z książką staje się pre-tekstem *Obrazów napisanych*. Enigma szwabachy i rysunki Buscha wytyczyły pierwsze ścieżki nieznanego szlaku, po którym odtąd poruszał się Waniek z zapalem i uświęconym niemal zaangażowaniem. Trasa wędrówki wyznaczonej przez mapę *Obrazów napisanych* wiedzie nie tylko po znanych, sudeckich ścieżkach. Będzie to, ponownie, podróż mistyczna, wykraczająca poza ramy map, dziejąca się w niewiadomej przestrzeni, gdzieś pomiędzy „dawno” i „niedawno” – podróż poza czasem. Po spotkaniu z biblijną Lilith Waniek złoży wizytę Anubisowi, pokłoni się czterem stronom świata, zabierze czytelnika na demoniczną Vth Avenue, a także przeniesie do przestrzeni granicznego *bardo*, które w wydaniu autora *Innego Hermesa* nie może znajdować się nigdzie indziej, jak na śląskiej ziemi. Waniek ponownie otworzy przed czytelnikiem-oglądającym podwoje świątyni Salomona, złączy geometryczną doskonałość kryształu z pejzażem Friedricha, ukáže światło nocy w blasku gwiazd i nieskończone warianty układów kwadratury koła. Zjednoczy siły żywiołów, ukáže doskonałość trójkąta, a w kłodzkich skałach ukryje mityczne jajo, symbol nowego życia, jungowski archetyp początku. Za Arnoldem Böcklinem dobije do wybrzeży Wyspy umarłych, by wkrótce wrócić na szlak prowadzący ku świętej górze – bo przecież „szczęśliwy, kto na nią trafił”. „Nie ma bardziej obraźliwej rzeczy dla obrazu, jak zbywać go milczeniem”, powiada autor *Obrazów napisanych*. Labirynt, który konstruuje w swej ostatniej publikacji, przecinają trajektorie słowa i obrazu – pozornie opozycyjne, u Wańka trwające w harmonii. Wejście w ich głąb pozwala dotknąć tajemnicy, obcować z tym, co ukryte. ■



ŚLĄSKA
OJCZYZNA
POLSZCZYZNA

Skocz mi na pukiel!

JAN MIODEK

Przed paroma miesiącami red. Marek Przybylik, rodem z Konopisk koło Częstochowy, zachwycił się w „Szkle kontaktowym” celnością i dosadnością śląskiego zwrotu *skocz mi na pukiel*, używanego w znaczeniu „lekceważę cię, nie liczę się z tobą, możesz sobie gadać”. „Mały słownik gwary Górnego Śląska” z roku 2000 Bożeny Cząstki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec rejestruje także poszerzoną wersję przywołanej konstrukcji, a mianowicie *skocz mi na pukiel, bydymy udować kamela*. Przy hasle zaś *kamela* „wielbłąd” znajdujemy cytaty: „Tak nastawisz tyn pukel, że wyglóndosz jak kamela”. Oczywiście znajdujemy w tym słowniku również podstawowe znaczenia rzeczownika *pukiel//pukel*: 1. „garb” („Boroczek, jaki mo pukiel na starość”), 2. „plecy” („Przyniysz na puklu te ceglówki”). Derywatami zaś od *pukla* są *puklik* – „mały garb” oraz *puklocz//pukloc* – „człowiek garbaty”.

Z czasów szkoły podstawowej przypominał sobie także *pukieltaszę//pukeltaszę*, czyli „tornister” – tak jak do dziś, wracając do języka dzieciństwa, używam przymiotnika *puklaty* „garbaty”, jakże bliskiego morfologicznie staropolskiej formie *puklasty* o znaczeniu „wypukły”: „Rzezanie *puklaste*” (Biblia Leopolda z r. 1561).

To ostatnie niech Państwa nie dziwi. Jeszcze „Słownik języka polskiego” wydany w Wilnie w roku 1861 przy hasle *pukiel* na pierwszym miejscu wymienia – choć opatrzone kwalifikatorem przestarzałości – znaczenia „wypukłość, guz, guzik do nabijania na czymś, część wypukła czegoś” (*pukiel na rzędzie końskim na drzwiach, pukiel na księgach*), „wypukły środek”, po nich zaś następują semantyczne parafrazy: w matematyce „wypukła powierzchnia” oraz „pierścień, w który się włosy kręca, lok” (*zawijać, zakręcać włosy w pukle, włosy w pukle,*

włosy w puklach, pukiel włosów ucięty).

W tym polu znaczeniowym mieści się definicja *pukla* w „Słowniku etymologicznym języka polskiego” Aleksandra Brücknera z roku 1927: *pukiel* – wszelka „okrągłość, wypukłość”, u włosów, ozdób nabijanych na tarczy, uprzęży, z czeskiego *pukle* – z niemieckiego *Buckel*; *puklasty, wypukly, wypukłość; puklerz* „okrągła, wypukła tarcza” (por. franc. *bouclier* – z niemieckiego). Nasz śląski *pukiel* „garb” jest zatem oczywistym nawiązaniem do tej wypukłości, w tym wypadku – anatomicznej.

I dopiero współczesne leksykony – np. „Uniwersalny słownik języka polskiego” pod red. Stanisława Dubisza z roku 2003 – poprzestają na „włosowych” opisach słowa *pukiel* bez ich odniesień do etymologicznego semu wypukłości: „pasma skręconych, wijących się włosów; lok, kędziór” (*opadające na ramiona pukle włosów, odgarnąć pukiel włosów z czoła*), rejestrując też zdrobnienie *pukielek* (*upinać pukielek włosów, rozczesywać pukielek*).

Warto jeszcze zwrócić uwagę na parę wyrazów *Buckel* – *pukel//pukiel*. Odpowiedniość fonetyczna: dźwięczne „b” w niemieckim słowie – bezdźwięczne „p” w polskim przylega do takich np. par, jak *Mistbeet* – *inspekt* czy *Baecker* – *piekarz*. W wariancie *pukel* z kolei połączenie głosek *-ke* – brzmi tak samo jak niemieckie, – *kie* – w formie *pukiel* natomiast jest typowo polskim zmiękczeniem (por. *Kelch* – *kielich*, *Kelle* – *kielnia*, *kehren* – *kierować*, *Kaerne* – *kierznia*, *Kehrrad* – *kierat*).

A co wiemy na temat etymologii rzeczownika *garb*? – Jest on kontynuacją prasłowiańskiego pnia *grb* – z dawniejszego *gurbo* – o znaczeniu „wygięcie, wyrzucenie, nierówność, wypukłość (na ciele, w terenie)”, a ten – praindoeuropejskiego *gerb*, będącego rozszerzeniem pierwiastka *ger* „skrę-

cać, zwijać, wyginać, zginać”. Pierwotne znaczenie „wygięcia” wyewoluowało w stronę „wzniesienia, wypukłości”, jak pisze prof. Wiesław Boryś w swym „Słowniku etymologicznym języka polskiego” z roku 2005.

We współczesnej polszczyźnie *garb* funkcjonuje nie tylko jako „silne skrzywienie kręgosłupa tworzące wypukłość na plecach lub na klatce piersiowej” (wyrazy pochodne: *garbus, garbusek, garbaty, garbaciec, garbić się*), ale i jako „to, co komuś przeszkadza, co stanowi dla kogoś obciążenie, brzemię” (*garb chybionej inwestycji, garb życiowy, garb finansowy, garb historii, garb przeszłości, garb ideologii*), „u zwierząt: naturalna wypukłość albo narośl na grzbiecie” (*garb wielbłąda*) oraz jako „wszelka wypukłość, wzniesienie, wyrzucenie, nierówność” (*garb nosa, garb drogi, terenu, garby na nawierzchni jezdni*).

A skoro na początku dzisiejszego odcinka w jednym z przykładów pojawiła się także śląska *kamela* – „wielbłąd”, przejęta z niemieckiego *das Kamel*, dodajmy za „Małym słownikiem gwary Górnego Śląska” Cząstki-Szymon, Ludwiga i Synowiec, że w znaczeniu metaforycznym funkcjonuje ona również jako przezwisko odnoszące się do wysokiej, dobrze zbudowanej dziewczyny – z odcieniem negatywnym lub z emocją (*tako z ciebie kamela, a niy umiysz sie chleba ukroić, ale ś niyj kamela!*), a czasem też do starej panny (*ta staro kamela już sie niy wydo*).

Ja do tego słowa mam ogromną słabość, bo kojarzę je z wakacjami spędzonymi na wsi u rodziny Taty z Babcią na czele, a mówiąc ściślej – z wyjątkowo wielką krową, która zwała się dlatego właśnie *Kamelą*. W przeciwieństwie do mniejszej *Kwiatuli* była dość groźna i wyraźnie nie lubiła dzieci. Bałiśmy się więc jej, bo potrafiła zamachnąć się łbem i rogami postraszyć! ■

Badacz trwający przy prawdzie

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

B było gorące lato 1990 roku. Wraz ze Zdzisławem Pyzikiem, poetą, radiowcem, autorem pieśni utrzymanych w konwencji ludowej, jak np. „Pyk, pyk, z fajeczki” czy „Od Siewierza jechał wóz”, byliśmy zaproszeni do domu Eugenii Mrozowskiej Ligęzowej, siostry sławnej aktorki Zofii Mrozowskiej. Pieśni Zdzisława Pyzika były śpiewane przez Państwowy Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk”, a jego szef, Stanisław Hadynda, ustawicznie je promował. Dziś obaj panowie – czyli S. Hadynda i Z. Pyzik – siedzą sobie w Siewierzu na ławeczce z brązu.

Już po przekroczeniu progu jej mieszkania wkroczyliśmy w niezwykle świat, świat pełen pamiątek i atmosfery nawiązujących do okresu międzywojnia, w swoisty ślady tamtej doby oraz znaki przełomu między czasami socjalizmu, a rodzącą się nową, wolną Polską.

Gospodyni niemal od razu zaczęła barwnie opowiadać o pasjach męża, sławnego folklorysty Józefa Ligęzy.

Jednak w pewnym momencie nawiązała do początku 1972 roku. Wtedy to właśnie wokół badacza pojawiły się typowe, jak to określiła, „demony socjalizmu”. Dowodziła jednak, że wokół każdego uczciwego człowieka musiały się pojawić. One to sprawiły, że Józef Ligęza poczuł się bardzo osaczony. Właśnie to było powodem jego dramatycznej śmierci w wigilijny wieczór 1972 roku. Pani Eugenia z bólem wspominała o tym trudnym okresie w jej życiu, ale z typową dla siebie swadą i radością życia zaczęła ponownie snuć opowieść o swoim mężu, o jego dokonaniach na różnych polach działania. Zarazem jednak wyrażała obawę, że dorobek męża idzie w zapomnienie. I tak z całą pewnością się już stało. Tak jest chyba dziś w 50. rocznicę jego śmierci.

Z wdzięcznością przyjmowała wiadomość, że przystępujemy do wydania materiałów etnograficznych pozostawionych przez Ligęzę. To zaowocowało wydaniem dwóch tomów „Dzieł” J. Ligęzy.

Urodził się 28 lutego 1910 roku w miejscowości pod Krakowem, która już dziś jest częścią tego miasta. Po ukończeniu gimnazjum w 1928 roku rozpoczął studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. Studiował historię, ale też uczęszczał na wykłady z zakresu etnografii. I właśnie ta dyscyplina stała się z czasem pasją jego życia.

Od 1934 roku Józef Ligęza był związany z Górnym Śląskiem. Pracował w Państwowym Gimnazjum Męskim w Chorzowie. Stał się też częścią regionalnego środowiska etnograficznego. Pozostawał w ścisłych kontaktach z Stefanem Marianem Stoińskim. Wspólnie wydali, jeszcze przed wybuchem II wojny światowej, „Pieśni ludowe z Górnego Śląska”. A kiedy wybuchła wojna powrócił do Krakowa i działał w organizacji „Orzeł biały”, wspólnie ze wspomnianym Zdzisławem Pyzikiem, ale też ze Zbyszkciem Bednorzem.

Po zakończeniu wojny wrócił do Katowic i do 1952 roku pracował w Urzędzie Wojewódzkim. Zajmował się działalnością muzeów, amatorskim ruchem artystycznym, w tym zwłaszcza fenomenem śląskiej sztuki nieprofesjonalnej. Znał wielu, w tym m.in. Teofila Ociepkę. Cały czas prowadził też badania folklorystyczne. Pozostawał w ścisłych kontaktach z Janem Taciną, Adolfem Dygaczem, Łukaszem Wallisem i Józefem Majchrzakiem. Uczestniczył w ekspedycjach etnograficznych kierowanych przez Mieczysława Gładysza na ziemi opolskiej. Były to lata 1950–1955. W tym okresie także, konkretnie od 1952 roku, podjął pracę w muzealnictwie w Muzeum Górnośląskim w Bytomiu, gdzie był najpierw wicedyrektorem, a od 1963 roku dyrektorem teżę placówki.

Ścisłe współpracował przy reaktywaniu przedwojennego Instytutu Śląskiego w Katowicach. Na uwagę zasługuje to, że jako członek rady naukowej Śląskiego Instytutu Naukowego inicjował badania etnograficzne. I to zarów-

no w środowisku wiejskim, jak i nowatorskie prowadzone w środowiskach robotniczych, głównie górniczych. Z całą pewnością to właśnie Józef Ligęza zwrócił uwagę na swoisty fenomen tradycyjnej śląskiej kultury górniczej.

Owocem tych zainteresowań była praca „Literatura ludowa górników”, wydana w 1958 roku. Natomiast w 1968 roku opublikował „Śladami tradycji. Studia nad folklorem górniczym”. Wspólnie z Marią Żywirską – dziś też zapomnianą, a wybitną badaczką – wydał cenne studium historyczno-etnograficzne „Zarys kultury górniczej. Górny Śląsk – Zagłębie Dąbrowskie”. Ukazała się w Katowicach w 1964 roku. To był zupełnie inny kierunek w ówczesnych badaniach etnograficznych w Polsce. Także w Europie. Niewątpliwie jest to również cenna pozycja w światowym dorobku badawczym.

Te badania z zakresu kultury plebejsko-miejskiej były efektem ustawicznych – jak mówiła jego żona – pobyków męża w terenie. Nieustannie był w katowickich Murckach, Nikiszowcu i Giszowcu. Bywał też w osadach robotniczych innych miast, jak np. rudzkim Kaufhausie, czy zabrskim Borsigu. A w 1972 roku ukazała się cenna praca „Podania górnicze z Górnego Śląska”. Nadto poza owymi książkami Ligęza publikował też wiele artykułów i przyczynków. I właśnie owe zainteresowania badacza kulturą plebejsko-miejską były jego swoistym nieszcześnie. Dlaczego? Folklorysta z pasją badał tradycje, system aksjologiczny, kult „dobrej roboty”, etos pracy. Natomiast środowisko partyjne województwa pojmowało te tradycje w kategoriach innych wzorów proletariackich rozumianych zgodnie z doktryną socjalizmu. To było nie do przyjęcia i do zaakceptowania przez J. Ligęzę. Dla badacza – badana przez niego rzeczywistość była jakościowo odmienna od oczekiwań i nakazów ideologów oraz „dyżurnych” pracowników nauki.

Do końca trwał przy prawdzie. ■

ZGODA BUDUJE

zobaczcie państwo,

kraj mlekiem i miodem płynący
przyjmuje swego syna marnotrawnego
Salomona

dziecko Chaima i Hany
ręką barwioną mąką
żegna się ostrożnie
z czasem minionym

w piecu chlebowym wypala swoją przeszłość
musi zapomnieć musi żyć

nie jest łatwo
w listopadzie skończy 73 lata
wolałby zostać
ale ojczyzna wzywa
a jak wiadomo ojczyzna
to wielki egoistyczny obowiązek

więc jedzie płynie leci
raczej leci
LOT-em

na aerodromie w Tel Avivie
nikt na niego nie czeka
publiczność nie przychodzi
orkiestra nie rżnie marsza
hala przylotów pusta
(powtórzmy wyraźnie: nie ma nikogo)
z wyjątkiem zabitego brata Icka,
którego wydał
bez cienia wątpliwości
bez wahania
bezceremonialnie
w ręce Gwardii Ludowej
w grudniu 1942 roku

brat patrzy mu w oczy z wyrzutem
Salomon wzrusza lekko ramionami
ściska pewnym chwytem ręką
walizki obwiązanej sznurkiem

(kto by pamiętał takie duperele po
49 latach ofiarnej służby?)

urzędnik imigracyjny obojętnie przegląda
tekturową teczkę osobową przybysza
uwagę oficera (wszyscy wiedzą, że to agent Mosadu)
zwraca jedynie przetłumaczona
drobnym drukiem adnotacja –
doczepiona koślawym spinaczem
do reszty dokumentów:
„absolwent prawa”
„tytuł dysertacji magisterskiej:
Praca więźniów i jej znaczenie
Warszawa 1964”

Salomon
opuszcza hol lotniska
idzie do nowego domu
blok numer 6
poziom 8
widok na morze

budynek
posadowiony
przy ulicy
Odkupienia
(taki żarcik Historii)

lokator
spędzi w celi swego przytulnego pokoju
ostatnich piętnaście lat długiego
życia

zdąży jeszcze wysłać do kraju pochodzenia
kilka listów poleconych
uzupełni skwapliwie dokumentację zakładu ubezpieczeń
społecznych w Katowicach

podpisuje się zawsze z godnością:

Salomon Morel
Pułkownik

HOLOCAUST RAIL JUSTICE ACT

Marii Schulz – in memoriam

amerykański senator
Charles E. Schumer przedstawił w roku 2011
projekt ustawy zmuszającej niektóre europejskie koncerny
kolejowe do wypełnienia wszystkich pięciu warunków
dobrej spowiedzi
a zwłaszcza zadośćuczynienia za popełnione grzechy

czyli udział w zbrodni Holokaustu

główny winowajca i spadkobierca zmaży (Deutsche Bahn)
od tej chwili – nie tracąc czasu –
pospiesznie zaciera ślady
dezynfekuje bydłce wagony
wynajmuje renomowane kancelarie prawnicze
(dajmy na to: White & Case)
nerwowo kreśli czarne scenariusze białego PR
(zawsze w porozumieniu z niezawodną nowojorską firmą:
Strategy XXI Partners)

Maria Schulz patrzy na to wszystko z politowaniem
od dwudziestu ośmiu lat spoczywa w grobie
na cmentarzu położonym malowniczo
opodal parafialnego kościoła Trójcy Przenajświętszej
w którym pierwszy i ostatni raz brała ślub

zanim jednak do tego dojdzie (ślub odbył się
późną jesienią 1946 roku) Maria co dzień
przechodzi przez wąski strumyk kolejowych torów
płynący do ujścia wielkiej rzeki
w Auschwitz

recytuje w pamięci upadłe na ziemię
słowa poszarzałych grepsów
(podkłady kolejowe stacji Groß Chelm
kryją papierowe tajemnice wielkiej księgi umarłych)
nigdy ich nie podnosi
zawsze uważnie czyta:

*je t'aime mon mari
szép idő van ma
vom aveva süficient mâncaie pâna mâine*

gdy patrzy w stronę Kopczyowitza płacze
ale tylko wtedy, gdy pada czarny deszcz popiołów
a smoliste krople osiadłe na włosach ściekają
wolno na twarz
i dla niepoznaki
mieszają się ze łzami

KOT A SPRAWA ŚLĄSKA

53 kopalnie węgla
10 kopalni rud cynku i ołowiu
9 kopalni rud żelaza
9 stalowni
18 hut cynku, ołowiu i srebra
5 hut żelaza
22 wielkie piece

tyle warte jest czasem krótkie ludzkie szczęście
przelotne uczucie
paroksyzm wygiętych rąk
namiętność łądzwi

tyle kosztuje
jedno spojrzenie rzucone w westybulu
rzymskiego hotelu Fini
(ta nazwa jeszcze powróci)

hrabia Carlo Sforza a właściwie jego linie
papilarne przesuwane po aksamitnym cieple Reny
wywołały towarzyski skandal

ciężarna żona dyplomaty Jeleńskiego
musiała chyłkiem opuścić pilnie strzeżony
budynek *ambasciata di Roma*

urodziła w Warszawie ciało dziecka
które z ulgą przekazała
babce

sześciotygodniowy Kot został sam

zobaczył matkę powtórnie
czterdzieści siedem miesięcy później
sprowadzony przez rodziców
w charakterze
charge d'affaires albo *enfant terrible*
(niepotrzebne skreślić)
do konsulatu w Madrycie

jako człowiek dojrzały miał świadomość skazy
szeptał z gorzką ironią:

„Romans mojej matki ze Sforzą był
w swoim czasie bardzo głośny, tym bardziej
że jej wpływom przypisywano
korzystną dla Polski »linię Sforzy«, która
podzieliła Górny Śląsk między
Polskę a Niemcy. Pisały o tym antypolskie
hitlerowskie książki propagandowe
(nie wymieniając oczywiście
jej nazwiska)”.

jej nazwiska nie wypowiadała
także piękna Leonor Fini,
z którą Kot zamieszkał wiele lat później
przy cichej i sennej rue de la Vrillère
w Paryżu

ale to już inna kwestia

dość powiedzieć, że rozmawiał z Leonor
w dialekcie miasta Triest
z lubością
gładził brodę bliźniaczo podobną do
zarostu biologicznego ojca
ściskającego rękę Alcide`a De Gasperiego
na słynnym zdjęciu z 24 sierpnia 1948 roku

tak więc Kot
wbrew woli Matki
w ukryciu i jawnie
pielęgnował uparcie swe włoskie słabości
(z których największą była zresztą
manieryczność stylu)

nie literatura jednak w tej Historii jest nauczycielką życia

tajemnice słowa śledzi chłodne oko prokurenta
tylko on uważnie tropi depesze i szyfry

„Rzym donosi, że Sforza projektuje program Polsce
40 procent ludności całego Górnego Śląska”,
niegramotna nota poselstwa RP w Londynie z dnia 27 maja
1921 roku
adresowana do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie
– wiele mówi.

poufny anons z 8 marca 1921 roku, nadany z Wiecznego Miasta
przez polskie służby wywiadowcze:

„Ścisłe tajne.
Doszliśmy do ustnego porozumienia ze Sforzą
na zasadzie wstępnego projektu umowy,
która ma być pisemnie zawarta
prawdopodobnie w Rzymie, po plebiscycie”
– mówi wiele więcej.

rzecz w tym
kogo dziś jeszcze na Górnym Śląsku interesuje
przykurzony romans toskańskiego conte`a
i urodziwej szlachcianki rodem z Jedwabnego?

jakiego analityka *big data* opłaca moja Ojczyzna
Wymagowana Wspólnota
Silesia Superior?

Mariusz Jochemczyk (ur. 1973) – polonista, historyk i teoretyk literatury, eseista. Profesor Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Wiersze pochodzą z nowego, niepublikowanego tomu: *Ukryta opcja*.

Dwie kosy Dziennika. Początek

GRZEGORZ SZTOLER

Wszystko zaczęło się na początku lutego 1945 roku – dokładnie 4 lutego 1945 roku. Wtedy na godzinę 14.00 zwołano pierwsze zebranie zespołu redakcyjnego tworzącego gazetę. Uczestniczył w nim Stanisław Ziemia (wyposazony w zgodę władz zwierzchnich, konkretnie gen. Aleksandra Zawadzkiego), późniejszy pierwszy redaktor naczelny; Józef Renik – przedwojenny dziennikarz delegowany przez Wydział Propagandy Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego; młody, obiecujący adept dziennikarstwa z Katowic Zbigniew Grosser, a także niejaki Julian Janiewski identyfikowany z ówczesnymi tajnymi służbami (wszak media to władza).

Ponieważ powojenne czasy sprzyjały dezorganizacji rychło okazało się, że nie tylko Ziemia dysponuje upoważnieniem „odpowiednich władz” do organizacji gazety codziennej w województwie śląskim.

– Podobne miał jeszcze osobnik, którego nazwiska nie pamiętam – wspomina założyciel „Dziennika”. – Wystawiła mu je jakaś inna władza, bodaj Ministerstwo Propagandy i Informacji. Oświadczył mi, że ma w kieszeni nominację na naczelnego redaktora i że ewentualnie mogą być jego zastępcą. Na drugi dzień zmienił zdanie i zaproponował, abysmy obaj byli naczelnymi redaktorami...

Nie trzeba dodawać, że propozycja tajemniczego osobnika brzmiała po prostu bezczelnie. Był nim właśnie Janiewski.

– ... a kiedy trzeba było wziąć się do robienia gazety, przyszedł do przekonania, że lepiej będzie kiedy sam obejmie funkcję głównego dyrektora wydawnictwa, mnie zaś mianuje redaktorem – pisał pierwszy naczelny „DZ”.

Ziemia był działaczem Zrzeszenia Dziennikarzy Ziem Zachodnich, powiązany był także z AK-owskim podziemiem, co starał się ukryć. Miał pomysł:

– „Dowodziłem, że pismo, które przygotowujemy, nie może być tylko organem dawnego województwa śląskiego oraz sąsiedniego Zagłębia Dąbrowskiego, ale musi sięgać daleko na zachód i północ aż po Odrę, Nysę i Bałtyk, co powinien wyrazić się w tytule”.

No właśnie, tytuł nowej gazety był sprawą najbardziej sporną. Zbigniew Grosser relacjonował: Gorączkowa praca nad pierwszym numerem gazety, która według koncepcji ówczesnego kierownictwa propagandy miała się nazywać „Śląsk”. Pierwsza narada (właśnie ta 3 lutego) w bardzo szczupłym gronie redakcyjnym. „Śląsk” to zawężony tytuł. Padły inne propozycje. Nie chwałę się, ale przeszła moja „Dziennik Zachodni”.

Tak więc za ojca chrzestnego gazety można uznać Zbigniewa Grossera, a dzień 3 lutego 1945 za dzień początku nowego, śląskiego dziennika.

Stanisław Ziemia: – Grosser miał rację. „Śląsk” – to był zawężony tematycznie i geograficznie tytuł. „Gdzie Zagłębie Dąbrowskie?” – zapytał słusznie Renik, a ja dodałem – ...Ziemia lubuska, część dawnych Łużyc za Nysą Łużycką? I wtedy Janiewski zakomunikował z urzędową wyższością, że już tytuł zatwierdził, że będzie to „Gazeta Katowicka”! – przedstawił na to nawet odpowiednie zarządzenie wydane przez... urząd propagandy i informacji – O mało krew mnie nie zalała. Przy takim tytule brała w łeb całą konspiracyjna kilkuletnia praca i koncepcja.

– Ani „Śląsk”, ani „Gazeta katowicka”!!! – zakrzyknął zdesperowany Ziemia i czym prędzej pobiegł do... generała Aleksandra Zawadzkiego, specjalnego pełnomocnika rządu na Śląsk, by naprędce zdać mu relację z przebiegu zebrania i przekonać do własnej wersji.

Stanisław Ziemia: – Zrelacjonowałem generałowi sprawę tytułu. Z pasją mówiłem, że nie możemy z gazetą ograniczać się do Śląska, czy Zagłębia, że musimy iść na zachód. Generał w spokoju wysłuchał i zapytał: „Co pan proponuje?”. – Dziennik Zachodni – odpowiedziałem.

Teraz nie było już praktycznie żadnych możliwości, by zmienić tytuł gazety, choć nieco później kładziono nacisk na powrót do przedwojennego tytułu „Polonia”.

Ważniejsza była praca przy uruchomieniu gazety. A wszystko odbywało się w warunkach przyfrontowej prowizorki. Ziemia wysłał Józefa Renika do drukar-



zdjęcie archiwalne

ni, by dobrać odpowiednią czcionkę dla ustalonego już tytułu gazety.

– Nie było jeszcze wtedy mowy, by skorzystać z pomocy grafika – wspominał Stanisław Ziemia – zresztą nawet najlepiej wykonany tytuł przez takiego fachowca nie mógł być skliszowany. Wprawdzie chemigrafia ze wszystkimi urządzeniami, zapasem blachy cynkowej i chemikaliów była na miejscu, nie było jednak ani jednego chemigrafa. Z trudem dopiero dyrektor Niezgodą montował zespół drukarzy, przy czym – niestety – musiał jeszcze skorzystać z dwóch Niemców, linotypistów, którzy nie zdążyli uciec, a języka polskiego w ogóle nie znali. Mieliśmy zresztą z nimi z tego powodu w następnych tygodniach sporo kłopotów.

Rozpocząć trzeba było druk gazety, bo materiał do pierwszego dwustronicowego wydania „Dziennika” był już gotowy – zredagowano go ostatecznie 4 lutego. I, jak relacjonuje Ziemia, nazajutrz, 5 lutego, rozpoczęto druk i rozprowadzanie pisma. Dziennik ukazał się z datą 6 luty 1945 rok.

– To wcześniejsze datowanie podyktowała sytuacja, jaka wówczas istniała na terenie bezpośrednio przyfrontowym. Redakcyjne przygotowanie numeru, złożę-

nie i złamanie odbywało się jednego dnia, druk zaś na maszynie rotacyjnej i kolportaż następnego dnia rano i przed południem. Datowanie pisma na dzień następny wynikało z dużych trudności kolportażowych, które stwarzał brak środków transportowych – tłumaczył Ziemia.

Skład pierwszego numeru odlano z przepalonego składu „Oberschlesischer Zeitung”, który miał ukazać się 28 stycznia 1945 roku, lecz nie został wydrukowany.

Ziemia i Renik, którzy byli współtwórcami pierwszego numeru, musieli zadbać też o kolportaż nowego tytułu. Janiewski znowu zawałił. – Kolportażem miał się zająć „główny dyrektor” – komentował z przekąsem Ziemia. Nie miał jednak czasu, był już bowiem właścicielem auta, komfortowego mieszkania i musiał służbowo wyjechać do Krakowa. Zgłosili się na szczęście do pracy dwaj dalsi dziennikarze Władysław Wiczorek i Bolesław Piątek, a także przedwojenny specjalista od kolportażu Stanisław Rejmaniak. Wzięliśmy więc świeży numer pisma pod pachy, wybiegli na ruchliwe punkty miasta i rozkolportowali „Dziennik” z ważnymi wiadomościami o tym, że ofensywa radziecka idzie naprzód.

Gazety z charakterystycznym nadtytułem „Pismo dla wszystkich” nie firmowała żadna instytucja ani organizacja. Stało się to dopiero później – podporządkowała ją sobie Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” (od 31 nr). Dlatego właściwie „Dziennik” był niezależną gazetą, w tych półwolnych czasach – kiedy komuniści nie czuli się jeszcze na tyle silni, jak w latach stalinowskich i tolerowali istnienie legalnej opozycji. Przypomnijmy – w tym samym czasie w Katowicach wychodził organ PPR-u „Trybuna Śląska” (która zmieniła jeszcze w 1945 roku tytuł na „Trybuna Robotnicza”), „Gazeta Robotnicza” wydawana przez PPS (zawieszono jej wydawanie po kongresie zjednoczeniowym obu partii w 1948 roku), a także „Gość Niedzielny” (którego wydawanie wznowiła katowicka kuria biskupia).

Zasięg „Dziennika” nie ograniczył się – tak jak chciał tego jego pierwszy naczelny – tylko do terenu Górnego Śląska i Zagłębia. W powojennych latach objął cały teren Dolnego i Górnego Śląska, a także zachodnie ziemie odzyskane. Tam też zorganizowano oddziały terenowe (m.in. we Wrocławiu, Opolu, Kłodzku, Wałbrzychu, Jeleniej Górze). Nakład gazety rósł i rósł. W końcu „DZ” stał się (obok „Dziennika Polskiego” w Krakowie) gazetą codzienną o najwyższym nakładzie na wyzwolonych terenach Polski. Pod koniec marca 1945 drukowano 40 tysięcy egzemplarzy „Dziennika Zachodniego” wydania codziennego, a wydanie niedzielne – czy jak byśmy dziś powiedzieli „weekendowe” – dochodziło do 50 tysięcy egzemplarzy. W kolejnych latach średnie, codzienne nakłady wyniosły: w 1946

roku – 93 tys., w 1947 roku – 115 tys., a w 1949 roku – 100 tys. egzemplarzy. Gazeta wychodziła w ośmiu mutacjach terenowych. Uruchomiono dodatek popołudniowy „Dziennik Zachodni – Wieczór” (w 1947 roku), a także dodatki tematyczne. Na szpaltach gazety pojawiły się opiniotwórcze nazwiska, jak choćby historyków (Kazimierz Piwarski, Kazimierz Lepszy, Marian Plezia, Franciszek Popiołek), dziennikarzy Ślązaków (Jan Rakoczy, Franciszek Ruda, Edmund Osmańczyk). W rubryce „Życie literackie nowej Polski” publikowali swoje utwory znani ludzie słowa: Julian Przyboś, Stanisław Jerzy Lec, Julian Tuwim, Jerzy Putrament, Wilhelm Szewczyk (wieloletni felietonista DZ), Zbyszko Bednorz. Tu debiutowali i regularnie pisali związani z regionem dziennikarze.

KTO PIERWSZY?

Warto odwołać się do jeszcze innej historycznej materii – pierwszeństwa ukazywania się „Trybuny Śląskiej” (później „Robotniczej”), co było zawsze zarzewiem konfliktów między obiema redakcjami. Założyciele „Dziennika” traktowali bowiem ukazującą się początkowo dwa razy w tygodniu konkurencję jako... ulotkę, a nie prawdziwie profesjonalną gazetę. I mimo że „Dziennik” ukazał się z datą 6 lutego, w przekonaniu „dziennikowców” to była pierwsza śląska gazeta codzienna, a nie „Trybuna”, która wyszła z datą 2 lutego. Stanisław Ziemia tak opisuje okoliczności zetknięcia się z nowym, konkurencyjnym tytułem:

„W drukarni ręcznej znalazłem jednokartkowy numer „Trybuny Śląskiej” z datą 1 lutego, zredagowany z ostatnich komunikatów wojennych i zarządzeń władz. Na odwrotną kolumnę karty, czyli drugą stronę, przygodnym redaktorom zabrakło materiału; w jakiejś jednej trzeciej od dołu świeciła białą plamą. Był to pierwszy numer „Trybuny Śląskiej”, która wyszła oficjalnie... Następnym

numer ukazał się dopiero po skompletowaniu redakcji 7 lutego, a kolejne 11 i 15 lutego. Tymczasem zaczął już wychodzić „Dziennik Zachodni” (nr 1 z datą 6 II) codziennie z wyjątkiem niedziel”.

Tak więc mimo że pierwszeństwo w wydaniu pierwszego numeru gazety codziennej na Górnym Śląsku należy do „Trybuny Śląskiej”, to jednak jeśli chodzi o regularność wydawania numerów, pierwszeństwo należy właśnie „Dziennik Zachodni”.

DZIENNIK A KONSPIRACJA

Zupełnie nieznaną kartą śląskiego dziennikarstwa jest sprawa penetracji powstających tytułów prasowych przez niepodległościową konspirację. Jak wiadomo m.in. ze wspomnień Stanisława Ziembę, „Dziennik” powstał w wyraźnej opozycji do politycznie zaangażowanej „Trybuny Robotniczej” (organu PPR-u). Ministerstwo Propagandy i Informacji chciało mieć większy wpływ na powstawanie tytułu, ale narzucenie cudli dziennikarskiemu zespołowi Ziembę nie udało się. Na ile było to w ówczesnych warunkach możliwe, redakcja starała się w pierwszych powojennych latach zachować polityczną niezależność. To przecież „Dziennik” opublikował specjalny dodatek poświęcony powstaniu warszawskiemu i konspiracji niepodległościowej (Armii Krajowej). Trudno nie dostrzec wyraźnych związków z ruchem AK w życiorysach śląskich dziennikarzy tworzących trzon gazety: naczelnego Stanisława Ziembę, Bolesława Surówki (cykl felietonów „Pod włos” sygnowane „Niejaki X”) i innych (pisałem o tym szerzej w „Śląsku” nr 8 z 2016 roku). Pierwszy naczelny „DZ” Ziemia uczestniczył przecież osobiście w powstaniu warszawskim jako kierownik zespołu redakcyjnego Polskiej Agencji Telegraficznej. A co pisał o działalności Zrzeszenia, które przygotowywało się do uruchomienia gazety na wyzwolonych terenach?



złote archiwum

– Zrzeszenie Dziennikarzy Śląskich było organizacją konspiracyjną, stanowiło jedną z grup Zrzeszenia Dziennikarzy Ziemi Zachodnich. Składała się z przedwojennych pracowników prasy śląskiej. W Krakowie redagowało biuletyn dla prasy podziemnej o sytuacji na Śląsku na podstawie materiałów dostarczanych ze Śląska... Ponadto grupa śląska prowadziła w Krakowie konspiracyjną Szkołę Dziennikarską jako filię Wyższych Kursów Dziennikarskich w Warszawie korzystając przy tym z pomocy grupy poznańskiej i podziemnego Uniwersytetu Poznańskiego, które również usadowiły się w Krakowie oraz zbierała materiały redakcyjne dla przyszłej prasy polskiej na Śląsku. Dzięki temu po przyjeździe do Katowic 31 stycznia 1945 roku miałem ze sobą plik artykułów wybitnych polskich naukowców udowadniające historyczne prawa Polski do ziem nad Odrą, Nysą i Bałtykiem – wspomina Ziemia w jednym z artykułów.

– Nie zróbcie z tej gazety organu chadecji – prosił żartobliwie gen. Zawadzki. I jak pisze Ziemia, po części były to uzasadnione obawy, bowiem część konspiracyjnego Zrzeszenia Dziennikarzy Ziemi Zachodnich składała się z byłych pracowników przedwojennej „Polonii”. W jakimś stopniu tę tradycję „Dziennik” przejął.

W połowie lutego 1945 r. do zespołu dziennikarskiego dołączyła młodziutka Halina Markiewiczówna, kolejna z legend DZ. Wspomina, że jej rozmowa z naczelnym była krótka i jednoznaczna. Miała spróbować swych sił, mimo że Śląska, jak tłumaczyła, zupełnie nie znała. Ale poznała. I została.

– Zaczęłam od kronikarskich informacji, krótkich, dłuższych, dziś niejedną z nich ulokowałabym z przyjemnością w koszu. Zakończyłam rok później dużym reportażem w grudniowym, świątecznym numerze, opartym o własne przeżycia z powstania warszawskiego, po raz pierwszy jako Halina Markiewiczowa. Do tego czasu nawet znacznijšie pozycje informacyjne oznaczałam literkami – pod-

kreślała w pisanim na 40-lecie gazety wspomnieniu.

Jak wspomina H. Markiewiczowa, pierwszy numer gazety, dwustronicowy, właściwie rozdany na ulicach Katowic, był przede wszystkim dziełem Ziemy, wspomaganego przez Zygmunta Grosse- ra, Ludwika Wieczorka i Bolesława Piątka. „Do pracy w następnych szybko dołączyli do pionierskiej grupy ich dawni koledzy: Bolek Surówka, Marek Wydra, Janek Rakoczy, Kilian Bytomski, Gucio Grodzicki... Z wychodźców z powstańczej Warszawy znaleźli się wśród nas: Stefan Kalbarczyk, Janusz Litwin i Zdzisław Sierpiński. Z obozów jenieckich Staszek Mojkowski i Stefan Kisielewski, jeszcze później Janek Weber”.

A tak opisuje tworzący się zespół redakcyjny August Grodzicki:

„DZ wychodził już od miesiąca na czterech stronach dużego formatu z nerwem redagowany zarówno w informacjach, jak – artykułach. W redakcji zaś, obok Staszka [Ziemy], działali z dawnej polonijnej gwardii Bolek Surówka, który od razu wznowił swoje tak popularne na Śląsku felietony «Pod włos» i Marek Wydra. Poza tym młodzi początkujący reporterzy – Zbigniew Grosser, Tadeusz Sroka (znajomy z krakowskich tajnych kursów dziennikarskich) i Zdzisław Sierpiński, który wtedy nie zapowiadał się jeszcze na muzykologa. Z taką szczerą ekipą niełatwo było robić dziennik...”

Więc Ziemia zlecił Grodzickiemu... publicystykę gospodarczą. Cóż ten miał robić, mimo że nie znał się na tym, to „musiał się poznać”. 7 marca 1945 r., jak wspomina, ukazał się jego pierwszy artykuł z tej serii pt. „Ziemia dla chłopów”. I w ogóle, trzeba było się znać na wszystkim. Grodzicki: „Trzeba było na przykład pitrasić wstępniaki i to na wszelkie możliwe tematy krajowe i zagraniczne, polityczne, społeczne, kulturalne. Te ostatnie były mi bliskie, więc na zmianę z Surówką pisałem recenzje teatralne, poza tym omówienia nowych książek i tygodniowej prasy kulturalnej, artykuły rocznicowe itd.”



zdjęcie archiwalne

Po jakimś czasie sprawy gospodarcze przejął, też wywodzący się z przedwojennego dziennika „Polonia” Jan Werner, który wrócił z obozu jenieckiego.

Grodzicki: „Depesze w pierwszych miesiącach robiliśmy na zmianę z Ziembą i Surówką z wiadomości łapanych z radia przez Jana Rakoczego. Ziemia wprowadził pożyteczny, a potem zarzucony zwyczaj tzw. headline’ów: przy czołowce na pierwszej stronie omawiało się w syntetycznym skrócie najważniejsze wydarzenia ze świata w minionej dobie, szerszej rozwinięte w bieżących depeszach; najczęściej była to relacja z frontów, bo wojna jeszcze trwała. Pracowało się przy tym oczywiście, późnym wieczorem, do północy, a nieraz i dłużej, kiedy napierał nawał nowości”.

Na wiosnę 1946 r. zespół dziennikarski powiększył się o Staszka Mojkowskiego, który został sekretarzem redakcji.

„Ściągali na Śląsk dawni, tutejsi dziennikarze – pisze Grodzicki – zostawali w Katowicach wychodźcy z Warszawy, wśród nich sumienna i pracowita Halina Markiewiczowa, doskonale prowadziła dodatek «Świat i Życie». Potem przybyli «nowi dzielnicy młodzieńcy» Janusz Litwin i Adam Stanek”.

Pierwszy numer DZ przeszedł do historii. W archiwum zachował się nieco sfałgowany oryginał. Był dosłownie wrywany. „Kosztował oficjalnie 1 złoty, ale głównie za marki się rozszedł, złotówek jeszcze nie było. Ludzie wrywali go sobie z rąk, gromadnie czytali i nierzadko płakali ze wzruszenia” – dodaje pani Halina.

I dalej kontynuuje: „Rósł zespół, ale przede wszystkim rosła ranga «Dziennika». W niespełna pięć miesięcy swego istnienia był już pismem o największym w Polsce nakładzie i szerokim zasięgu tematycznym, obejmującym tak istotne sprawy kraju, jak i zjawiska o zasięgu międzynarodowym. Zyskał markę jeśli nie najlepszego, to łącznie z «Życiem Warszawy» i krakowskim «Dziennikiem Polskim» jednego z najlepszych pism w kraju”.

zdjęcie archiwalne



Herstorie z Gierałtovic

MAŁGORZATA TKACZ-JANIK

Sto lat braku uczciwej i pogłębionej dyskusji o konfliktach narodowych i tożsamościowych w obszarze historycznego Górnego Śląska, a ostatecznie po 1922 roku województwa śląskiego, w tym tabuizacja wielu ich wewnętrznych wątków spowodowała trwałe wymazanie z pamięci zbiorowej nie tylko domagających się w ogóle szerszej perspektywy historii procesów emancypacji obywatelskiej, ale i istotnego na tym tle (ze względu na skalę zjawiska) indywidualnego rozwoju kobiet, często wówczas po raz pierwszy aktywnych w skomplikowanej mnogości ruchów kobiecych. Niestety, szeroko rozumiane pasmo pamięci społecznej (w tym rodzinnej) zostało w procesie kolejnych ideologizacji i nacjonalizacji pozabawione wielu ważnych z obiektywnego punktu widzenia faktów. Zatopiona została w ten sposób także historia kobiet. Utonęła – nieprzepracowana, ani w otwartej publicznej debacie, ani w interdyscyplinarnej soczewce badań i koniecznych falsyfikacji. Stała się przezroczysta lub wielowarstwowo zafałszowana. Historia kobiet zniknęła pod ciężarem opisów „silniejszych tożsamości”, zalana opisami walk narodowych, krzyżujących się populizmów, ksenofobii. Od lat dziewięćdziesiątych ub. wieku nie powstały nowe szeroko zakrojone badania. Niemal nie ocalały źródła, które pomogłyby, wspomagane instrumentami współczesnej krytyki feministycznej, czy annalistyki, przy wsparciu perspektywy genderowej wnikliwiej ocenić, co (lub co także) wiodło kobiety ku pracom w sferze publicznej. Bardzo często niemożliwe jest odtworzenie historii zmiany postaw pojedynczych kobiet, gdyż znikają one w kliszach silnych paradygmatów obyczajowych, nadal kojarzonych z Górnym Śląskiem, a będących prawie w takim samym stopniu schedą po bismarckowskim *Kulturkampf* jak i po formułowanych przez Leona XIII w *Rerum Novarum* doktrynalnymi „rekomen-

dacjami” dla kobiet, które – notabene – mocno zapłodniły umysły śląskiej chadecji, w tym w ogromnej mierze polityczne projekty inżynierii społecznej Wojciecha Korfanteo. Pytanie, które stawiam w różnych miejscach debaty (wystawy, dyskusje, wykłady) od kilku lat (między innymi pokazując wystawę *Sąsiadki!*¹), to pytanie o poziom świadomości uczestniczek tamtych aktywizmów, poszukuję ważnej dla mnie odpowiedzi na pytanie, czy wiedziały w czym biorą udział. Zarówno przed, jak i po 1922 roku konteksty historyczne emancypowania się kobiet szybko się zmieniały i pozostawały niezmiernie dynamiczne przez dziesięciolecia. Myślę, że mimo upływu stu lat, możemy wciąż mówić o bieżących echach tamtych przełomów, oraz o współczesnym rezonowaniu niegdysiejszych backlashów, bo jak inaczej nazwać wydarzenia, które co kilka lat stawały się głębokim doświadczeniem kobiet, a polegały kolokwialnie mówiąc na jednym kroku w przód dwóch w tył. Ówczesna górnośląska herstoria miała wiele, można powiedzieć, takich węzłowych momentów, jak choćby uchwalenie ustawy celibatowej w 1926 roku, rozłam ruchu kobiecego na część sanacyjną i chadecką w 1927 roku, wielki kryzys 1930-33, czy rok 1935, kiedy sanacyjna polonizacja regionu weszła w nasiloną fazę. Poniższa

¹ „60 na 100. SĄSIADKI. Głosem Kobiet o powstaniach śląskich i plebiscycie”, to wystawa mobilna w postaci wielkoformatowych memów, przedstawiająca w skali 1:1 trzydzieści bohaterek z przełomu XIX i XX wieku w szczególności, niejednokrotnie w bardzo kobiecy sposób, związanych z powstaniami śląskimi i akcją plebiscytową. Wystawa, powstała w RIK-u w 2019 r. i pozwala opowiadać o zmieniających się formach uczestnictwa kobiet w kulturze, polityce, gospodarce i życiu społecznym regionu na przestrzeni ostatniego stulecia.

rozmowa, jest jedną z kilkunastu prób rekonstrukcji ww. zjawisk na podstawie przekazów zbieranych podczas rozmów z rodzinami niegdysiejszych aktywnych w różnych środowiskach kobiet. Uwagę zwraca fakt, że ta rozmowa jest bardzo podobna do wielu innych. Wola rozmowy o historii kobiet jest spora, ale bardzo szybko brakuje faktów, pamiętek, jakby nie było o czym mówić, a to przecież nie może być prawda.

Wspominają Urszula Kaczmarczyk i Janina Cicha-Rożek²

MTJ: Pani Urszulo, miałyśmy rozmawiać o kobietach sto lat temu aktywnych w Gierałtovicach w sferze publicznej, ale zaproponowała pani, abyśmy zaczęły nie od kobiet, ale od księdza. Opisała Pani ks. Władysława Robotę jako ważną postać dla mieszkanki Gierałtovic w międzywojniu. Dlaczego tak Pani uważa? Ciekawią mnie zwłaszcza nieoczywiste konteksty.

UK: Ksiądz Robota był postacią nietuzinkową, zwany „złotoustym kaznodzieją” był dobrym gospodarzem parafii. Rozwinął życie religijne, postawił kościół i szkołę. Rozśpiewał wiernych.

MTJ: Podejrzewam, że kobiety garnęły się do śpiewu. Ile miał lat, gdy objął parafię?

UK: Miał 30 lat.

MTJ: Młody mężczyzna.

UK: Bardzo młody i jak słyszałam przystojny. Kiedy w Gostomii, miejscu jego urodzenia zbieraliśmy materiały do opracowywanej monografii, najstarsi mieszkańcy wspominali, że

² Urszula Kaczmarczyk, córka Anastazji i Augustyna Hajduków, wnuczka Marii Smółkowej, członkini gierałtowskiego Towarzystwa Polek. Pracowała jako nauczycielka historii.

Janina Cicha-Rożek, emerytowana nauczycielka chemii, historią Gierałtovic zafascynował ją wujek, brat mamy, Henryk Polak, który napisał monografię „Siedem wieków Gierałtovic”.

umiejętności dyplomatyczne odziedziczył po matce, osobie bardzo czytanej. Dlatego jest ważne, aby powiedzieć, że wprowadził język polski do nauki religii, również w tym języku prowadził dokumentację parafialną, ale w konfesjonale wysłuchiwał spowiadających się w ich języku – w gwarze.

MTJ: Wracając do kobiet, czy wiemy coś więcej o matce księdza, dawniej wychować chłopaka na księdza, to była aspiracja wielu matek.

UK: Robotowa miała 6. dzieci. Władysław miał 3. braci. Dwóch skończyło studia medyczne we Wrocławiu, kolejny był kupcem. Siostry przygotowywały się do prowadzenia rodzin. Robotowa bardzo dbała o ich edukację i wychowanie. Czytając prasę poznawała bieżącą historię Polski. W Gierałtowicach Robotowa współpracował ze wszystkimi stanicami oraz parafianami różnych profesji. Między innymi zainicjował powołanie ochotniczej straży pożarnej oraz sodalicyj mariańskiej³. Kilka członkin tego stowarzyszenia uratowało w 1917 roku dzwonną z ówczesnego kościółka i ukryło go w stodole Antoniego Stachury – jego córka brała udział w tej akcji. MTJ: Superbohaterki z Sodalicyj. Bardzo zacny motyw, ale domyślam się, że współpracował też z innymi parafiankami? UK: Ksiądz współtworzył w parafii wiele organizacji i stowarzyszeń. Pomagał finansowo miejscowym studentom. Ponadto należał do grupy księży organizujących fundusz pomocy pieniężnej dla studiującej górnośląskiej młodzieży. Po pierwszej wojnie światowej zainicjował i pomagał młodym dziewczynom kontynuować naukę przygotowującą do pracy biurowej w organizującej się polskiej administracji. Zawsze wspierał i rozwijał przeróżne formy działalności, które w okresie niemieckim przemycały polskie pierwiastki. Tak było

już w Łabędach, zaś w Gierałtowicach doprowadził do powstania samokształceniowego kółka Filomatów zamienionego wkrótce w Towarzystwo Filaretów, aby ostatecznie przekształcić się w Towarzystwo Śpiewacze Skowronek. W Gierałtowicach działała również biblioteka i czytelnia. Założył je Antoni Stachura, miejscowy narodowościowy działacz przy aprobacie i pomocy ks. proboszcza, który również posiadał duży księgozbiór z którego na pewno korzystali mieszkańcy.

MTJ: W tym zapewne także kobiety. Czytałam, że przy chórze Skowronek działało też mieszane kółko teatralne. Jaki był repertuar?

UK: Tak. To były działania koedukacyjne, w przedstawieniach brali udział moi rodzice i ciocia. Po wojnie i ja zagrałam w „Ich czworo” Zapolskiej i w „Grubych rybach” Bałuckiego.

MTJ: Wróćmy do lat dwudziestych 20. wieku, choćby do agitacji plebiscytowej. Według dr Pawła Parysa⁴ około 20 procent ogółu zaangażowanych w aktywizm plebiscytowy to były kobiety. Jak angażowała się w życie polityczne Maria Smółka?

UK: Na początku 1921 r. zwołano w Gierałtowicach wiec przedplebiscytowy, na którym zjawiał się Wojciech Korfanty, który miał z Robotą dobre relacje. W tym spotkaniu brała również udział moja starka i moja mama.

MTJ: Rozumiem, że mama była małą dziewczynką. Jeszcze dziś jako odwaga postrzegane jest zabieranie dzieci na wiece polityczne. Gdzie by Pani umieszczyła w historii Gierałtowic swoją starą, kiedy się urodziła? Co wiemy o Marii?

UK: Starka urodziła się w roku 1873 w sąsiednich Przyszowicach. Pochodziła z niezbyt licznej rodziny. U Kleczków były 4 dziewczyny, żadnego chłopaka.

W naszej rodzinie na mamę mamy mówiono starka, a na tatę staroszek. Wyjechała za mąż za Antoniego Smółkę, urodziło im się 10 dzieci, ale tylko 6 dożyło późnego wieku. Była bardzo pracowita, przestrzegająca regulaminu domowych obowiązków, dzieci zapamiętały ją jako osobę bardzo pobożną i rozmodloną, w wolne od pracy niedziele czytała Rycerza Niepokalanej, lub Żywoty Świętych.

MTJ: Dziesięcioro dzieci, to wielki trud urodzić i wychować. Jaki wpływ na życie starki miała przedwczesna śmierć kilkorga jej dzieci?

UK: Wielodzietność była wtedy powszechna. O emocjach się w domu nie mówiło.

MTJ: Proszę opowiedzieć o jej związkach z Gierałtowicami.

UK: Mama nie знаła okoliczności, które spowodowały, że rodzina przeprowadziła się do Gierałtowic. Najpierw „mieszkali komorą”, czyli wynajmowali u kogoś mieszkanie. Staroszek pracował w kopalni w Makoszowach. Kobiety były bardzo oszczędne i roztropnie wydawały pieniądze. Mama często wspominała słowa staroszka o tym, że kupno pola i wybudowanie domu to była zasługa mamy, czyli starki.

MTJ: Czyżby chodziło o kręcącą głową szyję? A dziadek był Polakiem, Ślązakiem, Niemcem? Niemieckim Ślązakiem, polskim?

UK: Był tutejszy, ja bym to tak określiła. Był Ślązakiem z polską duszą, tak jak górale są Polakami i Poznaniacy są Polakami.

MTJ: Jak mówiono na starą, Marysia?

UK: Marysia nie, używano zdrobnienia Maryjka lub Maryj. Dziewczynka to Maryjka, a już starsza to Maryj. Na Śląsku używano różnych form zdrobnień dla imion.

MTJ: Maryjka brzmi bardzo pięknie, swojsko. Co było dalej?

UK: Starka spełniła swoje marzenie, by choć jedno dziecko grało Panu Bogu na chwałę. Brat mamy Emanuel skończył klasę organów w Katowicach. Konserwatorium muzyczne przed wojną było odpowiednikiem dzisiejszej szkoły średniej muzycznej. Organistowanie było jego pasją i życiową profesją.

MTJ: A co z siostrami?

UK: Siostry mamy, oprócz najstarszej były członkiniami chóru. Nawet utarło się stwierdzenie, że Gmina Gie-



Maria Smółka (stoi pierwsza z prawej) z rodzicami i siostrami, zdjęcie archiwalne

³ Katolickie stowarzyszenie świeckich, którego celem było łączenie życia chrześcijańskiego z rozwojem i kształceniem się. Sodalicyja powstała w środowisku studenckim w Rzymie w XVI wieku.

⁴ Por. Parys P. **Niezapomniane. Kobiety w czasie powstań i plebiscytu na Górnym Śląsku**, Muzeum Śląskie 2019, wstęp.

rałtowie jest najbardziej rozśpiewaną gminą w Polsce.

MTJ: We wszystkich domach śpiewano bez względu na narodowość?

UK: Raczej tak. Śpiewanie i grajkowanie było powszechnością. Z reguły w niedzielne popołudnia, po nieszpokach, dzieci przychodziły do rodziców. Tym spotkaniom towarzyszył śpiew. W rodzinie mego taty, również umuzykalnionej, siedmioosobowe rodzeństwo tworzyło wielogłosowy rodzinny chór. Tata mego taty był chórzystą chóru Słowik w Przyszowicach, pełnił również rolę chorążego w tym zespole.

MTJ: Kiedy starka znajdowała czas na działalność społeczną?

UK: Trudno to zrozumieć, bo dzisiaj nikt nie ma czasu. Mama wspominała, że starka krótko po urodzeniu kolejnego dziecka szła do pracy w pole niosąc dziecko w koszyku.

MTJ: Dziś zadziwia ta „klasyczna” opowieść sprzed 100 lat o kobietach rodzących w polu, albo zaraz po urodzeniu dziecka zabierających się do roboty.

UK: Pamiętam ze wspomnień mamy, że starka bardzo dbała o porządek w domu i w obejściu, ale również angażowała w to swoje dzieci. Każde dziecko miało swój przydział obowiązków.

MTJ: Ile miała lat, gdy skończyła rodzić dzieci?

UK: Ja myślę, że mogła być po czterdziestce.

MTJ: To i dziś jest niecodzienne. Jak godziła obowiązki matki i społeczniczki?

UK: Dzieci się nawzajem sobą opiekowały. Była dyscyplina. Jeśli którekolwiek dziecko nie sprostało dyscyplinie, a jedna z cioć lubiła sobie pobrykać, to kara była zawsze adekwatna do wybryku.

MTJ: Potężna rodzina, mnóstwo dzieci i jeszcze działalność społeczna. To jednak dalekie od modelu 3xK⁵, spróbujmy się jeszcze przez chwilę nad tym pochylić. Jaką rolę odgrywała rodzina?

UK: Na pewno, dla rodziców ważna była bliskość dzieci, wspólne spożywa-

nie posiłków, niedzielne biesiadowanie w szerszym gronie oraz kultywowanie lokalnych tradycji. Uważam jednak, że także wtedy były różne zachęty do innego stylu życia, ale rodziny wybierały ten, który im odpowiadał i czemuś służył. Moja rodzina była muzykująca i czytająca. Wszystkie siostry i bracia skończyły ośmioklasową szkołę.

MTJ: Czy starka była autorytetem? W jakim sensie? Jak często chodziła pani do starki?

UK: Miałam 3 i pół roku, kiedy starka zmarła. Do dzisiaj mam jej obraz leżącej w trumnie. Dzieci wtedy nie były wychowywane w tajemnicy przed śmiercią, traktowano to jako kolej życia. I o tym w rodzinie rozmawiano. Starka była szczupłą, ciut wyższą od starszaka. Widać to na zdjęciach. Pochowano ją w czarnej jakli niedzielnej z koronkami. Na głowie miała tradycyjnie związaną chustkę, też czarną. Za życia jako członkini Towarzystwa Polek wiązała czerwoną chustkę na tzw. „żurok”⁶. Tak się ubierała uczestnicząc w religijno – patriotycznych uroczystościach. Niestety mama nie pamiętała okoliczności, dlaczego członkinie zakładały czerwone chusty, widocznie takie były organizacyjne ustalenia.

MTJ: Czytałam, że kobiety z TP przejmowały elementy stroju regionalnego i traktowały go jako „strój związkowy”.

UK: Starka ubierała się „po chopsku” – spódnica, fartuch i jakła. Inny komplet ubierała na niedzielę, głównie do kościoła, inny na co dzień. Pamiętam wspomnienia mamy o tym, że członkiniami TP były też Albina Jojkowa i Agata Stachurowa – żona Antoniego, działacza narodowościowego.

MTJ: Jeszcze do nich wrócimy. A Pani babcia, pani Janko, co pani o niej wie?

JCR: Moja babcia, Marta Polak z domu Krok urodziła się w 1896 r., była starsza od babci Urszuli. Wyszła za mąż za Wilhelma Polaka w 1913 roku. Pochodziła z rodziny, w której było dwanaścioro dzieci, ale tylko połowa z nich

dożyła wieku sędziwego. Natomiast Marta i Wilhelm Polakowie mieli dzieci niewiele, jak na tamte czasy, bo było ich tylko czworo. Mama była najstarsza i miała 3. braci.

MTJ: Marta Polak, z domu Krok oraz Maryz z domu Kleczka, po mężu Smółka, były sąsiadkami, tak jak wy teraz, pani Janko i Pani Urszulo?

JCR: Mieszkamy w dalszym sąsiedztwie obecnie, ale tak, znamy się i spotykamy.

MTJ: Jesteście trzecim pokoleniem kobiet, które się koleżankuje. Na zdjęciach, które mi pokazałyście widać było przemiany kulturowe odbijające się w kobiecych strojach, gestach, minach. Dało się zauważyć dwudziestowieczną, nową kobietę, która się już zupełnie inaczej nosiła. To pokolenie waszych matek, prawda?

JCR: Te ubiory nazywano „pańskim strojem”. Bo tamte kobiety ubrane w jakle, to jak mówiono „po chopsku” były ubrane. Moja mama mówiła, że nigdy nie ubierała się w tak zwany „chopski strój”.

UK: Moja mama również wspominała, że nie nosiła się „po chopsku”, ponieważ jej starsza siostra Aniela zbuntowała się i nie zgodziła się tak ubierać. Mama chętnie poszła za przykładem najstarszej siostry, która ogólnie była wojownicza i odważna. To właśnie ona w okresie okupacji dowodziła do umówionego punktu paczki żywnościowe dla więźniów KL Auschwitz.

JCR: Aniela była taka mocna?

UK: Ciocia Aniela tak, rodzice jej ustąpili, widać byli otwarci na nowe. Kuzynki mamy często się buntowały, ale chodziły w chłopskim stroju. Ostatecznie w końcu się przestroiliły na miejski strój.

MTJ: Przestroiliły się?

UK: Tak określano zmianę stylu ubierania się. Prawdopodobnie określenie pochodzi od słowa strój, stroić się. Nieliczne kobiety miały wiele strojów. Do ślubu panny młode ubierały nadal często w bardzo tradycyjny strój. A na tańce w gospodzie, ubierały się „na muzy-

⁵ Kinder, Küche, Kirche, aliteracja Kinder, Küche, Kirche, z niem. dzieci, kuchnia, kościół, popularny w Niemczech slogan odnoszący się do tradycyjnej roli kobiety w społeczeństwie i rodzinie. Stał się popularny w okresie Cesarstwa Niemieckiego, jednak czas jego powstania nie jest znany.

⁶ Prawdopodobnie dochodzi tu do błędnego nazywania zjawiska. Bo wiem żurok to po prostu inaczej purpurka. Natomiast „na żurek”, a nie „na żurok” oznacza takie wiązanie chusty (np. w rejonie Cieszyna), gdy po związaniu „skrzydła” chusty pozostają sporych rozmiarów. Konsultacja – Małgorzata Pietrzak, Centrum Dziedzictwa Kulturowego IMP



Towarzystwo Śpiewacze Skowronek na wycieczce nad Olzą, zdjęcie archiwalne



Zdjęcie weselne córki Marii i Antoniego Smółków. Pierwsi siedzący z lewej to Maria i Antoni Smółkowie, a obok pana młodego siedzi Ks. Wł. Robota, zdjęcie archiwalne

ka”, jak mówiono, skromniej, tak było w przypadku mojej starki.

JCR: Również o tym słyszałam.

UK: Na zabawę weselną przychodzili nie tylko goście weselni, mógł przyjść każdy i się pobawić. Zabawy weselne były okazją do spotkania się, a czasem poznania przyszłej żony lub męża. Na tańce dziewczyny nie przychodziły same, towarzyszyły im matki albo starsi bracia.

MTJ: Zwróćmy się ku innym gierałtowskiemu herstoriom, żona i córki Antoniego Stachury udzielały się w czytelnicy?

UK: Antoni Stachura, przekraczając granicę jeździł do Krakowa i przywoził stamtąd książki, głównie klasykę. Dominowały pozycje klasyczne, Sienkiewicz, Mickiewicz, Kraszewski. Często ledwo nabyte książki były konfiskowane przez Niemców już w podróży. Żona i córki dbały o księgozbiór i zajmowały się wypożyczaniem.

MTJ: Gdzie mieściła się czytelnica, w której pracowały głównie kobiety?

UK: Biblioteka i czytelnica mieściły się przy ul. Głównej, dzisiaj to ul. ks. Wł. Roboty. Tam odbywały się różne spotkania, próby chórów i pierwsze przedstawienia teatralne – do czasu, gdy władze niemieckie ich nie zakazały.

MTJ: Czy Antoni Stachura, podobnie jak ks. Robota włączali kobiety do działań społecznych?

UK: Antoni Stachura pełnił różne funkcje. Był kantorem w kościele, prezesem Związku Filaretów w Gierałtowie. Angażował się w powstanie chóru w roku 1914, w którym śpiewały również kobiety. Podczas działań powstańczych nie mógł brać bezpośredniego w nich udziału ze względu na wiek, ale angażował się we wszystkie możliwe prace organizacyjne. Ze zbiorów gierałtowskiej biblioteki korzystali również czytelnicy z Gliwic i Zabrze. Te infor-

macje przekazała mi córka Antoniego Stachury Maria.

MTJ: A co wiemy o jej matce, Agacie Stachurze?

UK: Agata Stachurova wspierała męża w jego działalności, była jego prawą ręką. Oprócz obowiązków żony i matki (cztery córki i syn) wypożyczała książki, pracowała w polu i prowadziła gospodarstwo. To wykluczało jej większe zaangażowanie społeczne.

MTJ: Bohaterka drugiego planu?

UK: To było wówczas powszechne. W Gierałtowie było kilka mocnych klanów rodzinnych zaangażowanych w propolską patriotyczną działalność.

MTJ: Dobry moment, aby wrócić do dziejów TP, jak nazywano towarzystwo u pań w domach?

UK: Mama wspominała je jako Towarzystwo Polek. Nie pamiętam określenia Korfanciorki lub Korfancioszki. W Gierałtowie TP powstało w 1921 roku (lub w 1920, mój przypisek) z inicjatywy Marii Puc. W pierwszych latach liczyło od 20 do 25 członkiń. Do najbardziej aktywnych należały Anna Motyka i nauczycielka Maria Szatyńska, która przybyła do Gierałtowa, kiedy Grażyński objął wojewodowanie.

JCR: Nauczycielka.

UK: Tak. Dla mieszkańców fakt sprowadzania nauczycieli z Małopolski jest przykrym wspomnieniem, ponieważ u nas była odpowiednia kadra nauczycieli.

MTJ: A może wpływ na to miała tzw. ustawa celibatowa, którą Sejm Śląski uchwalił w 1926 roku. Jak pisała Grażyna Kuźnik „Sejm Śląski, opierając się na starych pruskich przepisach, uznał, że miejsce mężatek, dotąd zatrudnionych na posadach nauczycielskich, jest tylko w domu, przy mężu. Reszta kraju alarmowała, że to naruszenie zasad polskiej konstytucji, powrót do ciemnoty. Ślężacy twierdzili, że przeciwnie – jest to przywilej dla zamężnych kobiet, które mają zbyt dużo rodzinnych obowiązków, żeby jeszcze zarabiać. Ale dotyczyło to tylko nauczycielek. Robotnice, sprzedawczynie czy urzędniczki po ślubie mogły nadal pracować”. Wydało mi się, że to musiał być trudny czas dla wielu kobiet. Podczas uroczystości 25-lecia ruchu w Katowicach, kobiety rozdzielają się na dwie frakcje: chadecką i sanacyjną. Te pierwsze zostają przy Korfantym. Opowiadają się za tradycyjną rolę kobiet w domu i poza nim. Korfanty drukuje w „Polonii” i rozsyła do kobiet odezwę, gdzie nakreśla profil idealnej Górnoślązaczki – ostoji rodziny, podpory małej ojczyzny, katoliczki o niewzruszonych zasadach moralnych, bardzo konserwatywnych, dokładnie wg rekomendacji papieża Leona XIII.

UK: Ponieważ ks. Robota był bardzo związany z Korfantym i chadeckim ruchem uważam, że w Gierałtowie do rozłamu nie doszło.



Ks. Wł. Robota z przyjaciółmi – działaczami narodowościowymi z Gierałtowa, zdjęcie archiwalne

MTJ: Mówi pani o kobiecych strukturach nie mówiąc o kobietach, czy TP w Gierałtowicach zostało przy Korfantym, przy chadecji? Moje główne pytanie brzmi, czy rozumiały, co się dzieje?

UK: Tak, zostały przy Korfantym, myślę, że tak pozostało. Podejrzewam, że były zorientowane o pęknięciu organizacji. Społeczność gierałtowska była stabilna, aktywna w tym znaczeniu, że brała udział we wszystkich ważnych dla niej samej uroczystościach.

JCR: Nie mam na ten temat żadnej wiedzy.

MTJ: Jakie ma pani na myśli uroczystości, pani Urszulo?

UK: Uroczystości było dużo, w dużym stopniu inicjował je ks. Robota. Moja starka była aktywną członkinią poprzez uczestniczenie we wszystkich, ale odpowiedzialnej funkcji na pewno nie pełniła.

MTJ: Dlatego miała ograniczony dostęp do informacji?

UK: To nie była kwestia ograniczonego dostępu do informacji. To był jej wybór, a może również zaufanie do poglądów i postawy miejscowych działaczy patriotycznych, oddanych sprawie rozbudzania świadomości narodowej. Wybrała formę bardziej biernej członkini, zaś w swojej rodzinie to ona zajmowała się kształtowaniem postaw swoich dzieci.

MTJ: Towarzystwa miały przejrzystą strukturę organizacyjną, miały składki. Opis zasad funkcjonowania lokalnych kół można przeczytać w regulaminach przyjęcia do kół. Składka była obowiązkowa i z góry określona.

UK: Zastanawiam się, skąd starka jeszcze i na to miała pieniądze.

MTJ: Myślę, że donacja była symboliczna, podobnie jak składki, ale zasobność Towarzystwa wynikała z ilości członków, przynajmniej do 1926 roku. Po rozłamie szły targi między korfanciorami i grażynszczorami także o zasób finansowy „pękniętej” organizacji.

UK: Gierałtowskie członkinie Towarzystwa miały także swoje prywatne wydatki, często uczestniczyły w pielgrzymkach do Piekar Śl. i do Częstochowy. Brały również udział w uroczystościach 25-lecia pracy twórczej Marii Konopnickiej w Krakowie. W Żarnowcu w dworku poetki widziałam zdjęcie pisarki w otoczeniu Górnoślązaczek. Konopnicka pięknie za to podziękowała. Za niezwykle gest uznaje też ufundowanie przez członkinie TP witraża w naszym nowym kościele z zapisem, że jest to fundacja Towarzystwa Polek. Witraż znajduje się w lewej ścianie kościoła, obecnie po rewitalizacji.

MTJ: Koła TP wozily także dzieci na takie patriotyczne wycieczki. Do Krakowa, do Wieliczki, na Wawel.

UK: Mama gdzieś wyjeżdżała, prawdopodobnie do Wieliczki.



Członkinie Towarzystwa Śpiewaczego Skowronek, wśród nich 2 córki Marii Smolka – oraz Anastazja druga z lewej w 3 rzędzie, zdjęcie archiwalne

MTJ: To był taki klasyczny propagandowy zestaw wycieczkowy, „polskie patriotyczne all inclusive”. Oczywiście wówczas na pewno nie postrzegano tego w ten sposób. Czytałam ogromną ilość kobiecych wspomnień na ten temat. Intuicja badaczki podpowiada mi, że te wyjazdy, poza włączaniem w silny propolski projekt patriotyczny, miały też element tzw. „emancypacyjnego coachingu”, gdyż często, to była jedyna taka wycieczka w życiu. Pozwalała kobietom przez moment pooddychać innym powietrzem, zobaczyć mało znany świat, ale też dostrzec mocne kobiety w nieco innym niż tylko propagandowe czy domowe działaniu. Po powrocie, kobiety, żarzące bakcylem, same robiły swoje wydarzenia i akcje. Nie tylko patriotyczne.

UK: Kiedy w 1916 roku trumnę ze zwłokami Henryka Sienkiewicza sprowadzano ze Szwajcarii do Polski, trasa przejazdu objęła również Śląsk. Trasa przejazdu prowadziła przez Bogumin, Zebrzydowice, Dziedzice i Katowice. W Katowicach wśród oddających hołd zmarłemu była również delegacja z Gierałtowa, w tym również członkinie TP.

MTJ: Czy znamy jej skład?

UK: Nie dotarłam do takich materiałów.

MTJ: Czy chciałyby Panie jeszcze dodać informacje o innych aktywnych kobietach, sąsiadkach waszych starek?

UK: W sąsiednich Paniówkach również prężnie działało Towarzystwo Polek. Doczytałam, że sztandar Towarzystwa przejęło miejscowe Koło Gospodyń Wiejskich. W historii ziemi rybnickiej są również wzmianki o działalności lokalnych TP. Być może te koła również wysłały delegacje członkiń do Krakowa na uroczystości Marii Konopnickiej.

MTJ: Ze Śląska pisarka otrzymała wiele tak zwanych aktów hołdowniczych. Niektóre są niezwykle pomysłowe, jak

byśmy dziś powiedzieli kreatywne, czasem bardzo piękne, estetyczne. Laurki i hafty robione przez lokalne Towarzystwa Polek, z różnych miejsc na Śląsku. Akty hołdownicze, to rodzaj listów ręcznie pisanych i przeróżnie ozdabianych: malowanymi miniaturami, poprzez dołączenie suszonych kwiatów i liści, itp. Niezwykle uroczyste w treści, patetyczne, czasami w postaci książeczek. Bardzo ciekawe reprintsy aktów hołdowniczych są eksponatami w Muzeum Powstań Śląskich w Świętochłowicach (np. akt hołdowniczy dla Marii Konopnickiej od Janiny Omańkowskiej z akwarelowymi malunkami tej ostatniej). Panie dodawały rysunki, inicjały, uruchamiały sztukę kaligrafii i załączały kunsztownie układane strofy dla swej celebrytki. Czasami rulon lub obraz były oprawne w skórę lub sukno, schowane w drewnianym lub innym pudełku, intarsjowanym itd. Takie akty miłości, podziwu, szacunku, wierności, trochę podziękowania, trochę apele. Bardzo kobiece i romantyczne były te adresy hołdownicze.

UK: Wracając do udziału gierałtowskich kobiet w powstaniu dodam jeszcze, że bardzo zaangażowane, w charakterze sanitariuszek, były: Matylda Buchcik, Maria Glicklich oraz Hanna Kozłowska, zaś panie Erfurtowa i Rothkegielowa prowadziły kuchnię polową.

MTJ: Nadal bardzo mało o nich wiemy, tym bardziej dziękuję paniom za rozmowę i ich przypomnienie.

Wywiad przeprowadzony w Gierałtowicach 21 lipca 2020 roku. ■

Animatorem działalności teatralnej przy chórze Skowronek był po II wojnie światowej gierałtowiczanie Dionizy Kornas, nauczyciel matematyki w tutejszej szkole podstawowej.

Białe damy, czarny pies

EDWARD WIECZOREK

Straszące tu i ówdzie Białe Damy najczęściej są pokłosiem jakiejś nieszczęśliwej miłości lub niezamkniętych za życia spraw. Pojawiają się na murach, schodach lub w pobliżu zamków, pałaców, opuszczonych domów... Zawsze też towarzyszy im jakaś legenda (często tworzona *ad hoc*). Kto jednak jest trzeźwy (w stanie wskazującym na spożycie widuje się różne rzezczy...), może spokojnie udać się do opisanych niżej miejsc. Zapraszam.

TWORKÓW

W podraciborskim Tworkowie znajdują się malownicze ruiny renesansowego zamku z XVI w., który został przebudowany po 1860 r. przez architekta Carla Heindenreicha na zlecenie ówczesnego właściciela, hrabiego von Saurma-Jeltsch. Jak wyglądały jego wnętrza, możemy dowiedzieć się ze wspomnień Ludwika Bielaczka, tworkowskiego fornała, który we wspomnieniach „Ze studni zapomnienia” pisze: „wstępu na szeroką klatkę schodową broniły broje dwóch rycerzy [...] z wielkich obrazów, płócien, które zajmowały nieraz całą ścianę sali, patrzyły przyćmione postacie jeźdźców, siedzących na barwnie przystrojonych koniach. Wszędzie stały szafy: niektóre z nich były wykładane szlachetnym drzewem, inne misternie rzeźbione. Galeria zawieszona była trofeami myśliwskimi. Cała jedna sala położona w dolnej kondy-

gnacji, tzw. „Waffensaal”, była zawieszona wszelkiego rodzaju bronią: mieczami, szablami, rapierami”. Zbrojownia sklepiona była ostrołukowo i kto wie, czy nie była ona najstarszym fragmentem zamku.

Jak każdy szanujący się zamek, także Tworków miał swoją Białą Damę, której ukazanie się zwiastowało zawsze jakieś nieszczęście. Ostatni raz widziano ją w Wigilię Bożego Narodzenia 1930 roku i... stało się! W nocy z 8 na 9 stycznia 1931 r. zamek spalił się w tajemniczych okolicznościach. Jak pisze wspomniany Ludwik Bielaczek: „ogień błyskawicznie obleciał dach i wkrótce płonął już cały zamek łącznie z wieżą zegarową. Stanowiło to dla wszystkich niewyjaśnioną zagadkę, jako że fasada zamku miała aż 120 metrów długości, a z pożarem walczyło 25 sikawek i dwie motopompy – z Raciborza i Opawy. Łuna widoczna była w promieniu sześćdziesięciu kilometrów”. Zamek krótko przed pożarem był impregnowany „przed robactwem”. Wkrótce po pożarze zmarł kierownik tych robót, starszy murarz, a niedługo po tym – kasztelan zamku. Właściciel wystąpił o odszkodowanie, ale towarzystwo ubezpieczeniowe odmówiło jego wypłacenia. Dopiero w wyniku procesu sądowego hr. von Saurma-Jeltsch otrzymał 100 tys. marek, zamiast żądanych 500 tys. Od owego feralnego 1931 roku nikt nie podjął wysiłku odbudowy zam-

ku. Zabezpieczono tylko ruiny, udostępniając je turystom.

TOSZEK

W Toszku straszy Gizela von Gaschin (de domo von Kottulinski). Jako wiano w małżeństwo z Leopoldem von Gaschin wniosła m.in. rodowy klejnot – złotą kaczkę siedzącą na 11 złotych jajkach (prawdopodobnie wyrób jubilerski w stylu jajek Fabergé'a). 29 marca 1811 r. na zamku wybuchł pożar. Ogień pojawił się tak nagle, że właściciele mogli ewakuować się tylko tajnym tunelem. Hrabina Gizela w ostatniej chwili złapała najcenniejszy skarb rodowy – ową złotą kaczkę – i tajnym przejściem rzuciła się do ucieczki. Znalaziono ją martwą już poza zamkiem, natomiast kaczki nie odnaleziono nigdy.

Od tego czasu jako Biała Dama bezskutecznie poszukuje zaginionego klejnotu...

Wielu ludzi usiłowało odszukać kaczkę, ale żeby to jeszcze było takie proste... Ludowa legenda powiada, że odnajdzie ją młodzieniec czysty, urodzony w niedzielę, który zjeździe do lochów w dzień Wielkiej Nocy. Józef Lompa w swych „Podaniach ludu śląskiego” powiada: „O zgorzaly, niegdyś wspaniałym zamku toszeckim wspominają starzy ludzie, że tu tyle okien było, ile rok liczy dni. W studni tamtejszej ma być kaczycza złota na złotych jajach posadzona. Jak ta będzie znaleziona, ma zaś wtedy zamek z gruzów powstać i w dawnej wspaniałości swojej się pokazać”.

W Niedzielę Wielkanocną 15 kwietnia 1972 r. ówczesny kierownik zamku w Toszku, młody archeolog Maciej K. zobaczył coś, z czym nie mógł się pogodzić jego racjonalny umysł: „nocą, bo już po obejrzeniu programu telewizyjnego, jak zwykle obszedłem cały zamek, w baszcie, gdzie mieszczą się pokoje gościnne, w jednym z okien ujrzałem światło. Zdziwiło mnie to, bo przecież nikogo tam nie meldowałem, ale poszedłem rzecz sprawdzić. Otworzyłem drzwi, wszedłem do środka. Nic. Pusto, ciemno. Przywidziało mi się – pomyślałem i wyszedłem na dziedziniec, ale tknięty jakimś przeczuciem znów się obejrzałem. I znów w oknie paliło się światło, a co więcej, na szczycie baszty, tam gdzie umieszczony jest metalowy orzełek, ujrzałem postać w bieli. Miałem ze sobą latarkę, natychmiast zaświeciłem i w tym mo-



Ruiny zamku w Tworkowie. Fot. Grzegorz Nowak.



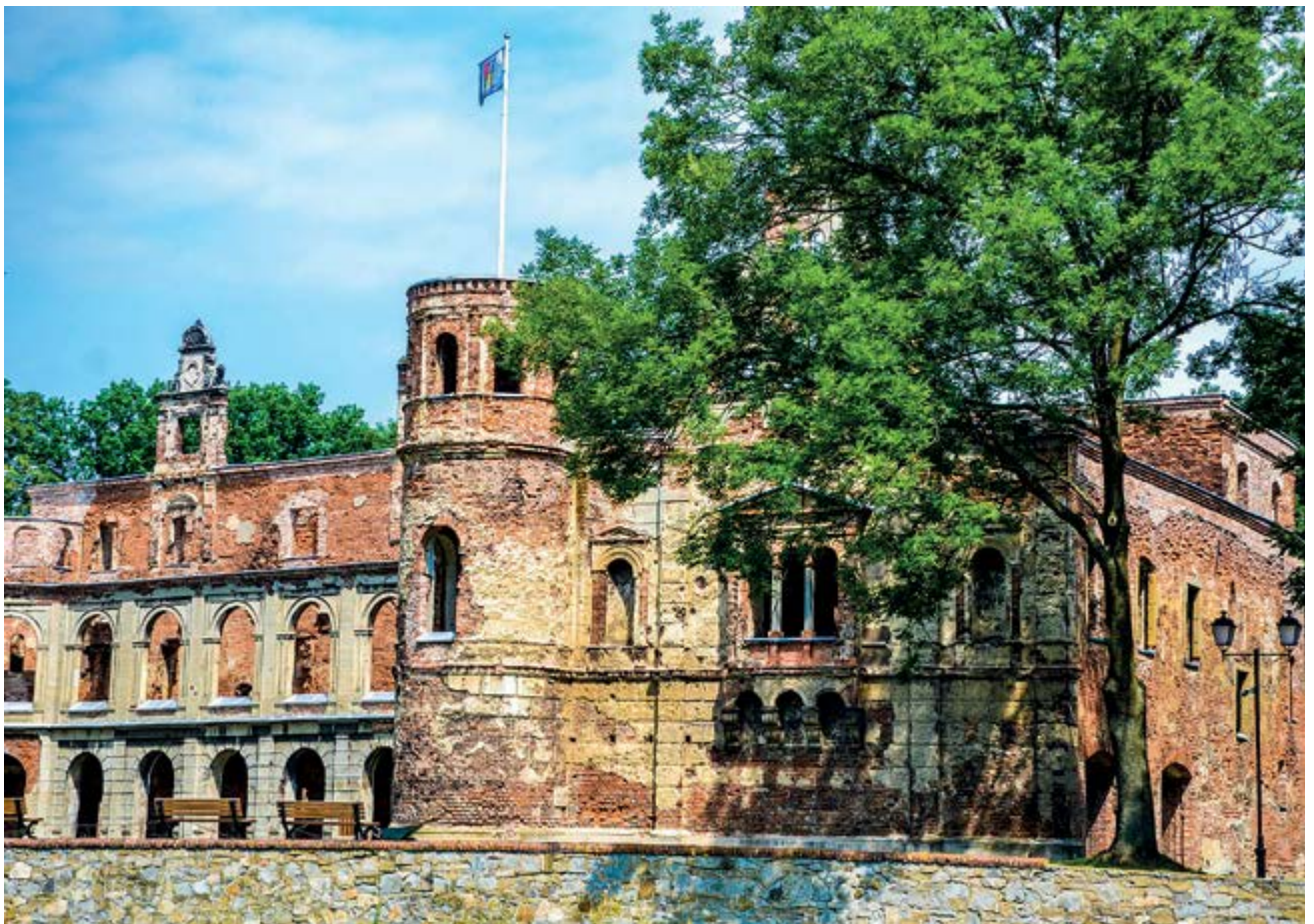
Ruiny zamku Ogródzieniec. Fot. Tomasz Renk slaskie.travel



Bobolice, zamek. Fot. Tomasz Renk slaskie.travel



Toszek, dziedziniec zamku. Fot. Edward Wieczorek



Ruiny zamku w Tworkowie. Fot. Grzegorz Nowak

mencie postać znikła. Znikło także światło w oknie. Spojrzałem na zegarek – była północ. Mocno zaniepokojony wróciłem do siebie i nikomu dotychczas o tym zdarzeniu nie opowiadałem, bo nie wiem – przywidzenie to było czy prawda...” (Bogna Wernichowska, *Duchy Polskie*, Warszawa 1983, s. 148). Pisząc o zamku toszckim w mej książeczce „Zamki i pałace na turystycznych szlakach” (Katowice 1992), zważyłem widzenia Maćka na karb wielkanocnego „przejedzenia”. Ale poznałem go osobiście w 1994 r. i wiem, że nie jest skłonny do fantazjowania. Bogna Wernichowska pisze, że pod koniec lat 60. XX wieku pojawiła się na zamku ekipa speleologów z Wrocławia, która chciała zbadać tutejsze lochy i – być może – wyjaśnić tajemnicę podziemi. Wejście do podziemi odnaleziono, jednak po pierwszej próbie natrafiono na zasypany gruzem korytarz i speleolodzy stracili jakoś zainteresowanie do dalszej penetracji. Zbywając pytających ich natrętów, ekipa szybko z Toszka wyjechała. Bogna Wernichowska zadaje sobie pytanie: dlaczego? Może „coś jest na rzeczy”?

BOBOLICE

Bobolicka Biała Dama straszy za cudzołóstwo, czyli naruszenie szóstego przykazania. A było to tak.

Kiedy zamek w Bobolicach był jeszcze ruiną (a to w sumie nie tak dawno), miał zachowane fragmenty murów zewnętrznych oraz ruiny tzw. zamku górnego. Od strony południowej wznosił się w formie iglicy fragment wieży, zaś od strony północno-zachodniej – występ (coś w rodzaju ganeczku), z którego znakomicie widać było skalną grzędę i sąsiedni zamek w Mirowie. Nocami na tym ganeczku pojawiała się Biała Dama.

Jedna z legend – zanotowana przez Michała Fedorowskiego – wspominała o tym, że dwóch braci władało sąsiednimi zamkami – Mirowem i Bobolicami. Posiadali ogromne skarby, które przechowywali w łączących obydwie zamki podziemiach. Pewnego razu jeden z braci – nazwijmy go Bobolicki – przywiózł z długiej wojaczki cudnej urody brankę – księżniczkę, z którą się ożenił, a w której od pierwszego wejrzenia zakochał się brat – Mirowski. Zazdrosny Bobolicki zabił brata, a wiarołomną żonę kazał żywcem zamurować w zamkowej wieży. W pogodne noce jej duch wychodził na ganek bobolickiego zamku i tęsknym wzrokiem patrzył ku sylwetce Mirowskiego. Lepiej więc w pogodne noce unikać zamku w Bobolicach (choć po jego zrekonstruowaniu i postawieniu u podnóża karczmy, jakoś o bobolickiej Białej Damie ucichło).

ŚWIERKLANIEC

Markizę Blanckę de Paiva Araujo młodzieńki Guido Henckel von Donnersmarck poznał w Paryżu, w którym należała do najpiękniejszych kobiet epoki, a jej salon



Ruiny zamku w Tworkowie. Fot. Grzegorz Nowak.

przy Polach Elizejskich w Paryżu gościł literatów, malarzy, muzyków, dyplomatów, naukowców, polityków (Aleksander Dumas sportretował ją jako Marię Duplessis, pierwowzór „Damy Kameliowej”, a Fiodor Dostojewski – jako Nastazję Filipowną, bohaterkę „Idioty”). Zakochany Guido zaproponował jej małżeństwo, ale musiał czekać trzynaście lat, zanim Blanka nie dostała rozwodu. Pobrali się 28 października 1871 r. i zamieszkali w Świerkłańcu. Dla ukochanej małżonki hrabia Guido wznosił w parku neorenesansowy pałac, wzorowany na pałacach francuskich (stąd popularne określenie „Wersal północy”), spalony w 1945 r. i rozebrany na początku lat 60. XX w. Pałac ten uważa się za najciekawszy przykład „przeszczepu” poza Francję tzw. „kostiumu francuskiego” w architekturze historyzmu. Jego autorem był jeden z najlepszych architektów epoki – Hector Lefuel. Niektórzy doszukiwali się podobieństwa

do XVII-wiecznego zamku w Pontchartrain (przypisywanego Mansartowi – budowniczem Wersalu), który Guido kupił w latach 50. XIX w. dla markizy de Paiva.

Zachowana ikonografia świerklanieckiego „Wersalu” przedstawia piętrową budowlę z centralnym ryzalitem, krytym wysokim dachem oraz alkierzami w narożnikach. Francuski kostium podkreślały wysokie mansardowe dachy budynku głównego i namiotowe nad alkierzami. Po bokach nadbudowane były galerie, połączone z bocznymi pawilonami. Wnętrze pałacu wypełniało luksusowe wyposażenie i specjalnie zamawiane artystyczne meble. Projektantem wnętrza i większości sprzętów był znany artysta, Charles Rosignaux. Taras pałacowy zdobiły rzeźby Emmanuela Fremieta: cztery pary walczących zwierząt oraz grupa trzech postaci kobiecych podtrzymujących sferę. Z wojennej pożogi, powojennego rabunku i barbarzyńskiej likwidacji pozostało-



Bobolice. Fot. Tomasz Renk slaskie.travel.



Ruiny zamku Ogrodzieniec. Fot. Tomasz Renk slaskie.travel

ści pałacowych murów w latach sześćdziesiątych ocalały jedynie rzeźby Fremieta i... brama pałacowa, zdobiona dziś wejście główne do Śląskiego Ogrodu Zoologicznego w Chorzowie.

Zimą 1884 r. podczas przejażdżki konnej szal Blanki zaplątał się w gałęzie jednego z drzew i udusił ją (oficjalna wersja śmierci – serce). Jedna z legend mówi, iż mąż nie mógł pogodzić się z jej zejściem, zakonserwował jej zwłoki i umieścił w jednej z komnat pałacu, co odkryła dopiero jego druga żona. Tak to jest z legendami. Prawda była bardziej przyziemna. Pochowano ją w mauzoleum przy „starym” zamku, z którego pozostały tylko resztki murów. W 1945 r. zostało ono splądrowane i sprofanowane, więc rozrzucone wokół kości zostały pozbierane przez księdza ze Świerklańca i powtórnie pochowane na starym cmentarzu ewangelickim w lesie na granicy Świerklańca i Chechła. Cmentarz ten jest obecnie haniebnie zaniedbany i nie bardzo już wiadomo, gdzie spoczywają szczątki markizy.

Hrabia Guido kazał feralne drzewo ściąć, ale ponoć pień po krótkim czasie ponownie pokrył się gałązkami i listowiem. Rokrocznie też na Wszystkich Świętych u jego stóp znajdowano płonąca lampkę i czerwoną różę. Ogrodnicy zamku ją twierdzili, że duch Blanki nocą opuszcza kryptę, a nad drzewem, które było przyczyną jej śmierci, unosi się biały obłok, przypominający markizę...

Dziś po wspaniałym założeniu rezydencjonalnym, na które składały się zamek średniowieczny (przebudowany w 1851 r.) i pałac, zwany „Wersalem północy, Pałac Kavalera, 140-hektarowy park i kościół zamkowy z mauzoleum, pozostał jedynie Pałac Kavalera, zbudowany w latach 1903-1906 wg proj. Ernesta von Ihne, oraz kościół z mauzoleum, postawiony na wzór berlińskiego kościoła św. Jerzego w Monbijou w 1896-97 przez Otto Raschdorffa. Obie budowle znajdują się we wspaniałym, ogólnie dostępnym, choć nieco zaniedbanym parku krajobrazowym i choćby na ich przykładzie możemy sobie wyobrazić, jak świer-

kłaniecki park z „zawartością” mógł wyglądać w czasach hrabiego Guido i markizy Blanki.

PODZAMCZE

Na najwyższym wzniesieniu Jury Krakowsko-Częstochowskiej wznoszą się ruiny zamku Ogrodzieniec, niegdyś królewskiego, potem w rękach prywatnych. Pierwsza budowla murowana w tym miejscu pojawiła się już na początku XIV w., zbudowana prawdopodobnie w zamian za zniszczoną warownię na górze Birów. W XV w. Władysław Jagiełło darował budowlę Włodkom. Potem wielokrotnie zmieniali się właściciele. W czasie szwedzkiego „potopu” zamek zniszczono i praktycznie nigdy nie przywrócono do stanu pierwotnego.

Jednym z właścicieli warowni był Stanisław Warszzycki – pan na Dankowie, starosta piotrkowski, potem kasztelan krakowski. W czasie wojny ze Szwecją zaopatrzył Jasną Górę w armaty i żywność, odbił Pilicę i Krzepice z rąk Szwedów i obronił Danków, w którym później gościł króla Jana Kazimierza i królową Ludwikę Marię. O ile jednak zasługi dla Ojczyzny Warszzyckiego były przeogromne, dla swych poddanych był – podobno – wyjątkowym łajdakiem.

Uwielbiał ponoć tortury i folgował sobie w ich stosowaniu pod błahymi nawet

pretekstami, szczególnie okrutny miał być wobec swych kolejnych żon, z których jedną chłostał na oczach poddanych, drugą miał zamurować żywcem i wysadzić tę część zamku. Według opowieści przekazywanych z pokolenia na pokolenie, Warszzycki jeszcze za życia został porwany przez diabła do piekła i stamtąd nocami powraca na zamek pod postacią czarnego psa, aby pilnować swoich skarbów ukrytych przed wszystkimi. Skarby te miały stanowić posag jego córki, jednak – choć strasznie bogaty – Warszzycki nie dał córce nawet talara.

Miejscowe opowieści mówią, że na zamku nocami pojawia się ogromny czarny pies pobrzękujący długim na trzy metry łańcuchem. Jedna z takich opowieści mówi o młodzieńcu, który nie wierząc miejscowym bajdom, postanowił zanocować na zamkowym dziedzińcu. Jak później wyznał, w środku nocy najpierw usłyszał pobrzękiwania łańcucha, a następnie usłyszał za plecami powarkiwanie. I choć księżyc był w pełni, kiedy się odwrócił, niczego nie zobaczył, jednak dźwięk nie ustawał. Wystraszony biegł przed siebie co sił w nogach, czując na karku trupio lodowaty oddech, aż dotarł do stawu. Kiedy wskoczył do wody, przed nim ukazał się ogromny psi łeb. Na szczęście letnie noce nie są sładugie. W dali zapiał kur, a czarny pies wyskoczył z wody i pognał do zamku.

Legenda legendą, ale przewodnicy zamkowi wszystkim zwiedzającym pokazują niewielki schron skalny w obrębie dziedzińca ogrodzienieckiego zamku, zwany „Katownią Warszzyckiego”.

Podane przykłady nie wyczerpują listy białych dam, czarnych psów, jeźdźców bez głów i innych strachów, których pełno przy różnorodnych miejscach tajemnych. A takich w województwie śląskim nie brakuje. Na wszelki wypadek, zwiedzając ruiny zamku, o którego niepozdanych lokatorach niewiele wiecie, włóżcie do kieszeni kawałek zwykłego powojnika. Pomoże. ■



Świerkłańiec, jedna z rzeźb Fremieta. Fot. Edward Wieczorek

Turystyka eko i hand made

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Podróżowanie do miejsc, których dumą są produkty lokalne przygotowane według tradycyjnej procedury we Francji, czy w Niemczech jest bardzo popularne. Tymczasem także Polska i nasz region może pochwalić się takimi smakołykami. Mamy tu m.in. kuchnię śląską, górali cieszyńskich i żywieckich, jurajską. Bardzo popularne są rolady z modrą kapustą i gumiklyzami; krupnioki i żymłoki śląskie, ale też siewierska gęś pieczona, czy beskidzka jagnięcina (mięso pochodzi od starej, prymitywnej rasy białych, owiec zwanej caklem). Lubiane są też miód jurajski, piwo raciborskie czy śląska miodunka (mioduła). I niedawno powstałe soki warzywne (produkowane są też soki owocowe i owocowo-warzywne) z Żeliszawic, czy oleje tłoczone na zimno państwa Pliczko z Woźnik.

NA PRZYKŁAD Z KLASZTORU

Znany śląski kucharz Remigiusz Rączka w cyklu „Klasztorne smaki” prezentuje przepisy, które mają nawet kilkaset lat. Np. Elżbietanki z Nysy na Opolszczyźnie są dumne z przepisu na roladę z modrą kapustą i gumiklyzami (kluskami). Danie siostry podają tylko na obiad świąteczny.

– Zakonnicy zawsze wykorzystywali w kuchni, to co mieli w zasięgu ręki, co sami wyprodukowali – mówi Remigiusz Rączka. – Np. u Franciszkanów zachwycały mnie przepisy, które miały ok. 200 lat. Zostały znalezione w księgach z recepturami w austriackich i bawarskich klasztorach. To przepisy na kurczaka w naparze z kwiatów lipy z odrobiną śmietany i zupę chlebową z nalewką goździkową. To perelki i do tego bardzo smaczne. Byłem zachwycony, tym jak te potrawy pięknie się komponowały. Zupa chlebowa była bardzo prosta. Połowa użytego w niej chleba była przesmażana. To był naturalny zagęstnik. To również jest ciekawe, że zakonnicy swoje potrawy często zagęszczali chlebem, nie zasmażką, czy innymi zawiesinami. Ale okruchami chleba, których nie wolno było zmarnować.

Kucharz „na małym ekranie” zaprezentował kilkaset przepisów z całej Polski, które przypadły do gustu widzom.

POSTAWMY NA TRADYJCJĘ

Produkty tradycyjne z woj. śląskiego wpisane na Listę Produktów Tradycyjnych Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi to takie, które mają co najmniej kilkudziesięcioletnią historię. Promują je choćby doroczny festiwal „Śląskie smaki”, czy liczne jarmarki, odbywające się w sezonie. Na liście możemy znaleźć np. gęś siewierską, żymłoki (bułczanki) i krupnioki, czy dynie ze Śląska Cieszyńskiego. Dynie od zawsze były uprawiane w przydomowych ogrodach na ziemi cieszyńskiej i przygotowywane na różne sposoby w kuchni domowej. Emilia Kołder w „Kuchni Śląskiej” z 1972 roku podaje wiele przykładów zastosowania tego warzywa. Wśród wymienionych potraw jest np. dynia duszona,

z kminkiem, po węgiersku, w winie, a także przepis na popularną na Śląsku dynię marynowaną gotowaną. Dynie uprawiano także dla zdrowych, smacznych i lubianych pestek. Inny tradycyjny smakołyk to borówka brusznicza z Siewierza (warto pamiętać, że dumą miasta są też gęś, żurek i chleb). Maria Ochorowicz-Montanowa w „Uniwersalnej książce kulinarnej” z lat 20. ub. wieku podaje przepis na tzw. galaretkę z borówek.

– Była zebrana tutaj w naszych lasach siewierskich i odpowiednio przyrządzana. Traktowano ją jako dodatek do gąski, żołądeczków, czy wątróbek – wspominał siewierzanin Paweł Łukasik. Inny mieszkaniec Siewierza – Aleksy Kocot wychwala niezapomniany smak bruszniczy, smak dzieciństwa i młodości.

– To typowy smak, którego się nie zapomina i tak jak człowiek przypomina sobie zapach pomarańczy, którą kiedyś trudno było zdobyć, to i tak samo borówka miała specyficzny smak i do tej pory ma charakterystyczny smak, ale nie wiem, dlaczego była podawana tylko z gęsiną, jakoś tak wyjątkowo tworzą symbiozę – zwraca uwagę Aleksy Kocot.

Z kolei dumą sławkowian jest bób (bober). Dziś przygotowywane są z niego choćby pierogi z nadzieniem, których możemy skosztować wraz z nalewką miodunką w sławkowskiej karczynie. Z kolei w gminie Lipowa k. Żywca podejmowane są różne działania mające na celu rozpowszechnienie wiedzy na temat śliwki żniwki (jest podobna do mirabelki). Od 2012 r. organizowane jest „Święto Śliwki”, które zachęca do odtwarzania tradycyjnych sadów oraz promuje przetwory wytwarzane w sposób tradycyjny. Mieszkańcy Lipowej włączają się w promocję śliwki, która pozwoliła na wypromowanie miejscowości jako „Stolicy żółtej śliwki”.

– Powidła z żółtej śliwki chętnie jedzono ze świeżym chlebem albo wykorzystywano jako dodatek do wypieków. Np. piekło się ciasto drożdżowe ze śliwkami i posypką – możemy dowiedzieć się z wywiadów zebranych na terenie gminy Lipowa.

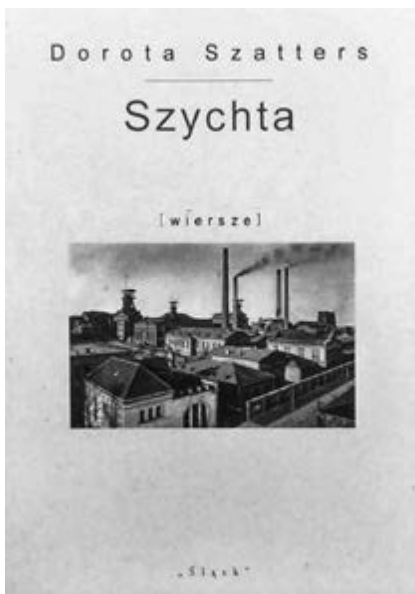
Z JABŁEK, ARONII, CZARNEGO BZU

– Niezwykle ważne było dla nas uruchomienie i rozwój dwóch inkubatorów produktu lokalnego: gospodarstwa Pliczko w Woźnikach (przetwórstwo produktów rolnych zbożowych) i „Tłoczni u Mazurkiewiczów” w Żeliszawicach w gm. Siewierz

(przetwórstwo warzyw i owoców). W woj. śląskim na 14 istniejących lokalnych grup działania, inkubatory produktu lokalnego zostały zrealizowane tylko u nas. Co istotne z infrastruktury inkubatorów korzysta 30 różnych podmiotów. To nasi beneficjenci. Obydwa inkubatory stworzyły własną markę lokalną, która jest dostrzegana w regionie i na forum kraju – tłumaczy Janusz Majczak, przewodniczący zarządu Lokalnej Grupy Działania „Brynica to nie granica”, która skupia i promuje gminy Bobrowniki, Mierzęcice, Ożarówce, Psary, Siewierz, Świerćklaniec, Woźniki.

Soki owocowe i owocowo-warzywne Janusza i Elżbiety Mazurkiewiczów w ub.r. zdobyły tytuł „Marki Lokalnej 2021” w kategorii produkt spożywczy nadany przez LGD „Brynica to nie granica” z siedzibą w Pyrzowicach, LGD „Leśna kraina Górnego Śląska” (siedziba Koszęcin) i grupę „Nadarzyn – Raszyn – Michałowice” z woj. mazowieckiego. Produkty wyróżniono za wysoką jakość, oryginalność i pomysł na ofertę. Świeże owoce wyciskane są na specjalnych tkaninach i przekładkach z drewna akacjowego. Soki są produkowane np. z jabłek, gruszek, malin, porzeczek, aronii, pigwy, winogron oraz marchewki, buraków, dyni. W ofercie znajduje się też bogaty w witaminy i minerały czarny bez. Pasteryzowane soki można przechowywać 12 miesięcy. Z soków niepasteryzowanych tworzy się wino, nalewki, cydr. Można też dostarczyć owoce i warzywa z własnego sadu lub ogrodu, które firma przetworzy.

Podobnie produkty gospodarstwa rolnego państwa Pliczko z Woźnik (firma także zdobyła tytuł „Marki Lokalnej 2021” w kategorii produkt spożywczy) są alternatywą dla tych dostępnych w hipermarketach i osiedlowych sklepach. Gospodarstwo, (co warto zaznaczyć pracuje w trybie zero waste), proponuje mąki, kasze oraz oleje tłoczone na zimno, np. konopny, lniany, rzepakowy, słonecznikowy. Na co dzień gospodarstwo zajmuje się wyrobem olejów tłoczonych z lnu, słonecznika, rzepaku, ostropestu, lnianki i konopi oleistych. Oleje są źródłem cennych witamin (A, D, E, K) i minerałów. Nie zawierają antyutleniających, barwników i konserwantów. Wykorzystywane są nie tylko w przemyśle spożywczym, ale również w branżach kosmetycznej oraz lekarskiej. Ziarna mielone są w tradycyjnych drewnianych młynach żarnowych, dlatego w ofercie są produkty o różnej granulacji.



Poetycka szychta Doroty Szatters

JACEK OKOŃ

Dorota Szatters ukończyła politologię i studium taneczno-wokalne TVP, ma za sobą występy w Teatrze Rozrywki i Teatrze Syrena, była dyrektorem Centrum Kultury Karolinka w Radzionkowie i Bytomskiego Centrum Kultury. Od roku 2007 pracuje w Urzędzie Miejskim w Zabrze na stanowisku naczelnika Wydziału Kultury i Dziedzictwa. Nie należy więc do „kobiet kopalni” (tak nazwał swój słynny cykl fotografii Arkadiusz Gola). Z punktu widzenia historyczno-literackiego jest przede wszystkim poetką. W 2017 roku ukazał się jej tomik *Szychta*, a w nim wiersze o takich tytułach jak: *Węgiel*, *Metan*, *Zawał*, *Akcja [ratownicza]*, *Szyb* i tytułowa *Szychta*.

Poetka jest córką górniką kopalni „Bytom”, jednak kontekst rodzinny ma

w jej przypadku o wiele większe rozmiary. Dziadek od 14. roku życia pracował w kopalni „Barbara” w Chorzowie, a później w kopalni „Radzionków”. Babcia już jako młoda dziewczyna podjęła pracę w sortowni kopalni „Rozbark”. Z kopalnią w rodzinnym Radzionkowie związała swe życie zawodowe także mama poetki, która przepracowała tam 35 lat. Trudno uwierzyć, a jednak: w rodzinie ze strony ojca wszyscy mężczyźni byli górnikami! Z zamiłowania wszyscy też grali w orkiestrach górniczych, a jeden z dziadków był nawet kapelmistrzem. To szczególne pochodzenie, typowe dla Śląska, choć nie zawsze w podobnej skali, nie mogło nie wpłynąć na twórczość poetycką.

Prof. Ewa Chojecka, pisząc posłowie do tego tomiku, zauważyła, że wiersze te przysły na świat w środowisku, gdzie „dokonuje się pożegnanie Wielkiej Industrii – tej od z górą dwustu lat ogarniającej tutejszą codzienność i odśwież-

ność. Gaśnie Wielki Piec, zamiera Wielka Kopalnia, a ich duchy sprawcze zdają się zasypiać na wieki”. Ale jednocześnie „dokonuje się ich metamorfoza, ponownie je witamy, tyle że na innych prawach, w innym wymiarze spraw: pamięci, poezji, sztuki”.

Dorota Szatters reaktualizuje górnictwo poprzez poezję, przedłużając jego żywot.

LAS KARBOŃSKI

W wierszach z tomiku *Szychta* świat przyrody nieożywionej jako taki nie istnieje. Nie sposób bowiem tu mówić o „nieożywieniu”. Las karboński nadal żyje w trzewiach ziemi, tętni życiem, pulsuje, albo trwa w pokornym milczeniu, czekając na swe zmartwychwstanie. Przypominają się natychmiast obrazy doznane pod ziemią przez Józefa Krupińskiego, górnika-poetę: „W błyskawicy / łupanych pokładów / nagle / oglądam zupełnie żywe drzewa / i zwierzęta ocieża-



Dorota Szatters w Domu Pracy Twórczej Stowarzyszenia Autorów Zaiaks w Zakopanem. Fot. Artur Szatters

łe / na pastwisku”. A także „karbońskie” spostrzeżenia doktora Judy ma z pierwszego zjazdu do kopalni. U Szatters podobne obrazy użyte są w innej funkcji, jako cząstki łańcucha czasów i przemian. Okresy istotne dla lasu, dla węgla i dla człowieka są w tekście wyraźnie zaznaczone. Najpierw epoka karbońska, owo życie w równowadze, ekspozycja, gdzie skrzyp „wzrastał pośród olbrzymich widłaków, paproci, kordaitów, sagowców”. Poza tym, jak to w przyrodzie, „wszystko wokół rodziło się i umierało / karmiło i stawało się pokarmem”. Potem wydarzenie inicjujące: „aż przyszła burza”, która wszystko zmieniła, zniszczyła dotychczasową równowagę. Czytamy w wierszu *Węgiel*:

skrzyp z rozpaczą stawiał opór,
korzenie prężył, wokół kamieni zaciskał,
ale ziemia rozluźniła więzy
z czułością przyjęła upadające w bagno
ciało
wiele ciał

I gdy już wydawało się, że wszystko stracone (mijały przecież miliony lat, bez zmian), przychodzi rozwiązanie, odsłania się coś nowego, w uwęglony świat wchodzi nowa istota żywa: „aż przyszedł człowiek”. Protagonistą wiersza jest jednak nie człowiek, ale węgiel, „który był kiedyś lasem”; posiada wolę i zmysły, pozwalające mu odczuwać, cieszyć się. Coś tak prozaicznego jak wydobywanie węgla staje się w wierszu jego uwolnieniem, wyzwoleniem, chwilą radosną:

...ale on, węgiel, który kiedyś był lasem,
chciał na górę, na powierzchnię
nie stawiał oporu
kiedy pędził do góry w wagonikach
jak trumny,
rozpręzał się, rozluźniał w euforii
znowu czuł na sobie promienie słońca,
znowu doznawał nieba
był wolny i szczęśliwy
nawet kiedy spalał się w piecu,
na którym Luca warzyła wodzionka
dla Pietrka,
co po szychcie dopiero co przyszedł
do domu
i teraz siedzi przy stole głodny
cieszył się, że za chwilę jego dusza
oddzieli się od materii i uleci hen
do krain, o których śpiewały zorze
unosił się lekko nad dachami domów,
szczytami drzew, gór
leciał wyżej, wyżej do gwiazd
miał dziwne uczucie, że już kiedyś tu był
że wraca do domu

Byty, które trzeźwy, logiczny i prozaiczny rozum zaliczyć musi do przyrody nieożywionej, pod piórem Doroty Szatters ożywają. Stąd też liczne tu animizacje, a wręcz personifikacje, bo węgiel czy metan nie tylko czują, doznają i rozumieją, ale zdają się uczestniczyć w życiu ko-



palni na równych prawach, ponosząc nawet większą odpowiedzialność. Tytułowy bohater wiersza *Metan*, „nie mając nic innego do roboty, nasłuchiwał, węszył, smakował”. Poza tym: słyszał, wyczuwał, „był w nieustannym ruchu, kurczył się i rozpręzał / nigdy nie odpoczywał, nigdy nie spał / czekał”. Metan też czeka na uwolnienie, tak jak węgiel.

Wiersze Szatters są wielowersowe, długie, to niemal poematy, domagające się cierpliwego czytelnika, co szczególnie odnosi się do wiersza *Szychta*. W tym wierszu kopalnia to „prerażająca, dystroficzna skamielina”. Tutaj górnicy to „krety”, jak w tytule górniczej powieści Artura Gruszeckiego. Ale te krety nie pozbyły się marzeń o swobodzie: raczej wznoś się wzwyż, niż spadać w dół! Winda, szola, to u Szatters „klatka na krety, które chciały być ptakami”.

SZCZĘŚĆ CI BOŻE, NUMERZE 4416

W *Szychcie* anonimowość górnika jest szczególnie dojmująca, mimo że już na początku górnika ma swe prozaiczne miejsce na ziemi: Radzionków; nie jest obcy Trudzie, Zdzichowi, ma swego sztygara, kolegów, jest jakiś temat do rozmów: „mecz z Niemcami”. Ale ta osobowość zostaje paradoksalnie utracona w momencie jednego, niepowtarzalnego w kopalni dookreślenia: numeru na marce. Oto mamy do czynienia z numerem 4416. W taki sposób Truda, która pracowała kiedyś na markowni, przedstawia go swojej córce: „To czterdzieści cztery szesnaście, / chop z Radzionkowa, z Danielca. Ma fajno baba i dziółcha Nina, / co mo takie zakochane łocy”.

Poza tym wszystko pod ziemią jak poprzednio, ale tu już nawet maszyny żyją, cierpią, odczuwają. Widzimy więc: „kombajn stał w bezruchu, jak dopiero co trafiony na froncie żołnierz / sanitariusze w kaskach i brudnych rękawic-

cach / dokonywali operacji bez znieczulenia”. Słyszymy po chwili „ryk rozjuszonego kombajnu, wściekłego, że przerwa trwała tak krótko, / że nigdy już nie zobaczy słońca, że w najlepszym wypadku zeżre go rdza / wrzask łańcuchów, że za szybko, taśmy, że za ciężko”. Ale jest to wiersz nie o pracy, nie o przyjaźni, nie o obowiązkowości – a o ostatniej szychcie w życiu, o nagłej a niespodziewanej śmierci, bynajmniej nie od zawału, czyli od zawalenia się stropu i osunięcia się skał, ale od zawału, ataku serca, wśród samych swoich, w podsztybiu już po pracy, mimo resuscytacji, masażu serca, sztucznego oddychania. W ostatnim słowie wiersza, zapisuje poetka, owo szczególne pożegnanie: „Szczęść Ci Boże 4416 / Szczęść Ci Boże”. Jako czytelnicy wierzymy, że 4416 istniał, miał imię, nazwisko, własną historię, z którą stawiał się – spracowany, umęczony – przed niebieskim trybunałem.

W kolejnych wierszach tego cyklu poetka powraca do wcześniejszych obrazów, ożywia kolejne byty, zjawiska, żywioły. Ma swe życie katastrofa, ów tytułowy zawał, osunięcie się ściany i stropu. Ale tym, który je odczytuje jest uwięziony człowiek, który w tej jednej życiowej sytuacji nie potrafi wzbudzić w sobie zachwyty, ale czeka na prozaiczne „stukanie metalu o metal, rytmiczne celowe”. W wierszu *Zawał* ożywa las karboński:

pod zaciśniętymi powiekami górników
zabłysło słońce
w jego blasku defilowały
olbrzymie skorpiony, kotylozaury,
fruwały ogromne ważki,
przepływały cienie rekinów i pan-
cernych ryb
w podmuchach falowały potężne
skrzypy, paprocie, kordaity
świat miniony stwarzał się na nowo,
na nowo ożywał,
pozbawiał oddechu, tamował prze-
pływ krwi, zatrzymywał serca

Nawet obraz śmierci nawiązuje do zapadania się pni karbońskich w bagnie, gdzie bez dostępu powietrza zamieniają się w czarny kamień (by nie rzec niepoetycko – ulegają karbonizacji). Umierający górnicy zapadają się nie w nieświadomość, nie w niebyt. Pisze Szatters: „Na koniec mrok o gęstości bagna / i cisza czarna, kamienna”. Powraca tu owo bagno z wiersza *Węgiel*, w które upada – wtedy tylko skrzyp, a teraz już naprawdę „ciało / wiele ciał”.

RATUJCI NASZE DUSZE

Wokół tragedii kopalnianej obracają się obrazy tworzące wiersz *Akcja*, w domyśle „ratownicza”. Na Śląsku nie trzeba nikomu tłumaczyć, co znaczą słowa: „szyby wiedziały pierwsze / zadrzały szklanki, przykurzone klosze lamp / rozchybotał

rysik sejsmografu”. Poetka opisuje akcję ratowniczą, podążając za ratownikami krok po kroku: „w prawo, w górę półtora kilometra,/ w lewo i w dół / i w lewo, 200 metrów prosto”.

Relacja charakteryzuje się zadziwiającą znajomością rzeczy (to samo zresztą dotyczy rzeczywistości karbońskiej). Domyślamy się uprzednich rozmów z ratownikami, nabywania fachowej wiedzy. Nie wszystko przecież da się zastąpić metaforą czy porównaniem. I tu widzimy łańcuch wydarzeń – od zabręczenia szklanek przy tąpnięciu i pierwszego dzwonka alarmowego aż po gorycz, jaka towarzyszy wydobyciu nieżywych.

Opisana przez Dorotę Szatters akcja nie kończy się dobrze. Nie ma tu cudu, jaki wydarzył się w kopalni „Rokitnica” w 1971 roku, kiedy to niejako w ostatniej chwili akcji uratowano Alojzego Piontka, czy w kopalni „Halemba” w 2006, gdy podobnie uratowany został Zbigniew Nowak. Ale akcja kończy się tak, jak wiele podobnych akcji wcześniej i później.

A przecież, mimo że typowość jest wyznacznikiem realizmu w literaturze, wzbraniamy się uznać, że akcja skończyła się w sposób typowy. Mówi się, że nadzieja umiera ostatnia; i napisane jest: „a nadzieja zawieść nie może” (Rz 5,4). A jednak – mimo złożonych na powierzchni dłoni, mimo wezwań do świętej Barbary, do Matki Boskiej Piekarskiej, inna była wola wzywającego *Bożycka*:

przed gruzowiskiem stanęli w bezruchu
nasłuchiwali uderzeń, choćby jednego
sami stukali w metalową rurę
dobrze przewodzącą dźwięk
śmierć już podnosiła w triumfie ręce
gdy nagle stuk, słaby ale jednak
potem drugi, trzeci
i wybuch adrenaliny, i akcja w po-
śpiechu, pod nadzorem, pod presją,
pod parasolem tam na górze złożonych
w modlitwie dłoni
mimo strachu penetrującego ciało,
potu spływającego po czole, karku
i plecach
ton kamieni przerzucanych gołymi
rękami
posuwali się metr po metrze,
dzień po dniu
aż dotarli do wszystkich
kiedyś żywych,
a teraz umarłych
i wydobyli ich ciała
jak wysokoenergetyczny węgiel
do krematoryjnych pieców zakładów
pogrzebowych
i paliły się jasnym płomieniem
na chwałę
nadaremno

KONIEC ŚWIATA

Dorota Szatters nie jest bynajmniej monotematyczna. W *Szychcie* pomieszczony został jeszcze inny cykl wierszy, o tytule

Miasteczko, w którym snuty jest wątek historii zabrzańskiego gmachu restauracyjno-hotelowego Admirals Palast, wybudowanego w 1924 roku przy ówczesnej Kronprinzenstrasse 305. Spod pióra poetki wyszedł także dramat *Trzy dni w piekle. Rozmowa Jezusa z Lucyferem*, a ostatnio (2020) tomik *Warszawskie Jeruzalem*, w którym świadkami wojennej tragedii stolicy uczyniła przedmioty. W wierszach publikowanych w prasie (miesięcznik „Śląsk”, portal „Port Poetycki”) odnajdujemy czasem także tematykę inną, niejednokrotnie jaśniejszą, bardziej optymistyczną, nawet gdy zdarzy się autorce sięgnąć kolejny raz po tematykę eschatologiczną. W wierszu *Wznoszenie* zawarła oryginalną, poetycką wizję końca świata, wniebowstąpienia, świętych obcowania, zmartwychwstania ciał:

w czasach ostatecznych
wszędzie słyhać będzie
trzepot skrzydeł
odleć dzieci
opustoszeją klasztorne gniazda
w budkach lęgowych
trwać będą gorączkowe próby
uzupełniania lotek
prostowania skrzydeł
drzeń będą nieużywane
dotąd mięśnie
powszechne będzie
zdziwienie i radość

że wszystkim się udało

To piękny wiersz, mimo że chyba nadmiernie optymistyczny. Chciałoby się jednak wierzyć, że rzeczywiście „wszystkim się uda”. Pozostaniemy jednak przy tomiku *Szychta* i opisanym tam bardziej prozaicznym końcu świata. Koniec świata odnajdujemy w wierszu *Szyb*. *Szyb*, ów charakterystyczny i trwały – jak mogło się wydawać – element śląskiego krajobrazu, podobny był kolosowi rodyjskie-

mu. Był niezniszczalnym ósmym cudem naszego świata:

stał jak kolos z Rodos, jak cerber na
straży podziemnego świata
prąd w jego żyłach płynął nieprze-
rwanie
nity milczały, liny jęczały, kręciły
się koła
aż przyszedł rok 1997
nagle zwiotczały liny,
poluzowały sworznie, wyschły kable
jak to? jęknęły koła
jak to? zaskrzypiały osie
co będzie ze światem?

Górnice wiersze Doroty Szatters uka-
zały się światu w kilkanaście lat po tym,
gdy zeszedł ze sceny życia Józef Krupiński,
pierwszy, a wydawało się, że też ostatni
poeta, „co tak poloneza wodził”. W przy-
padku Krupińskiego mieliśmy do czynienia
z osobistym przeżyciem doznany
w kontekstach pracy górniczej i sztygar-
skiej, z talentem najczystszej próby. Do-
rota Szatters nie była górniczką, nie pra-
cowała w kopalni nawet na powierzchni.
To jej rodzina tworzyła krąg górniczy,
w którym tradycja, troska i duma górni-
cza musiały promieniować także na tę
śląską „dziuouszkę” rodem z Radzionko-
wa. Może to coś na podobieństwo „krę-
gu biblijnego” Brandstaettera... Wydaje
się, że wiersze, które zostały zacytowane,
wystarczająco dowodnie zaświadcza-
ją, iż w tym wypadku nauki rodzinne nie
poszły w las. A talent, jakże tu oczywi-
sty i krystaliczny, najwyraźniej dąży ku
własnemu blaskowi... ■

Szkic jest fragmentem książki Jacka Okonia o twórczości literackiej górników, przygotowywanej do druku w Wydawnictwie Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze.
Dorota Szatters: Szychta. Wiersze. Katowice 2017. Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” s. 56 + 2 nlb. Katowickie Dialogi Literackie.



Michał Bednarski

(2 września 1944–18 lutego 2022)

TADEUSZ ALEKSANDROWICZ



Wczesnym rankiem w piątek 18 lutego 2022 roku dotarła do nas wiadomość o nagłej śmierci profesora dr. hab. Michała Bednarskiego, znakomitego uczonego, filologa klasycznego, wybitnego językoznawcy, świetnego znawcy obu języków klasycznych, a także nowogreckiego i niemieckiego, uczonego rangi międzynarodowej, emerytowanego profesora Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.

Profesor Bednarski związany był z Górnym Śląskiem poprzez miejsce urodzenia 2 września 1944 roku w Raszczycach na styku ziemi rybnickiej i raciborskiej. Uczył się w tamtejszych szkołach. Wykształcenie średnie zdobywał najpierw w Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Kasprowicza w Raciborzu, a następnie w Liceum Ogólnokształcącym im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego w Rybniku (wówczas im. Hanki Sawickiej). Stamtąd przybył po maturze w roku 1965 do Krakowa i podjął studia z zakresu filologii klasycznej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Po magisterium w roku 1970 został zatrudniony początkowo na stanowisku lektora, a następnie pracownika naukowo-dydaktycznego w ówczesnej Katedrze Filologii Klasycznej. W Krakowie założył rodzinę i zadomowił się na stałe. Po doktoracie w roku 1977 i po habilitacji w roku 1994 został bezpośrednim następcą profesora Jana Safarewicza, którego był uczniem. W latach 1970–1994 rozwijał w Krakowie badania nad językiem greckim i łacińskim, które zaowocowały m.in. rozprawami o łacinie potocznej i pierwszym polskim podręcznikiem do nauki języka nowogreckiego.

Drugą połowę swojej aktywności zawodowej Michał Bednarski związał z Uniwersytetem Śląskim w roku 1994. W Katowicach pracował do przejścia na emeryturę w roku 2014. W latach 1998–2002 pełnił funkcję kierownika Katedry Filologii Klasycznej. Współtworzył wtedy podstawy rozwoju studiów klasycznych w najmłodszym polskim ośrodku naukowo-dydaktycznym z zakresu tej specjalności. Zakorzeniony w krakowskim środowisku zapraszał do współpracy wybitnych uczonych z Uniwersytetu Jagiellońskiego – profesorów Romualda Turasiewicza, Józefa Korpaniego, Jerzego Stykę i Huberta Wolanina, którzy pomagali katowickim filologom klasycznym w zbudowaniu własnej kadry, co po kilkunastu latach umożliwiło całkowicie usamodzielnienie się.

Okres katowicki zaowocował badaniami Michała Bednarskiego nad językiem greckim, zwłaszcza nad traktatem Apollonia Dyskologa z Aleksandrii *O składni*. W tym czasie doszedł do profesury tytularnej w roku 2001. Do końca swej aktywności naukowej był współpracownikiem Komisji Filologii Klasycznej Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, Polskiego Towarzystwa Filologicznego i Polskiego Towarzystwa Językoznawczego.

Był bardzo lubiany przez studentów. Urzekł miłym uśmiechem i przyjemnym tembrem głosu. Mimo niedostatków zdrowia zachwycał i czarował subtelnym poczuciem humoru. Uodził pogodną autoironią. Inspirował do pogłębionego studiowania obu języków klasycznych, a zwłaszcza języka i kultury starożytnych i współczesnych Greków. W sprawach błahych był pobłażliwy, w istotnych – nieustępliwy. Dzięki szerokim kontaktom międzynarodowym pomagał młodszym kolegom w nawiązywaniu współpracy z naukowymi ośrodkami zagranicznymi, zwłaszcza w Grecji i Niemczech.

Przyjazdy do Katowic były powrotami do śląskich stron rodzinnych, do małej ojczyzny. Lubił zarówno wędrowki na bieszczadzkie połoniny i na zakopiańskie Kalatówki, jak i włóczęgi w Beskidzie Śląskim w stronę Czantorii i Klimczoka. Ostatnia droga prowadziła na wzgórze cmentarza opactwa benedyktynów tyńskich w Krakowie. Prochy profesora Michała Bednarskiego zostały złożone w kolumbarium w pogodny piątek 24 lutego 2022 roku. Odszedł żegnany m.in. przez katowickich klasyków i filologiczną społeczność Uniwersytetu Śląskiego z przekonaniem, że *non omnis mortuus est!*



rys. Agata Gromada.

O palindromach prof. Morawskiego (np. „pętaka tęp”, „też da gadżet”)

JERZY PASZEK

Prof. Tadeusz Morawski (1940–2021) był z zawodu elektronikiem, pracował w Instytucie Radioelektroniki Politechniki Warszawskiej. Bardziej jednak znany jest internautom jako mistrz układania palindromów (i palindromaderów, liczących czasami 33000 liter!), bo był założycielem Muzeum Palindromów w Nowej Wsi (koło Serocka) oraz prowadził często odwiedzaną stronę internetową www.palindromy.pl, gdzie prezentował tysiące takich wyrafinowanych formalnie fraz.

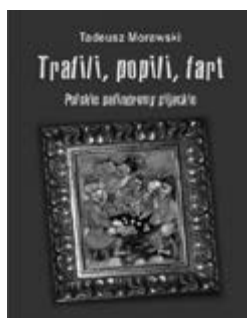
Swoje osiągnięcia popularyzował w licznych wykładach w całej Polsce, a także w 15 tomikach, ukazujących się od roku 2005 do 2015. Mam kilkanaście z nich, a w tym dwie edycje libelli pt. *Palindromy.pl. Antologia* (Poznań 2010 i 2011). Jeśli te książeczki zawierają i zalecają najlepsze palindromy, ułożone przez autora, to *Listy palindromisty* (Kraków 2011) dają zarys podróży uczonego po kraju: „KRAKA ZA KARK. Palindromy pod Wawelem”; „NA PYRY PANI I NA PYRY PAN. Poznań poznaje palindromy”; „TO PO STOS PSOT – SOPOT. Z palindromami na wybrzeżu”; „MOC LOGIKI GOLCOM! Rymy i szarady z palindromami”; „ZAGI-NARKĘ CHCĘ, KRAN, I GAZ. Na Śląsku!”; „A KUPAŁA PUKA. Na wesoło tak i wspak w Wesołej”; „A JA KOLIĘ CHCĘ I LOKAJA. W Nowej Wsi pod Serockiem”; „JA TUTAJ. W Warszawie” (spis treści na s. 95). W tym tomiku jest i mój palindrom: JA DO BOGA NAGO BODAJ (s. 57), który ułożyłem, zamierzając w jakiś sposób przetłumaczyć słynne hasło Andrieja Wozniesińskiego: AKSIOMA SAMOISKA (był to rok 1991, czyli palindromowy, a tytuł eseju brzmi: *O pożytkach nieprzetłumaczalności. Na marginesie „After Babel” Steinera* w tomie „Przekład Artystyczny” pod red. Piotra Fasta). Sam Morawski dedykował mi zdanie z moim imieniem: A JURKOM CAŁOWANKO! ZAŁOGA GOŁA Z OKNA WOŁA – CMOK! RUJA! (ib.).

O wpływie tych 15 tomików na moją twórczość krytyka nowości wydawniczych może świadczyć fakt, iż dwukrotnie w swoich recenzjach wyzyskałem opalizującą nowością palindromy. Opisując książkę Ewy Kosowskiej (*Stąd do Teksasu. Impresje amerykańskie*) wygenerowałem dość pokaźny nagłówek: EWY ŻYWE LARGO: O, GRAŁE WY ŻYWE! („Kultura Współczesna” 2008, nr 2), natomiast oceniając zbiór esejów Tadeusza Sławka pt. *Żagłowiec, czyli Przeciwno swojskości* wymyśliłem prostą tezę: OT, KORAB, A BAROK TO! („Opcje” 2007, nr 1). Może nie byłbym taki odważny w układaniu śmiesznych i śmielszych tytułów, gdyby właśnie nie ubiegł mnie Morawski, od pierwszego tomiku epatujący czytelników podobnymi kombinacjami: *Gór ech chce róg. Księga palindromów* (Katowice 2005), *Zagwiżdż i w gaz. Palindromy. Czytaj tak albo wspak* (Poznań 2006), *Może jeź lże jeżom. Plon konkursów „Palindromy” ogłoszonych na łamach „Rozrywki do Podróży”* (Warszawa 2007), *Zaradny dynda raz. Palindromy. Czytaj tak albo wspak* (Poznań 2007), *Żartem dano nadmetraż. Palindromy. Czytaj tak albo wspak* (Poznań 2008), *Aga naga. Palindromy erotyczne* (Poznań 2009), *Raz czart – raz czar. Palindromy. Czytaj tak albo wspak* (Poznań 2009) itd.

Mój problem polega na tym, iż 99% tych zmyslnych i wymyślnych fraz nie ma żadnego wprost narzucającego się sensu, a tylko 1% z nich może zaistnieć bez dodatkowej podpórki, jaką bywają wierszyki, towarzyszące tym zagadkom w czasopiśmie szaradziarskich (nb. słowa szaradzista używa już Alojzy Żółkowski w swym piśmie „Momus” z 1820 roku). Przykładowo, zwrotka pt. *O brzydkiej Ninie*: „Kocha mnie i to przyczynna, / że się ze mną żeni”. / O NAIWNA PANI NINA! / PAN WIANO docenił. Albo: JUKATAN ATAKUJ, ale nie orężem, / turystycznie raczej, niekoniecznie z mężem (autorka Anna Bokota) czy też czterowiersz: Kto? Komisja pytała, / ma AKTA GENERAŁA? / MA MAŁA

RENEGATKA! / Oj, dla prasy to gratka! (cytuję tom *Raz czart – raz czar*, s. 26-29). Przecież trzeba mieć nieliczną wyobraźnię i tolerancję na wybryki poetów, by zaliczyć do udanych zdań takie krótkie informacje: ADA, PANIKARZ RAKI NAPADA; A NIKE RANO TO NA REKINA?; A TO MAŁŻY WIGOR SROGI WYŻŁA MOTA; JAD MOLI GILOM DAJ!; ŁAPAŁ ZA SAKE, BEKASA ZŁAPAŁ (ib., s. 76-77). Ten „jad moli” przypomina mi frazę ludową z *Nauczyciela* Wacława Berenta, gdzie bohaterowi nakazano pójście po „komarowe sadło” do apteki, by zdobył lekarstwo na chorobę żony. Inaczej mówiąc, są to zabawy chwilowe, gdyż trudne do zapamiętania: bo nie posiadają spójności tekstowej, czyli nie odwołują się do naszych codziennych doświadczeń i kłopotów. Są czymś świątecznym, niespodziewanym. Wymagają życia i nadużycia naszych potencji percepcyjnych i kombinacyjnych. A to już wymaga samozaparcia i przyznawania się do porażek...

Sam Morawski przyznaje, że nie jest łatwo wpaść na rozwiązanie zawikłanych i przewrotnych gier słów. Tak było z tytułem obrazu z Festiwalu Filmowego „Off Camera” w Krakowie w roku 2008. Ten nagłówek brzmiał: *Oto lży me i pokuta*. Autor palindromu zauważa, że fraza ta, czytana od tyłu, „nie brzmi wzniosłe, ale raczej biznesowo”: „A TU KOPPIEMY ZŁOTO” (*Listy...*, s. 12). Nb. tę grę słów znajdziemy w nowym tłumaczeniu *Uliksesa* (niestety, bez podania autora!). Jest to dość częsty przykład palindromu niesymetrycznego, którego wzorcem może być fraza JAD ODDAJ, która wspak daje sens przeciwny: JAD DODAJ (w całości byłoby to oczywiście tak: JAD ODDAJ, JAD DODAJ). Palindromader powstaje wtedy, gdy we frywolnej frazie raz się pije w trójkę „literka z umiarem” (trzech na litr wódki to jednak niemało się pije?), a za drugim razem – chyba ze względu na większą ilość pijących – „pili lżej”: TU PILI LITERKA Z UMIAREM, PO PRACY:



BARD, „JEŻ”, LILIPUT – TU PILI LŹEJ; DRABY, CAR, POP MERA I MUZA, „KRET” I LILIPUT (tom *Żartem dano nadmetraż*, s. 71, 74). Czyli, nie wiadomo, co oznaczają w końcu określenia „z umiarem” i „pili lżej”... Ale to drobnotka, jeśli zważyć, jakie palindromadery wyprodukował Stanisław Barańczak w swej książce pt. *Pegaz zdebił* (Londyn 1995, Warszawa 2008). Wystarczy przypomnieć motto drugiego rozdziału tej perwersyjnej encyklopedii genologicznej: POT! SROGI WIN OMAM! O, MAM JA KŁOPOT: „PALINDROM” – MORD!! NI LAP-TOP (O, ŁKAJ: MAMO! MAMO!), NI WIGOR: STOP! (edycja londyńska, s. 23).

W palindromie o picciu z umiarem lub nawet lżej obserwujemy enumerację „bohaterów” alkoholowego sympozjum: bard, „Jeż”, liliput; draby, car, pop mera, „Kret” i znów liliput. Podobne wyliczanki spotyka się w wielu cytowanych zdaniach, gdyż łatwiej wówczas wprowadzić odpowiedni czasownik, będący orzeczeniem w całej wypowiedzi. Oto kilka przykładów z libelli pt. *Gór ech chce róg*: CO MI DAŁ DUCH – CUD, ŁAD I MOC (s. 8), IWO I ZA PENA JAD, OSĘ I MIĘSO DA, JASNE, PAZIOWI (s. 9), NOWY TARG, GÓRY, ZAKOPANE – NA POKAZY RÓG, GRATY WON (s. 34), TAM ORATORIUM O DOMU I ROT AROMAT (s. 35), MA MINIBAR POŁ, RABIN, IMAM; JULU, TARG, DARMO TU REJA, BELA, IKRA, SROKI, KORSARKI, ALE BAJERU – TOM RAD (s. 37), OKNA, WROTA, DRABINA – PANI BARDA TO RWANKO (s. 41; niekiedy brak orzeczeń). W tomiku poszczególne rozdziałki mają krótkie nagłówki, które są łatwe do zapamiętania jako palindromy „na wszelkie okazje”: RAZ CZAR; TERKOT? – TO KRET; SOK OS; WÓŁ ÓW; JEŻ? – LŹEJ; RACA – DA CAR; JUKI PIKUJ!; REJA BAJER; AKTA GAGATKA; DAR JADAJ RAD; ADA BIADA I BADA; ALA WZORY ROZWALA; IGORA RAROGI; IKARA NA RAKI; IZA ŁASA ŁAZI; JULO – POLUJ; KAINA BANIAK; KAJUS PSUJAK; ZULI LUZ; TROPIKI PORT; INO GURU GONI; RABI ZNA ZANZIBAR?; AKTA? – TO NOTATKA; A ŻYRAFA RYŻA; DAR JARKA – KRAJ RAD; SATYRA RARYTAS (co wyzyskałem przed Morawskim w tomie *PrzeciwyTacie „Ferdydurke”* jako apozycję „satyra-

rarytas” [Katowice 1998, s. 73; współautorem był tu Filip Mazurkiewicz]). Są w tym tomie również wiersze, wnoszące w tytułach palindromy: AKTA TKA; KUBA NA BUK; KOSMATA – TAM SOK; NA BRUTALA TURBAN; LE-CZY Z CEL; ALE MA KAMELA (czyżby o piwie?); ALE CI CELA (tym razem bez piwa); LECA CEL; A FAGOT TO GAFA; MERA HAREM; TULI FILUT; ARAMIS I MARA; Z SADU JUDASZ; TEŻ DA GADŻET; AZOR – GROZA; IKRA Z ARKI; I NA LULU ULULANI itp. Czyli pierwsza libella Morawskiego atakowała zaskoczono lektora na każdej stronie i wszechstronnie!

Żeby usatysfakcjonować czytelników dam 2 tuziny przykładów palindromów, mające szanse na łatwe odcyfrowanie i szybką orientację w dowcipie układacza. Najpierw pójdzie pod osąd tom *Gór ech chce róg* z 2005 roku: A PILOTAŻE JEŻA TO LIPA (s. 10), PEŃTAKA TĘP (s. 12), MAS LABA – BAŁSAM (s. 15), ATRAKCJA – JAJC KARTA (s. 18), TAROT, KODY – DOKTORAT (s. 20), IWO, DAJ OBA ŻELKI W ĆWIKLE ŻABOJADOWI (s. 21), ALA WZYWANA WYZWALA; ALA DZIAŁA I Z DAŁA (s. 23), AKT ULI MA TA MILUTKA (s. 30), I WABI MAGNAT I TANGAMI BAWI; KINO, KASA, KONIK (s. 32), A GURU RUGA (s. 33), GAŚKA JAK SAĞ; O NA RYDZA JAZDY RANO (s. 34), SANI WOŁA DAŁ BIAŁA I BLADA, ŁOWI NAS (s. 35), OGRABI BAR GO (s. 38), ŁADNA PANI WOŁA – MAŁO WINA PAN DAŁ; ONA Z NICZYM – MY Z CINZANO (s. 39), KATONA TY DUREŃ? ERUDYTA? – NO TAK (przyjęło się w formie: A TY DUREŃ – ERUDYTA); ILUŻ TULI FILUT ŻULI? (s. 42), I CAR KOMEDIA, I DEMOKRACI; A NA GROMA TA FATAMORGANA (s. 43), ŁAJCE PSI SPECJAŁ (s. 45), LABORKA – MIKROBAŁ, A LABORKI – MAKROBAŁ (s. 52).

A oto 3 tuziny przykładów z następnego tomu, tego pod wspianiałym (literowo i literalnie) tytułem *Zagwiżdż i w gaz*: ANI BAK, A NA MOTOR EROTOMANA KABINA; AMBARAS O KOKOS? ARAB MA! (s. 9), KATARU FUR ATAK; POPICI NA BALU: BABULA, BANICI, POP (s. 10), KINO – NAKLECI CI CEL KANONIK (s. 15), MA DARÓW WÓR ADAM (s. 16), ON DRAB, RABARBAR, DNO (s. 17), ZAKOPANY ŁAPSERDAKA

DRES, PAŁY NA POKAZ (s. 18), I GAGATKA AKTA – GAGI (s. 21), TO DO GARGAMELA LEM, A GRA GODOT (s. 22), ILE HUZAR? – RAZ U HELI (s. 26), A NA WIGOR GROG IWANA (s. 28), MOŻE, JURKU, LUKRU JEŻOM? (s. 31), I O WSI MASOWO – SAMI SWOI (s. 35), KAT PEDANT NA DEPTAK (s. 36), TYCI FEDAIN, KUSA SUKNIA – DEFICYT; ANI FARA – PARAFINA (s. 41), SALON RAZ – CZARNOLAS (s. 42), GOŁONO MONOLOG! (s. 45), JA DO PANI WAWELU: ULEWA, WINA PODAJ! (s. 52), A GANI NAGI I GANI NAGA; JUR, DEFICYT TYCI, FEDRUJ! (s. 56), ZA PALINDROM ITAKA, TIMOR, DNI LA PAZ (s. 60; czegoż to Barańczak tak się mordował z tym palindromem, zawierającym słowo „palindrom?”), ZA PALINDROMADER GZA DA ZGRED, AMOR – DNI LA PAZ; ANI TU PSA RUMOR. DNI LAPSUS – PALINDROM U RASPUTINA! (s. 61), MA CEL OPICIE I CI POLECAM (s. 63), RAZ CI KAPŁAN ZNAŁ PAKI CZAR (s. 67), JARA MIAŁA I MA RAJ (s. 69), SATYRA „RIFIFI” – RARYTAS (s. 70; chodzi o słynny film kryminalny), NIESKA JAK SEN (s. 73), GRA TUMAN – A NAM UTARG (s. 76), NO TA LABA – BALATON (s. 79), I ZDUN ZNOWU W ONZ NUDZI; ADA, PSINA SINA Z ANI SANI SPADA; JAKI SPORT NA ZIMĘ? – MIZANTROP, SIKAJ! (s. 82), KORKI WŁÓŻ, A TYP PYTA – ŻÓŁWI KROK? (s. 85).

Zdaje mi się, że oprócz bardzo krótkich fraz – dwu – lub trójwyrazowych (typu: PEŃTAKA TĘP lub TEŻ DA GADŻET) – większość z cytowanych tu zdań nie zaleca się do zapamiętania. Jedna, sentymentalna, dotycząca zimy fraza (SANI WOŁA DAŁ BIAŁA I BLADA – ŁOWI NAS) wiosny nie czyni! W kregach ogólnej scjentyficznej powodzeniem może się cieszyć oksymoroniczna maksyma A TY DUREŃ – ERUDYTA, w laboratoriach nauk ścisłych – ewaluacja dość pokretna LABORKA – MIKROBAŁ, A LABORKI – MAKROBAŁ. W sferach spirytualnych zaś: TRAFILII, POPILI, FART (tytuł jednego z tomików). Zakończę czterowierszem, mówiącym o łani (pannie?), gyrosie (potrawie greckiej) i oznace wyckeziwanej – przez niektórych lektorów – mety: ŁANI FOTO / ŁANI GYROS / ORYGINAŁ / OTO FINAŁ! (*Zagwiżdż i w gaz*, s. 92).

Po dwudziestu pięciu latach od pierwszego wydania *Muz* (zupełnie innych, współautorką była wówczas Elżbieta Malinowska-Gulińska) powrócił duet Guliński-Majerski. Na tom składają się grafiki pierwszego z nich i chyba-ekfrazy drugiego. Chyba, ponieważ, zamiast snuć opowieści o samych obrazach, Majerski woli tworzyć historie ludzi, których na nich dostrzega. Jak w tej zabawie w *people watching* – gdy przyglądamy się przypadkowym przechodniom i próbujemy wyobrazić sobie kim są, co myślą, jakie mają poglądy. Zabieg ów kojarzyć się może ze słynną sceną w parku z filmu *Annie Hall*, w której Alvy i Annie, bazując na obserwacji jednej szczególnej cechy (jak różowa marynarka), tworzą własną, raczej prześmiewczą wizję przypadkowych przechodniów. Jak się okazuje dzięki lekturze *Muz*, do stworzenia takich teorii wystarczy jeszcze mniej: kilka pociągnięć piórkim i trochę farby.

Powrót to i duet zaiste niepośledni, a obcowanie z samą publikacją, chociażby ze względów estetycznych, dostarcza odbiorcy wiele frajdy. To w dużej mierze zasługa prac plastycznych Piotra Gulińskiego. Widoczne są w nich inspiracje takimi nurtami jak: formizm, kubizm i surrealizm, ale przeglądają się w nich chyba także osiągnięcia Polskiej Szkoły Plakatu i rodzimego malarstwa naiwnego. Mocno nasycone kolory, zaburzone proporcje i geometryczne kształty składają się na styl grafika. Trudno w zasadzie ocenić, kto w największym stopniu patronuje tej twórczości: Marc Chagall, Salvador Dali, czy może raczej Stanisław Ignacy Witkiewicz? Jesteśmy w każdym razie w spektrum sztuki awangardowej, na którą Paweł Majerski patrzy przez pryzmat – tutaj bez zaskoczenia dla znających jego dorobek naukowy – literatury (by posłużyć się określeniem Jerzego Kwiatkowskiego) nurtu rewolucyjnego. W ogóle w *Muzach* spotykają się dwie ważne dla awangardy oraz futuryzmu tendencje: potrzeba eksperymentu i nieobojętność na społeczny problem. Tylko, że w skali mikro.

Czyli w skali małego miasta właśnie, co sugeruje nam Guliński, pisząc o *Mało-miasteczkowych* i umieszczając gdzieś w tekście nazwy polskich miejscowości (liczących po kilkanaście tysięcy mieszkańców). W *Muzach* tym sugerowanym (choć bez poczuwania się do jego rozwiązania) problemem jest kwestia kryzysu mieszkaniowego: państwo PogoRzelscy obciążeni są na trzydzieści lat kredytem hipotecznym wziętym na zakup trzydziestometrowego mieszkania; wirtuoz skrzypiec za dnia i gwiazdor disco polo w nocy mieszka z rodzicami; jego napotkany na przystanku kolega sypia w hotelu robotniczym. Prócz ludzi, którzy nigdy nie będą mieć mieszkania, znajdziemy tutaj też frankowiczów; ludzi aspirujących do klasy średniej (jak pani, która popiera kształtowanie obywatelskich postaw, ale nie znosi publicznego transportu) i osoby, które uciekły do Ameryki za chlebem. Słowem: w *Cudownej de-*

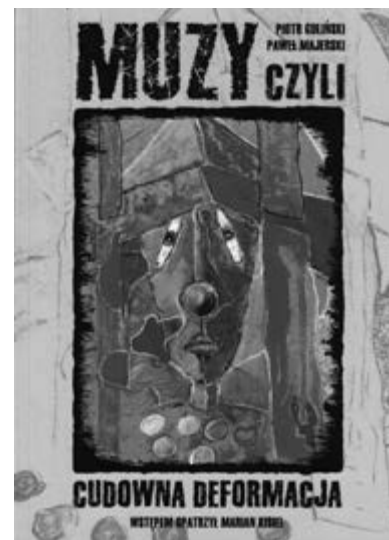
Małe miasta, wielkie tradycje

KSIĄŻKI

formacji w krzywym zwierciadle przegląda się codzienność III Rzeczypospolitej.

Groteska jest naczelną kategorią estetyczną organizującą te teksty. Miałość opisywanych tu sytuacji jest przedstawiana na tle wielkiej literatury. Pan Rzęcki (który w każde lato spędza z żoną trzy tygodnie w Rajczy, jednak bez ambicji wspięcia się na Wielką Rycerzową) otrzymując *mandat za złe parkowanie wartburga* czuje się jak bohater *Sowieckiego paszportu* Włodzimierza Majakowskiego. Cóż, w każdym Polaku budzi się anarchista-rewolucjonista, gdy na horyzoncie pojawia się wizja opłacenia grzywny. Parafrazując Majakowskiego: *Różgami by siekla mnie z wściekłą ochotą, na krzyżu rozpięłaby ładarska kasta za to, że... nie zgasiłem silnika podczas dłuższego postoju. Komizm jest tutaj jeszcze budowany przez niczym nie dającą się uzasadnić hiperszczegółowość: u Majerskiego nie gasi się światła, lecz lampkę z 25-watową oszczędną żarówką.*

W tej małomiasteczkowej społeczności znajdzie się oczywiście przestrzeń dla lokalnej bohemy. Składają się na nią entuzjastka Witkiewicza, jego ojca, stylu zakopiańskiego oraz pończoch; literat odznaczony jedną nagrodą; poetka, i wreszcie koneser wernisaży (z których wynosi przełąski). Ci (za sprawą tytułu poświęcone go im „rozdziół”) mają się czytelnikowi kojarzyć z jakże libertyńskimi życiorysem i sztuką Salvadora Dalego (miał im nawet zostać poświęcony artykuł w lokalnej prasie zatytułowany *Z dziewięcią na ty*). Ci, którzy mieliby nadzieję odnaleźć w *Muzach* muzę Galarinę z odsłoniętą piersią czy muzę Amandę Lear, poczują się niestety zawiedzeni. Okazuje się bowiem, że nawet zdeklarowani dekadenci muszą od czasu do czasu naprawić szczylinę dyktacyjną miast pielęgnować dandyśowski mit własnej osoby. Musimy jednak zauważyć, że nie tylko oni, antyfilistrzy, chcą pielęgnować ideę życia będącego sztuką. Inna bohaterka, Ewelina Marny (niełubiąca kontaktu z klientem, będąca jednak autorką



DOMINIKA RUDKA

poradnika na ten temat) czerpie z pisania na maszynie przyjemność niemal perwersyjną, a Sasza, emigrant do Chicago, pisze wiersze wolne.

Należałoby w tym miejscu uściślić pogląd o uprzywilejowanej pozycji groteski w tym tomiku. Ona jest oczywiście wszechobecna, ale pod jej maską skrywa się faktyczne ciało *Cudownej deformacji* – realizm. *Muzy* od plastycznej strony być może stanowią esencję nadrealizmu z jego potrzebą wyzwolenia się od norm i konwencji (widoczne to jest zwłaszcza tam, gdzie rysownik igra ze zjawiskiem pareidolii). Część literacka *Muz* jednak mimo wszystko bierze się z wnikliwej obserwacji rzeczywistości – takiej, jaką ona faktycznie się jawi: fragmentarycznej, nudnawej, urozmaiconej czasami drobnymi przyjemnościami. Ludzie w tej przestrzeni są tak samo pozbawieni polotu, jak ich zainteresowania. Ich refleksje o świecie („1+1 zawsze daje dwa”, „Żyj dniem”) są jakby żywcem wyciągnięte ze *Słownika komunistów*. Patentowani cynicy docenią zapewne humor *Muz*. Ale ich lektura może się okazać bolesną. Dlatego tak trafna jest eksklamacja zawarta przez autora we wstępie: *Oni są tacy jak My?!* Wszystko to jakby w myśl zasady, że kompleksy najłatwiej maskować dowcipem. Moim zdaniem jednak Majerski zdaje się nie dostrzegać tego, jak sterane są twarze postaci malowanych przez Gulińskiego, jakie przygnębienie się na nich maluje. Wobec tego wszyskiego *Cudowna deformacja* jest niewątpliwie udanym, choć niedoskonałym eksperymentem w obrębie małej formy literackiej. Jest również popisem erudycji: rozliczne nawiązania do przeróżnych tekstów kultury doceni nie tylko miłośnik literatury, ale także entuzjasta muzyki. ■

Piotr Guliński, Paweł Majerski, *Muzy, czyli Cudowna deformacja*, wstęp Marian Kisiel, Agencja Mediowa PG-ART, Sosnowiec 2021, s. 40 nlb.

Choć *Pamiętnik poety*, wydany w 2018 roku nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego, odegrał rolę specjalnego prezentu dla admiratorów talentu autora *Gorzkiego urodzaju* w przededniu dwóch rocznic, jakie przypadały w 2019 roku (100 lat od debiutu i 50 lat od śmierci poety), to jednak bez względu na datę publikacji należy poświęcić mu uwagę z przynajmniej dwóch powodów. Po pierwsze Państwowy Instytut Wydawniczy zaplanował na koniec 2021 roku premierę dwutomowego wydania *Poezji zebranych* Wierzyńskiego. Jest to kolejne przedsięwzięcie wydawnictwa mające na celu popularyzację dorobku przedstawiciela „Pięknej plejady”. Jak dotąd w Polsce nie pojawiło się pełne wydanie wszystkich wierszy Wierzyńskiego, a jego emigracyjne tomy są trudno dostępne.

Projekt Państwowego Instytutu Wydawniczego, na który składają się zarówno edycja wierszy, jak również pełne wydanie *Pamiętnika poety*, warto postrzegać w kategoriach powrotu poety do głównego nurtu. Dzięki obu przedsięwzięciom możliwe będzie nie tylko ponowne dowartościowanie osobowości artystycznej Wierzyńskiego, lecz również określenie stałego miejsca jego twórczości na mapie poezji polskiej, która wciąż pełna jest białych plam ze względu na trudności związane z dotarciem do poszczególnych tomów poetyckich, korespondencji znajdującej się w archiwach i prywatnych zapisków, które mogłyby pomóc w odkryciu innego oblicza wielu autorek i autorów przebywających po 1945 roku na emigracji.

Po drugie w *Pamiętniku poety* znajduje się wiele deklaracji świadczących o tym, że Wierzyński starannie zaplanował zmianę poetyki, którą datować można na 1960 rok. W jednym z fragmentów stwierdza: „W pewnym okresie pisarz zaczyna pisać tylko dla siebie. Wyrażone idee i opanowane formy, które pozwoliły mu zdobyć czytelnika, przestają go interesować. Przymus tworzenia popycha go w kierunku wysiłków, których dotychczas nie stosował, idei, których może nawet nie przeczuwał. Staje przed czymś nieznanym w samym sobie, zaskoczony i zafascynowany tym odkryciem. Jeśli twórczość ma coś z powstawania świata, jest to jak gdyby ósmy dzień stworzenia, kiedy wszystko jest gotowe – i okazuje się niepotrzebne. Potrzebą staje się coś, czego nie ma. Drugi świat, trzeci, czwarty. Perpetuum życia, perpetuum młodości”. Konieczność poszukiwania nowych form ekspresji artystycznej doprowadziła do zwrotu ku wierszom-katalogom, które nie były jedynie epizodem w twórczości Wierzyńskiego. Odegrały one kluczową rolę w procesie odświeżania poetyki autora *Wiosny i wina*, a także sprawiły, że przestał on być postrzegany jedynie jako klasyzysta (szczególnie od tomu *Gorzki urodzaj*) i poeta kultury (szczególnie w *Korcu maku* i *Siedmiu podkowach*). Eksperyment z wierszami-katalogami pozwolił na zrewolucjonizowanie dotychczasowego sposobu opracowywania tematów związanych z przemijaniem, śmiercią, charakterystyką człowieka

Od Skamandra do eksperymentu

KSIAŻKI

jako potencjalnego niszczyciela i destruktora. Można postawić tezę, że wiersze-katalogi, które pojawiły się w latach 60. XX wieku, napisał *poeta doctus*.

Pamiętnik poety składa się z krótkich przemówień, w których autor *Tkanki ziemi* wspominał okoliczności powstawania poszczególnych wierszy (jego komentarze obejmują wszystkie tomy wydane do 1964 roku, jednak zbiorom wydany na emigracji poświęcił on mniej uwagi niż wierszom wchodzącym w skład przedwojennej twórczości). Można go również traktować jako fascynujący dokument ze względu na zawarte w nim refleksje z pogranicza psychologii twórczej i historii najnowszej. Samo istnienie tych zapisków okazuje się niezwykle pomocne w procesie rekonstruowania okoliczności powstawania kolejnych wierszy. Nie zawsze bowiem materiał poetycki powstał bezpośrednio przed opublikowaniem tomu był materiałem premierowym. Wierzyński kilkakrotnie przesunął niektóre wiersze do innych tomów. Trudno byłoby więc bez znajomości *Pamiętnika poety* dokładnie wskazać czas powstania wierszy i bezbłędnie przypisać je do poszczególnych tomów. Dzięki skrupulatności poety (warto zauważyć, że każda osobna audycja została przez poetę skomponowana w przemyślany sposób; mimo że kilkakrotnie poeta powraca do raz podjętego tematu ze względu na konieczność przypomnienia słuchaczom niektórych wątków zawartych w poprzednich audycjach, czytelnik nie odczuwa kompozycyjnego chaosu, natrętnych powtórzeń wynikających z braku panowania nad formą) każde doświadczenie z przeszłości związane zostało z konkretnym wierszem, dzięki czemu czytelnik może pozbyć się przekonania, że powstawały one w historycznej próżni. Choć część stanowi reakcję na tak ogólne wydarzenie, jakim było odzyskanie niepodległości, to jednak na dalszych etapach twórczości poeta reagował na bardzo konkretne wydarzenia (np. śmierć Józefa Piłsudskiego i Gabriela Narutowicza). Do pewnego momentu więc jego poezja okazu-



ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

je się zespolona z tym, co dzieje się w kraju. Ta symbiotyczna zależność znika w tomach emigracyjnych (*Korcu maku*, *Siedmiu podkowach*, *Tkance ziemi*, *Kufirze na plecach*, *Śnie marze*), nie tylko z tego powodu, że poeta został ocięty od tego, co działo się w kraju, lecz również ze względu na zmianę sposobu postrzegania szeroko pojętego dziedzictwa kulturowego. Być może największym zaskoczeniem dla czytelnika będzie informacja dotycząca wierszy wchodzących w skład *Korcu maku* – tomu wydanego w 1951 roku. Badacze i krytycy przyjęli bowiem zgodnie, że tom ten był przełomem w twórczości Wierzyńskiego, jednak sam poeta przyznał, że nie wszystkie wiersze powstały na emigracji. W przededniu wojny złożył on w wydawnictwie Jakuba Mortkowicza tom poetycki zatytułowany *Noc pro-wansalska*, który przepadł ze względu na sytuację wojenną w kraju. Po wojnie poeta odzyskał wiersze zamieszczone w czasopiśmie literackich i włączył je do *Róży wiatrów* i *Korcu maku*.

Pamiętnik poety pełni funkcję komentarza do wierszy Wierzyńskiego i ujawnia atmosferę wydarzeń, które poprzedzały powstanie poszczególnych utworów. Pozwala także na prześledzenie ewolucji twórczości autora *Pieśni fanatycznych*. Jest też zbiorem zapisów o charakterze metapoetyckim. Można go traktować jako klucz do poezji Wierzyńskiego, jak również jako dokument epoki. Oba sposoby czytania go okazują się uprawnione, ponieważ poeta nie podkreśla jednego obowiązującego sposobu lektury. Jego zapiski ujawniają drogę, jaką przeszedł poeta: od skamandryckiego witalizmu przez katastrofizm aż po apologię kultury i sztuki, a także poetyckiego eksperymentu. ■

Kazimierz Wierzyński, *Pamiętnik poety*, opracował, wstępem i przypisaniami opatrzył Paweł Kądziała, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2018, s. 540.

Janusz Nowak swój zbiór wierszy otwiera trzema mottami oraz wyimkiem z pism bpa Bossueta. Motto nr 2, zaczerpnięte od Josepha Conrada, brzmi: „To nie do wiary, z jak przymkniętymi oczyma, przytępiionymi uszami i senną myślą idziemy przez życie”. Z kolei metaforyczny fragment rozmyślań bpa Bossueta naprowadza na zagadnienia dotyczące przemijania, marności i nieuchronnej śmierci. Ten szczególny wstęp przygotowuje czytelnika na ważne treści, które porusza raciborski poeta. Dlaczego ważne? Wskazuje na to językoznawcze wyjaśnienie Jerzego Bralczyka, które figuruje jako trzecie motto. Przeczytamy w nim zdania, w których autor rozróżnia funkcje nawiasu w tekście i w życiu. Nawiasy tekstowe obejmują mniej ważne dopowiedzenia. „W życiu inaczej: okazuje się, że wszystko, co ważne, jest w nawiasie” – konstatuje Bralczyk.

Tytuł tomiku odsłania zatem swoje znaczenie, a poeta zabiera głos, by odbiorcami wstrząsając, by ich poruszyć, skłonić do opamiętania, do przebudzenia. Nawijając do słów Conrada, Nowak poprzez liryczną naukę o rzeczach najważniejszych chce nam otworzyć oczy, wyostrzyć słuch i rozbudzić myśl póki jeszcze nie jest za późno, póki wciąż – tym razem przywołajmy przenośnię Bossueta – znajdujemy się na drodze „kończącej się straszną przepaścią”. Lektura tej niewielkiej książeczki poetyckiej Janusza Nowaka może skłonić do pewnych egzystencjalnych przewartościowań zanim pogrąży nas fatalna otchłań. Mamy bowiem do czynienia z poezją uświadamiającą najważniejsze prawdy o życiu, prawdy, które ponad to życie wykraczają. Sygnalizuje to już... *nawias*, czyli inicjalny wiersz zbioru, który znakomicie rozpisuje autorskie odczuwania, wykorzystując frazeologizmy z tytułowym słowem:

„w nawiasie
poza nawiasem
przed
po

gdzie się toczy

życie”.

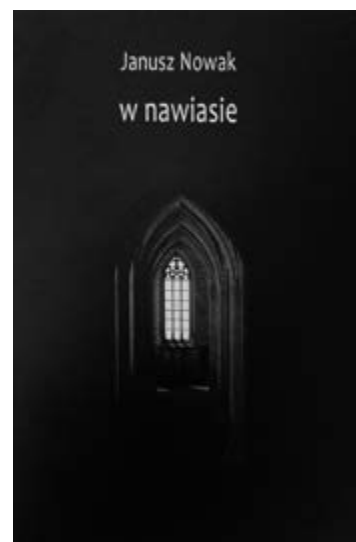
Wszędzie tam jest Bóg, Opatrzność przenikająca wszelkie wymiary – moglibyśmy dopowiedzieć do utworu, gdyż takie właśnie przekonanie wpływa z poezji autora. W tym miejscu trzeba przytoczyć motto nr 1. Są to słowa kard. Stefana Wyszyńskiego: „Ludzie postanowili, aby Boga nie było, ale nie wiedzą, że on nie ma obowiązku stosowania się do naszych uchwał”.

Poezja zapisana w najnowszym tomiku Janusza Nowaka przenikliwie wytyka krótkowzroczność pewnych nur-

KSIĄŻKI

tów współczesnej kultury, punktuje ich zamknięcie na kwestie eschatologiczne i skupienie się na konsumpcyjnym wymiarze bytu. Prawdziwe Życie, wokół którego koncentruje się artystyczny namysł i na które twórca chce naprowadzić poszukującego czytelnika, dotyczy sfery wieczności. Doczesność ze swoimi ikonami popkultury zostaje ukazana jako krucha rzeczywistość (poemat *złóż sobie Marilyn*), a liryczne sugestie podsuwają myśli, od których człowiek zazwyczaj ucieka, zatapiając się w ułudzie „wiecznego” tu i teraz. Zastosowana w kilku utworach forma zwrotu do adresata sprawia, że wiersze odbiera się jak liryczne napomnienia, jak celowane do konkretnych grup lub pojedynczych osób przestrogi mające wykazać ich duchowe spustoszenie. Tytuły takie jak *żaden*, *Julki Apostatki* czy wreszcie *na one słowa Sylwii Chutnik, literatki: „Kościół jako instytucja powinna zostać rozwiązana”* wprost uderzają w postawy afirmujące bezrozumny bunt i profanację. Klamra kompozycyjna spinająca ostatni z wymienionych wierszy („nie dano wam”) jest uderzającym, mocnym i potępiającym rozpoznaniem dotyczącym środowisk, które na własne życzenie pozostają – i tu nawijemy do tytułu zbioru – poza nawiasem a nie w *nawiasie* życia otwartego na łaskę i dary Ducha Świętego. Poeta wytycza największe działa, jakie podsuwają mu historia literatury oraz Pismo Święte. Wersy inkrustowane są znaczącymi cytatami m.in. z *Dies irae* Tomasza z Celano, *Nie-Boskiej komedii* Zygmunta Krasieńskiego (ze znanym wyznaniem: „*Galilaeae vicisti*”).

Konserwatyzm i tradycjonalizm poety dostrzeżemy także w niezwykle interesującym utworze „*wchodząc w życie natychmiast*”, napisanym z wyczuwalną nutą rozczarowania po ogłoszeniu przez papieża Franciszka listu apostołskiego



TOMASZ PYZIK

Traditionis custodes, który wprowadził ograniczenia w sprawowaniu mszy trydenckiej. Wspomniany wiersz odtwarza pewne części liturgii dawnego rytu, a wersy z namaszczeniem prowadzą odbiorcę, skupiając się na wybranych elementach posługi ołtarza. Słysząc w nich szept wyjątkowej głębi modlitewnego zaangażowania, jest tam intensywne wczucie w gesty i czynności, co sprawia, że całość bez wątplenia odbija doświadczenie samego autora, który odsłania nam bogactwo wirydarza duszy. Poeta dzieli się także szczęściem małżeńskim. Wiersz *życie* zamyka tomik i – wspierając się na tekście Tertuliana *Do żony* – stanowi liryczny hołd dla jedynej kobiety za to, że „Ona z nim żyje”, że współżyje w różnych wymiarach, a spodziewany kres tego życia nie zakończy, lecz je przeniesie do innej przestrzeni, gdzie czeka „uczta Boża”.

Janusz Nowak umiejętnie maksymalizuje treści i minimalizuje słowa. Zawansowana strategia twórcza przekłada się na kontynuację rozważań, które wypełniają się w przeżyciu wewnętrznym czytelnika. Poezja autora tomiku w *nawiasie* poprzez swe zanurzenie w realnym oraz głębokim doświadczeniu wiary, poprzez bezkompromisowe i szczerze konstatacje płynące z widzenia „więcej”, będzie przez wielu marginalizowana i odbierana jako twórczość niewygodnej prawdy. Takie zaklasyfikowanie należy przyjąć jako jej wielką zaletę, bo to *poesia militans*, poezja wojująca o duchowe ocalenie człowieka, znak coraz rzadziej spotykanego wytrwania w stałości, budowania domu na tym kamieniu węgielnym, który też był kiedyś odrzucony. ■

Janusz Nowak, *w nawiasie*, Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2021, s. 52.

Swoją debiutancką książkę poetycką wydaną jako siódmą w serii *Ut Pictura Bibliotheca* Biblioteki Śląskiej nazwał Krzysztof Muszyński *Ma na noc*. Tytuł jest oczywiście interesującą prowokacją. „Mieć na noc” oznaczało, a może jeszcze oznacza (autor urodził się w 1989 r.) w zmiennym slangu młodzieżowym ni mniej ni więcej „przebraną”. Kto jednak u Muszyńskiego „ma na noc”? Świat, czytelnik, sam poeta? „Wszyscy mamy na noc przy Muszyńskim – pisze recenzentka Monika Głosowicz – ...Muszyński po prostu biegnie sprintem, chłonie, przeżywa i pozwala temu mijanemu i pożeranemu światu wielokrotnie nasświetlać w wierszach.”

Można by spodziewać się, że mieszkający w środkowej Portugalii, jak głosi żółte skrzydełko tomiku, autor będzie pokazywał nam sensualną urodę świata, porównywał Polskę z krajem, w którym symbolem rewolucji stał się goździk, snuł pieśni fado... nic z tego. Co prawda atrakcja turystyczna, najdalej wysunięty na zachód kawałek europejskiego ładu, słynne *Cabo da Roca* przywołuje Śląsk, ale w jakże innym, zaskakującym, filozoficzno-ludycznym kontekście: „czy to ważne znaleźć coś nowego?/ czy można zostać spokojnym psem/ co mruży oczami jak z księżycą jak postrzelony?// na końcu Europy jest klif/ to tam pojąłem, że/ NIE MA CENTRUM W RUDZIE ŚLĄSKIEJ// i tylko ja to wiedziałem/ i najpierw się rozchmurzyłem/ a zaraz znowu zachmurzyłem”.

Podstawowym filtrem oglądu świata i siebie jest namysł nad pryncypium w tym najważniejszym – paradoksem istnienia – włącznie. Rzeczywiście Muszyński „mieli” w swojej głowie i poezji świat. Przygląda mu się (w podwójnym sensie) zmrużonymi oczyma, pod najróżniejszym kątem, śledząc sprzeczności, zawikłania, złożoności i irracjonalność nieustannego odwracania kota ogonem. Już pierwszy wiersz tomiku o swoistej stylistyce tytułu *Powstyd (Tel.#1)* jest tego przykładem: „Niebo na świecie koloru poświaty telefonu/ W ciemnym pokoju maci sen/ Zakrapia oczy wieściami bez końca// Mówi w ekranie prezydent:/ Jeżeli chodzi o rozmiar patologii w tym mieście/ To nie mamy się czego wstydzić”.

Użytym filtrem oglądu i trawienia świata jest język. Ów budulec poezji, kiedy indziej zupełnie przejrzysty wobec kreślonej rzeczywistości tutaj przeciwnie, skupia na sobie uwagę, nie tylko poprzez użycie słownictwa związanego z rzeczywistością wirtualną. Hasztagi, scrollle, bany i IBANY zasiedlają go i zawłaszczają, tworząc zupełnie nowe kombinacje, możliwości, przestrzenie. Scrollingowy „kryzys” czy „szczyt” staje się swoistą anaforą, a *Pokolenie terażniejszości* traci rzecz najcenniejszą – możliwość porozumiewania się: „Wreszcie ktoś przemówił/ po mojemu moim języku/ W monty pajtonie beta/ Jak ruby kolega/ I nic nie zrozumiałem// Bano się bohatera przeciwników/ Celu przeszkód bitwy/ Świata po/ Opowieści/ o IBAN/ Banału/ Bana”.

#Muszyński #poezja

KSIAŻKI

Muszyński niejako próbuje oddać głos językowy – jakkolwiek brzmi to paradoksalnie – nie tylko poprzez skupienie na nim uwagi, popularne we współczesnej poezji gry słowne związane z frazeologizmami, odnajdywanie nowych skojarzeń, znaczeń, jak w wierszu *Scroll (29 dzień września)*, w którym chmura ma dalekie od atmosferycznych konotacje, wzbogacając swoje homonimiczne wnętrze: (...) normalnie będzie/wydarzy się życia cud/żeby było normalnie było normalnie/ i dlatego latami jest jesień i klony/ i mini zimy// ściągnięte razem z chmurą/ zer jedynek i substancji smolistych”

Świat poetycki Muszyńskiego zdaje się paradoksalnie łączyć różnopoleniową wrażliwość, z tym, że szybkość pojawiania się kolejnych generacji niemilosiernie wzrasta, a ich komunikatywność intensywnie maleje budując uczucie odrębności, obcości i zagubienia, które poeta sygnalizuje wielokrotnie, wyznając np. w wierszu *U architekta*, że: „Między nim a jego wnukiem nie ma jeszcze AutoCADa” i „Nareszcie bez dygotu o deadline i bez czekania na render/ Budowali w końcu dom”.

O procesualnym charakterze języka tej poezji i nim nazywania, niech świadczy fakt zachowania w druku znaków korektorskich wytłumaczonych w *Nocie edytorskiej*. Czyżby zatem poezja i język były na brudno i wymagały naszej uwagi i działania? Zresztą nasycenie słownictwem najnowszym, owymi „Internetami” jest tak intensywne, że „starszych” odbiorców może trochę razić.

Muszyński omiata spojrzeniem rzeczywistość, a wibracje znaczeń niosą się bardzo daleko, zaś konstatacje są „nieoczywiste”. Obok literackich aluzji, świeżości języka, soczystości metafor „obserwacja” niesie z sobą zaskakujące wnioski i oceny jak w wierszu *Kadencje*, który dla ilustracji pozwolił sobie zacytować w całości: Raczej należy współczuć bogom/ Nie mniej półbogom i ćwierćbogom// Zaprawdę otrzymała swą zapłatę/ ty się po prostu/ Zamknij za prawdę zaprawdę/

Z twoich oczu widzisz/ Co masz widzieć, i co ukryte/ Daj to szumowi za oknem/



PIOTR SKOWRONEK

O trzeciej nad niebieskim ranem/ Klekotwi pociągu towarowego/ Między plastrami miast/ W szarej panującej zieleni świtu/ Daj to przymusowemu postojowi// Zasypanym torom/ Rozpieczętowanym wagonom/ I ryzykownym biada-szybom// Powtarzam sobie/ Jakby to miało zaowocować/ Aranżem we Fruit Loopsie”. Wiersz nie tylko mieni się wielością znaczeń, zgrabnie zapraszając nas do galopu skojarzeń i czytelnicznych wyzwania, ale wręcz „drwi” (albo z nas się „drwi”) w końcowej frazie lekko zestawiając „zaowocowanie” z nazwą jednego z najpopularniejszych na świecie programu komputerowego do opracowywania dźwięku. Czy to nie nowy głos lub śmiech Pana postCogito opatrzony równie mocnym imperatywem „zamknij się”

Alina Świeściak-Fast w shoutlainie, by użyć tamtejszego języka napisała, że Muszyński: „Skazany na śląskość, wozi ze sobą nienachlane piękno „królestwa śmietnika” i tutejsze ludzkie sprawy. Dlatego Neapol czy Turyn nie różnią się szczególnie od Bytomia, a na Cabo da Roca można odkryć, że „nie ma centrum w Rudzie Śląskiej”. Owszem tylko czy to aby wada? Kiedy wokół „szybicy i wściekli” warto znać swoje imię i wiedzieć, że dziadek: „na moje pierwsze urodziny/ prowadził mnie za rękę/ w poniemieckim mieście/ w postkomunistycznym mieście/ po skwerze który/ będzie japoński/ na dawnych pocztówkach/ z przyszości” (*Czynności*) Owszem trąci Kutzem, ale chyba trącić powinno, bo jak wyznaje bohater liryczny: „zdarzyły mi się tu cuda/ jednak nie, jednak tak” (*Flaga na deszczu*).

Krzysztof Muszyński widzi inaczej, mówi inaczej, ale i śmieje się inaczej. Jest po tej i po tamtej stronie lustra. Szuka nowej ekspresji, własnej drogi i śpiewa: „liście, leć, z drzew, leżą/ Tele/ fonem/ nocą, w twarz/ tyk tyk, tyktytytytyk// POMIŃ REKLAMĘ” (*Trap o jesieni (Tel.#2)*). ■

Krzysztof Muszyński, *Ma na noc*, Biblioteka Śląska, Katowice 2021, s. 60.

Strażnik pamięci i słów

MARIAN SWORZEŃ



Nigdy nie napisałbym tego artykułu, gdyby nie splot przypadków. Zaczęło się od tego, że 19 lutego br. podczas uroczystości odsłaniania w Katowicach (ul. Panewnicka) tablicy pamiątkowej poświęconej Władysławowi Bartoszewskiemu – przy przedstawianiu zbranym sylwetki patrona – wspomniałem o przyczynie jego licznych przyjazdów do Katowic. Ich powodem były odwiedziny w mieszkaniu mecenasa Henryka Wolińskiego (ul. Kościuszki), sfera komórki żydowskiej w Komendzie Głównej AK, członka „Żegoty”, auto-

ra słynnego raportu poświęconego sytuacji Żydów w okupowanej Polsce dostarczonego do Londynu przez emisariusza podziemia, Jana Karskiego. Tydzień później przeczytałem zaległy, bo z poprzedniego roku, wywiad Pawła Smoleńskiego z Włodkiem Goldkornem, współautorem omawianej książki („Wyborcza” z 23 stycznia 2021 r.). Krótco przed rozpoczęciem mojego pisania dowiedziałem się, że w pogrzebie Henryka Wolińskiego na katowickim cmentarzu (ul. Sienkiewicza) w dniu 15 marca 1986 r. uczestniczył również Marek

Edelman. Ponieważ domowy egzemplarz *Strażnika* czekał już od paru lat na swoją kolej, nie musiałem się zastanawiać – wybór został dokonany. Z dodatkowych, katowickich wątków winien jestem wskazać dwa – autor wstępu, Jan Józef Szczepański mieszkał tu przed wojną (ul. Zajączka), zaś Goldkorn (ur. 1952) spędził dzieciństwo kilka przecznic dalej (ul. Curie-Skłodowskiej). Mnie, urodzonemu blisko obu wspomnianych miejsc (ul. Poniatowskiego), pozostała lektura książki i możliwość jej przedstawienia. „Pozostała” nie oznacza rezygnacji, a przeciwnie – serdeczną akceptację, zaś „możliwość” można zamienić na zaszczyt. I jeszcze jedno... Śląsk pojawia się literalnie w książce tylko raz – gdy mowa o bundowskich koloniach zorganizowanych w 1933 r. dla dzieci strajkujących śląskich górników.

Zanim książka dotarła do Polski, ukazała się najpierw we Włoszech, w 1998 r. Pierwsza nasza edycja odbyła się cztery lata później, a wznowienie nastąpiło w 2006 r. Jej ostateczny układ pozwala nie tylko na słuchanie słów Edelmana, ale też daje możliwość znacząco dokładnego zapoznania się z jego życiem. Nawet ci, którzy znają jego sylwetkę z książki Hanny Krall *Zdążyć przed Panem Bogiem* (powstałej w latach 70.), znajdą teraz wiele nowych rzeczy związanych z wydarzeniami z przełomu XX i XXI wieku. Książka jest podzielona na trzy części – pierwsza, „Strażnik”, to opowieść Edelmana o swoim życiu, druga, *Getto walczy*, jest przedrukiem jego dokumentalnego opisu powstania w warszawskim getcie, na trzecią zaś, *Aneks*, składają się teksty przemówień, apeli i listów otwartych.

Zacznijmy od tytułu. Skąd zatem *Strażnik*? Tak – po wymordowaniu polskich Żydów – określili swoją rolę sam Edelman („Ja postanowiłem zostać. Ktoś przecież musiał zostać z tymi wszystki-



Marek Edelman na Muranowie w 1960 (fot. Henryk Jurko – Stolica, nr 17, 24 kwietnia 1960, Mazowiecka Biblioteka Cyfrowa; źródło – wikipedia)

mi, którzy tu zginęli.”) Nie szło mu tylko o przeszłość, lecz również o współczesność, w której nieustannie pojawiają się sytuacje, grożące powrotem do okrutnych czasów. Stąd jego osobiste zaangażowanie w pomoc dla Kosowa i Bośni oraz zdecydowane żądania o pomoc Zachodu.

Jak wyglądały – najkrócej – koleje jego życia? Urodził się w 1921 r., pochodził z żydowskiej rodziny z Homla (to dzisiejsza Białoruś). Kiedy bracia matki zostali wymordowani przez bolszewików, rodzina przeniosła się do Warszawy. Krótco potem stracił ojca, a w 1934 r. – matkę. Osierocony, nie został sam – pomogło mu środowisko skupione wokół Bundu, partii żydowskich socjalistów, do której należała jego matka. Po rozpoczęciu okupacji, pracował w szpitalu w getcie. Należał do kierownictwa Żydowskiej Organizacji Bojowej („Miałem kontakty z AK, w pierwszym okresie byłem w getcie jedynym człowiekiem, który je miał. Dzięki tym kontaktom poznałem Henryka Wolińskiego, pseudonimem Waclaw, [...]”). Walczył w powstaniu w getcie w kwietniu i maju 1943 r. Ocalony, bił się również w powstaniu warszawskim. Po wojnie ukończył studia medyczne, był kardiologiem i ordynatorem oddziału intensywnej terapii. Zamieszkał w Łodzi. Współpracował z KOR-em, był działaczem „Solidarności”, internowanym w stanie wojennym. Uczestniczył w obradach Okrągłego Stołu. Współtworzył Unię Wolności. Został kawalerem Orderu Orła Białego. Zmarł w 2009 r.

Z przekonań politycznych – człowiek lewicy, socjalista, wedle spraw wiary – ateista (a może posłany przez Boga?). Jako Żyd był antysjjonistą (i to dość radykalnym), bowiem partia jego życia, Bund, nieodmiennie widziała miejsce społeczności żydowskiej w Pol-

sce, a nie w Palestynie. Rzadko się czyta, że – w sposób daleki od politycznej egzaltacji – ktoś nazywa jakąś ludzką zbiorowość „mamą”. Jeśli jednak czytelnik spojrzy na rozdział *Mama-Bund*, to – taką mam nadzieję – uzna, że tytuł jest usprawiedliwiony, a nie wydumany (Edelman, wychowanek bundowskiej młodzieżówki, uważał ją za szkołę praktycznej demokracji). Notabene ta część książki napisana przez Włodka Goldkorna stanowi przejrzysty wykład historii Bundu, poprowadzony od zarania partii, która przecież – nim zadomowiła się w przedwojennej Polsce – powstała wiele lat wcześniej, w czasie zaborów, w 1897 r. w Wilnie.

Po 1945 r. nigdy nie należał do partii. Wspominał: „Kilka razy proponowano mi wstąpienie do partii komunistycznej. Zawsze odmawiałem”, kiedy zaś postawiono go przed dylematem „partia albo wyjazd”, odpowiedział: „Ani nie wyjadę, ani się nie zapiszę”. I jeszcze jeden wers: „Starałem się żyć tak, jak gdyby ten ustrój nie istniał, chciałem mieć zawsze własny pogląd na sprawy i być niezależny”.

Świadomy niegodziwości zakorzenionej w ludziach, nalegał na wczesne przeciwdziałanie jej, nie wykluczając siły zbrojnej („W człowieku tkwi element zła. [...] Łatwiej jest nienawidzić i zabijać niż kochać.”). Doświadczony lekarz, zmagający się z terminalnymi zagrożeniami ludzkich serc i ciał, leczył przez kilkadziesiąt lat z wielkim poświęceniem, wymagał go również od współpracowników i podwładnych. Jako strażnik pamięci poległych i zamordowanych brał udział w obchodach rocznicowych w getcie oraz konferencjach historycznych krajowych i zagranicznych. Tam jednak, gdzie próbowano wykorzystać jego obecność (luty 1983 r., w stanie wojennym), stanowczo odmówił w liście otwar-

tym („Obchodzenie naszej rocznicy tutaj, gdzie nad całym życiem społecznym ciąży dziś poniżenie i zniewolenie, gdzie doszczętnie zafałszowano słowa i gesty, jest sprzeniewierzeniem się naszej walce, jest udziałem w czymś całkowicie jej przeciwnym”). Jego wspomnianie przyjaciół, każdego z osobna (Adam Sznajdmil, Pola Lipszyc, Sonia Nowogródzka, Abrasza Blum, Dawid Hochberg, Tobiasza Dawidowicz, Jurek Błones, Leon Feiner, Maurycy Orzech, Mordechaj Anielewicz, Cywia Lubetkin, Icchak Cukierman, Jurek Wilner), jest nacechowane niezwykłą czułością oraz wdzięcznością za obecność w jego życiu. To samo odnosi się do twórców Bundu, Wiktora Altera i Henryka Erlicha, zamordowanych w stalinowskich więzieniach (przynajmniej, że niemal nieobecnych w naszym postrzeganiu II Rzeczypospolitej). Nie zapomniał o Adamie Czerniakowie i Szmulu Zygielbojmie, którzy podczas okupacji wybrali samobójstwo w obliczu zagłady swojej społeczności – pierwszy w Warszawie, jako przewodniczący Judenratu, drugi w Londynie, jako członek władz emigracyjnych.

Obraz walczącego getta nie został przez Edelmana zapisany po latach, jako odległe i wyblakłe przypomnienie. Wydał swój raport najszybciej, jak było możliwe – jesienią 1945 r. (był potem wielokrotnie wznawiany; jest dostępny również jako audiobook na www.centrumdialogu.com). Pisał o tym, w czym uczestniczył, o ludziach, którzy przy nim walczyli i ginęli, o samobójstwie komendy ŻOB w bunkrze przy ulicy Miłej, o wyjściu grupki ocalałych kanałami, o nie licznym, którzy dotrwali do końca wojny (podaje ich nazwiska, na samym końcu – swoje). Kiedy to czytałem, uświadomiłem sobie, chociaż to liczbowe porównanie nie padło, że bojowców w getcie było tyłu, ilu liczyła załoga Westerplatte – dwustu dwudziestu.

Edelman, pokazując Zofii Nałkowskiej maszynopis swojej pracy, powiedział wyraźnie o swoich obawach: „Ja nie jestem pisarzem. To nie ma żadnej wartości literackiej”. Przyszła autorka *Medalionów* (ukazały się rok później) miała inne zdanie. We wstępie do książki Edelmana napisała, że „jego nieliterackie opowiadanie osiąga to, co udaje się wszystkim arcydziełom”, albowiem „daje w słowie poważnym, celnym, powściągliwym, wolnym od frazesu protokół zbiorowego męczeństwa”.

Był zatem Marek Edelman nie tylko strażnikiem pamięci, ale i słów. Trudno o większą godność! ■



Pomnik Bohaterów Getta – strona zachodnia z płaskorzeźbą Walka (fot. Adrian Gryczuk, źródło wikipedia)

Rudi Assuntino, Włodek Goldkorn, Strażnik. Marek Edelman opowiada, tłum. Ireneusz Kania, wstęp Jan Józef Szczepański, wyd. 2., Znak, Kraków 2006, s. 294. O Śląsku: s. 21.

Via Crucis według Krzysztofa i Michała Powańkówa

WIESŁAWA KONOPELSKA

14 stacji Drogi Krzyżowej dla kościoła rektoralnego Ojców Pijarów w Łowiczu – jednego z najwybitniejszych obiektów sakralnych późnego baroku w Polsce – powstało w Czeladzi, w pracowni braci Krzysztofa i Michała Powańków – artystów malarzy, absolwentów Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach.

Realizację tego niezwykle odpowiedzialnego zadania zarówno w wymiarze estetycznym, artystycznym, jak i religijnym zaproponował młodym malarzom historyk sztuki o. Eugeniusz Grzywacz SP, przy wsparciu ówczesnego rektora kościoła i kolegium o. Mariana Galasa.

Prace nad powstaniem obrazów malarzskich o wymiarach 85x120 cm rozpoczęły się w 2018 roku. Pierwsze obrazy na ścianach świątyni, ale także... na portalach społecznościowych, zaczęły pojawiać się w 2019 roku. W ten sposób poszczególne prace mogły zostać poddane ocenie zarówno różnorodnych odbiorców, jak i wiernych gromadzących się w łowickim kościele.

Obrazy, które utworzyły nowoczesną, a zarazem zatopioną w blisko dwutysięcznej tradycji Drogę Krzyżową, zastąpiły dawne oleodruki, które znajdowały się na ścianach kościoła.

Jak wspominają twórcy, by mogło powstać 14 stacji Drogi Krzyżowej, trzeba było wypracować jej artystyczny i religij-

ny kształt, odpowiadający obydwu malarzom. Zaczęli od słuchania muzyki, oglądania filmów o tej tematyce, pierwszych szkiców, od doboru osób, które mogły służyć jako wzorce dla konkretnych postaci, krajobrazów, architektury. W gronie 60 modeli prócz nich samych i ich rodzin byli przyjaciele i znajomi artystów z Włoch i całej Polski, także z Czeladzi, a także członkowie Legionu Rzymskiego – grupy rekonstrukcyjnej z Katowic.

W poszukiwaniu „swojej Jerozolimy”, czyli miejsc, które mogłyby zaistnieć na obrazach, odwiedzili Hiszpanię i Włochy, z którymi są związani rodzinnie. Do powstania kostiumów „z epoki” przyczyniła się ich mama, która nie tylko szyła szaty dla kolejnych postaci, ale także pomagała w doborze materiałów. Trzeba było także skompletować niezbędne rekwizyty: obuwie, biżuterię, broje, miecze. Wyzwaniem okazało się skonstruowanie krzyża naturalnej wielkości. Ich podejście do pracy tak skomentował o. Eugeniusz Grzywacz: „Nie przypuszczałem, iż dziś są jeszcze takie osoby, które w ten sposób podchodzą do swojej pracy”.

Powańkowie uznali, że tematem ich Drogi Krzyżowej będzie zmaganie się jednostki z uniwersum, w jakim funkcjonuje, bo przecież od czasów Chrystusa nie zmieniły się ludzkie emocje i namiętności.

Kiedy kartony ze szkicami były gotowe, przystąpili do tworzenia obrazów. Nie lada wyzwaniem okazało się światło – wschody i zachody słońca, modelowanie sylwetek, i by uzyskać najlepszy efekt pór dnia i autentycznych plenerów.

Co ważne i raczej niespotykane, Krzysztof i Michał pracowali razem – nie tylko wspólnie czynili przygotowania, ale także uczestniczyli w procesie powstawania kolejnych obrazów. Każdy z nich wniósł swoją twórczą część.

Jak podkreślił o. Eugeniusz Grzywacz zakon zdecydował się na twórców młodego pokolenia po głębokiej i wszechstronnej analizie ich dotychczasowych osiągnięć, ale przede wszystkim ze względu na to, że styl ich malarstwa będzie doskonale współgrał z barokowym wystrojem zabytkowego kościoła, zwłaszcza z malarstwem Michelangelo Palloniego, a ich

sposób pracy nawiązywał do metod wielkich mistrzów sztuki europejskiej. Wypełnili oni także trzy etapy określone przez dawnych mistrzów życia religijnego jako rozważania (*meditatio*), wewnętrzne poruszenie człowieka (*compassio*) i nakłonienie poprzez swoje dzieło do naśladowania Chrystusa (*imitatio*).

O. Grzywacz zwrócił również uwagę na postać małego chłopca pojawiającego się w kilku scenach – to Jaś, syn Michała, który w ciągu trzech lat pracy ojca nad Drogą Krzyżową dorastał wraz z nią. Nadaje więc 14 stacjom Drogi Krzyżowej symbolicznego wymiaru podążania od najmłodszych lat ku doskonaleniu się. A jego ubiór – bordowe spodniki i niesiony kaganek, mogą symbolizować jedno z przesłań zakonu pijarów, jakim jest szczególna troska o wychowanie dzieci i młodzieży. Osobiste zaangażowanie twórców i ich bliskich o. Eugeniusz Grzywacz postrzega jako wewnętrzne, wielowymiarowe poruszenie twórców nad rozważanym tematem Męki Pańskiej.

Prace nad Drogą Krzyżową zostały ukończone w 2021 roku. Od tego czasu oryginały znajdują się w kościele o. pijarów w Łowiczu. Natomiast 8 kwietnia 2022 roku reprodukcje obrazów zawisną na wystawie zatytułowanej „Via Crucis Powańka” w Praskim Centrum „Koneser” w Warszawie. ■

Arch. Krzysztofa i Michała Powańków

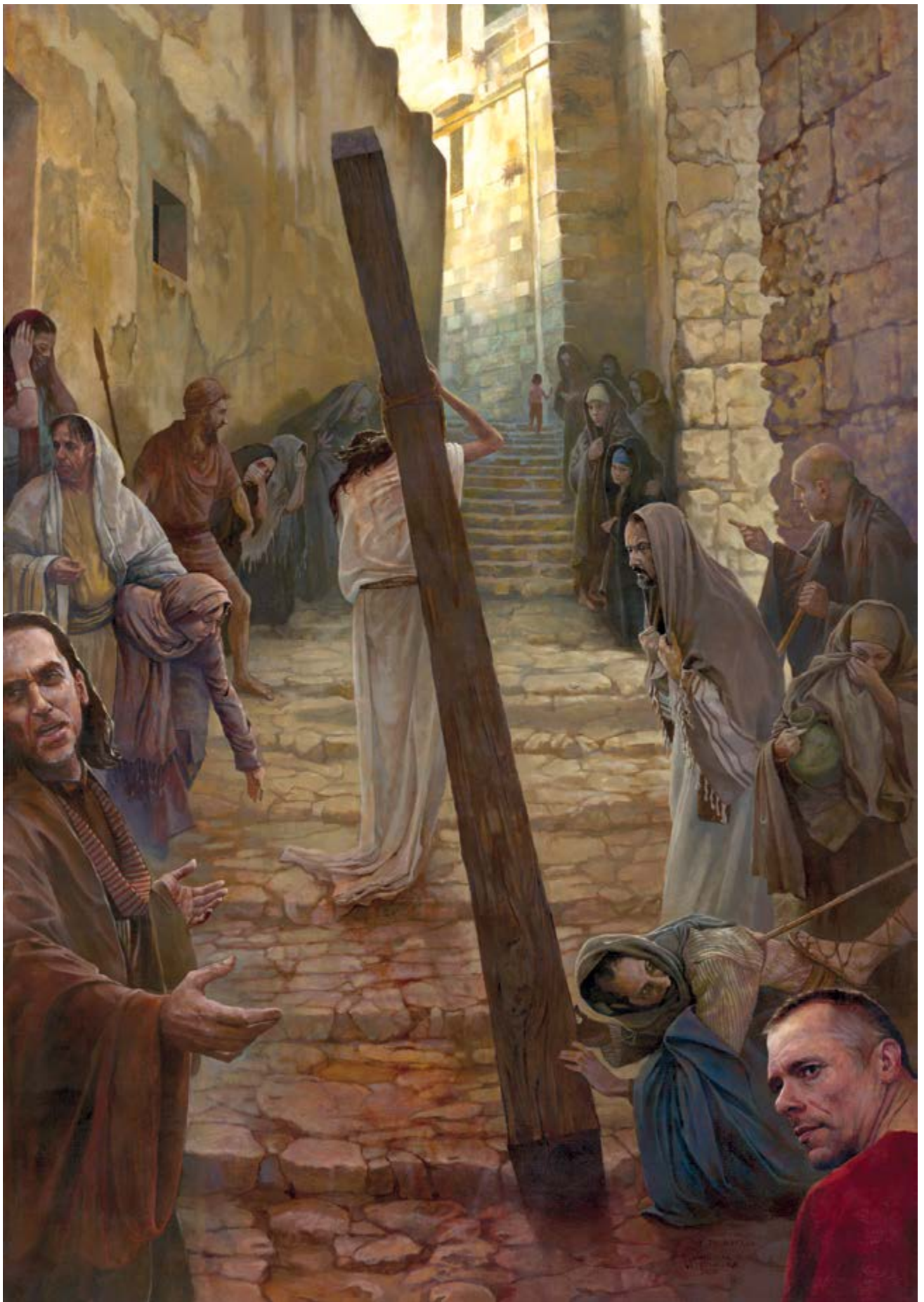


Arch. Krzysztofa i Michała Powańków

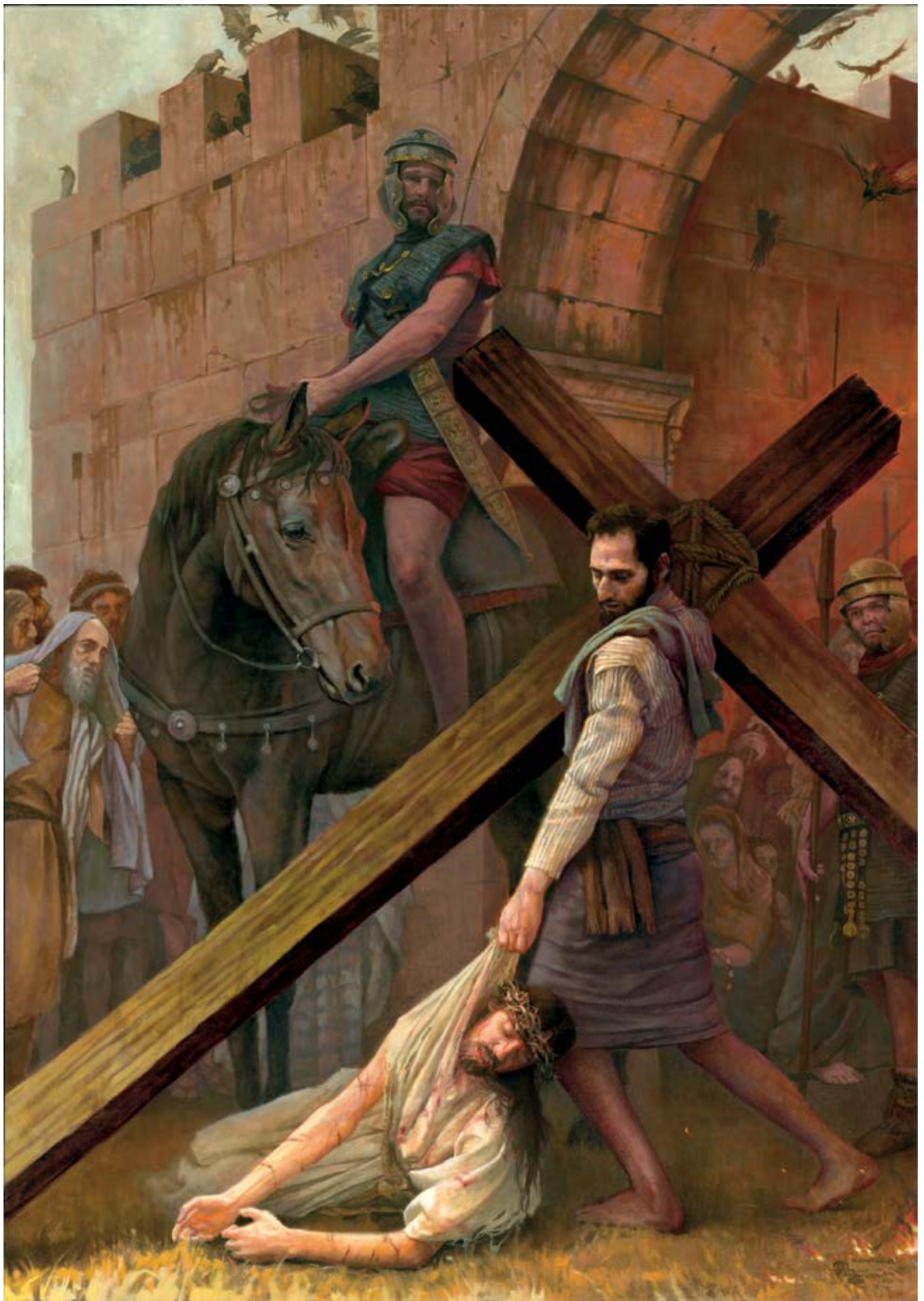




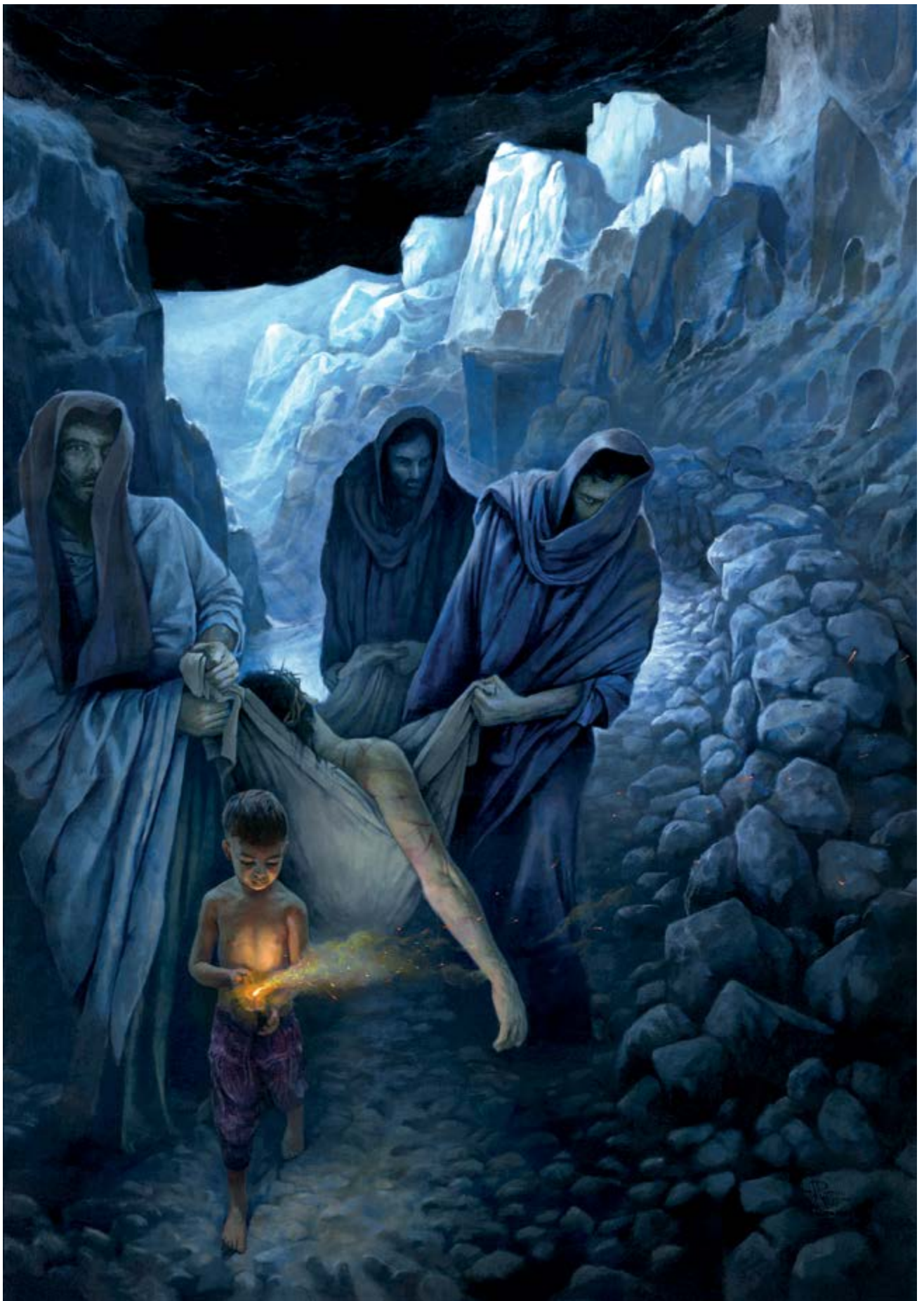
Z cyklu *Via Crucis*. Archiwum Krzysztofa i Michała Powalków.



Z cyklu *Via Crucis*. Archiwum Krzysztofa i Michała Powalków.



Z cyklu *Via Crucis*. Archiwum Krzysztofa i Michała Powalków.



Z cyklu *Via Crucis*. Archiwum Krzysztofa i Michała Powalków.

Biała magia Tatiany

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



Tatianę Warszzyńską poznałem pod koniec lat osiemdziesiątych lub na początku ostatniej dekady poprzedniego stulecia, tak „dawno”, że już pamięć zawodzi! Znajomość z nią okazała się jedną z tych, które zmieniają życie na lepsze – i przez całe życie trwają. Wyniki takich znajomości są oczywiście początkowo nieprzewidywalne, nie wiemy czy dana znajomość przyniesie nam radość, zadowolenie, jak również duchową korzyść płynącą z poznania kogoś – zawsze mam taką nadzieję – mądrego, dobrego, wrażliwego. Jednak bardzo szybko pojąłem, iż w tym przypadku mój anioł stróż poprowadził mnie w najlepszym kierunku – Tatiana i jej bliscy okazali się wspinałymi, życzliwymi ludźmi.

Warszyńscy to wyjątkowa rodzina, w której różnorodnie artystyczne i zawodowe talenty manifestują się już w dzieciństwie: najmłodsza córka, Alicja, odnosi sukcesy jako plastyczka i projektantka; syn Kaj dzieli i rządzi w sferze oprogramowania systemu Windows; najstarszy syn, Mikołaj, jest pianistą o międzynarodowej reputacji, daje recitale w Paryżu, Warszawie, Wiedniu, nagrywa płyty, które wyprzedają się na pniu nawet dzisiaj, w erze niskiej jakości, łatwo dostępnej w Internecie muzyki cyfrowej, wraz ze swoją żoną, wyborną czeską pianistką, Zuzaną Šimurdovą, gra w duecie „po całym świecie” (tak do rytmu), uczyli przez kilka lat w Korei Południowej (w Katolickim Uniwersytecie w Daegu), zamawiają nowe dzieła u współczesnych kompozytorów – z pewnością jeszcze mi o nich przyjdzie pisać. Mąż Tatiany, Tadeusz, uprawia grafikę i malarstwo, w tym może najtrudniejszą gałąź tegoż, akwarelę portretową. Wykłada w uniwersytecie, wystawiał w Ameryce Północnej, Europie i Azji, jego prace znajdują się w zbiorach muzealnych oraz prywatnych. Tadeusz to ciekawy przypadek z jednego jeszcze względu: absolwent gdańskiej Akademii Muzycznej w klasie perkusji, postanowił dać upust swoim obsesjom wizualnym, ukończył studia plastyczne – tak rozpoczęło się jego „drugie” artystyczne życie. Siostrzenica Tatiany, Tatiana Peet (*de domo* Walentynowicz), to

pisarka, która celuje w krótkich formach prozatorskich, z zawodu terapeutka artystyczna. Dodam tylko, że ojciec rzeczonyj Tatiany, Przemysław Walentynowicz, jest zawodowym programistą, w którego *curriculum vitae* znajdziemy firmy takie jak Lufthansa i Dell. Koło się zamyka.

Tatiana Warszzyńska ukończyła Akademię Muzyczną w Gdańsku – tam też poznała Tadeusza – po czym rozpoczęła karierę zawodową w Orkiestrze Filharmonii Bałtyckiej, występowała także w lokalnych orkiestrach i zespołach kameralnych. Ósma dekada XX stulecia zastała Warszzyńskich w Niemczech, gdzie zdecydowali się pozostać po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego. Tatiana szybko znalazła pracę. Występowała m.in. w Orkiestrze Kameralnej Herberta van Karajana, Orkiestrze Festiwalowej pod jego dyktando, by następnie otrzymać angaż w Hamburgskiej Orkiestrze Symfonicznej. Powodowana ciekawością świata, przeniosła się do Kanady, gdzie od razu przyjęto ją do Edmونتońskiej Orkiestry Symfonicznej i gdzie znalazła profesjonalną stabilizację, a przy tym niezmierny szacunek koleżanek i kolegów, o jakim większość z nas może tylko pomarzyć. Jej przyjaciele i znajomi twierdzą, że „jeszcze się taki nie urodził, który nie kochałby Tatiany”.

Warszyńska symbolizuje wszystko to, co najlepsze i najpiękniejsze u Polek i Polaków, których los porozrzucił po całym świecie i to nie tylko dlatego, że wszystkie jej dzieci mówią po polsku, co sobie od początku założyła – i co osiągnęła. Całkowicie oddana sprawie propagowania polskiej kultury w ogóle, a polskiej muzyki w szczególności, Tatiana dokonała dziesiątków prawykonań i wykonań polskiej muzyki solowej i kameralnej. Grała i gra tę muzykę stale, nie tylko „u siebie”, w Edmonton, ale i podczas występów w innych ośrodkach. Jej przedsięwzięcia organizatorskie są bezcenne, jak np. przygotowanie obydwu koncertów fortepianowych Fryderyka Chopina w wersji na fortepian i kwintet smyczkowy (solistami byli, odpowiednio, Mikołaj Warszzyński oraz Zuzana Šimurdová; nb. znakomitą interpretację tej ostatniej I Koncertu e-moll op. 11 wyda-

no na płycie, która rozeszła się jak ciepłe bułeczki!).

Mówiąc o płytach, Tatiana wydała dwa unikatowe tytuły, oba z muzyką współczesną: *Devil's Dance* (jako The Warszzyński Trio – z udziałem Mikołaja oraz Joanny Ciapki-Sangster, wymienitej polsko-kanadyjskiej skrzypaczki rodem z Podhala) oraz – to płyta solowa – *The Shape of Things*, z utworami m.in. Stanisława Morzyty oraz Aleksandra Lasonia (moim zdaniem jej nagranie II Sonaty śląskiego kompozytora nie ma sobie równych).

Grę Tatiany charakteryzują bogactwo emocjonalnego przeżycia, bo jak mało kto potrafi się ona utożsamiać z intencjonalną ekspresją dzieła; dogłębne rozumienie kompozytorskich zamiarów; naturalna wibracja; uroczy, ciepły ton; pewność intonacji nawet w trudnych układach dwudźwiękowych i akordowych; precyzja rytmiczna, w utworach solowych wzbogacona elastycznym, pełnym smaku *rubato* – to jest skrzypaczka, która mogłaby zrobić karierę jako solistka; zamiast tego wybrała rodzinę i popularyzatorską pracę „u podstaw” na rzecz polskiej kultury. Jej prezentacje muzyki, którą w Polsce się z jakichś dziwnych przyczyn ignoruje, jak np. kwartetów fortepianowych Zygmunta Noskowskiego i Władysława Żeleńskiego, budują sensację. Co więcej, werbuje ona do tych koncertów lokalnych kanadyjskich wykonawców, którzy nieustannie pytają: „dlaczego nie znamy tutaj tak pięknej muzyki?” – polscy pożałujcie Boże krytycy, notorycznie lekceważący tę muzykę, powinni to usłyszeć na własne uszy!

Kilka lat temu zwróciłem się do p. Koziołka Matołka, ówczesnego redaktora naczelnego „najstarszego w Polsce pisma muzycznego” z propozycją opublikowania serii tekstów o polskich muzykach takich jak Tatiana. P. Matołek odpowiedział, że nie jest zainteresowany muzykami „policijnymi”, mam to na piśmie w moim archiwum. Brak słów.

Dopiero teraz przyszło mi więc napisać o Tatianie, czarodziejce skrzypiec, mistrzyni dźwiękowej białej magii. Takich jak ona jest za granicą znacznie więcej. Dlaczego o nich nie mówić?

Lothar Dziwoki i jego Żorska Orkiestra

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

Na Scenie „Na Starówce” w Żorach 25 i 26 lutego 2022 roku odbyły się koncerty towarzyszące oficjalnym obchodom 750-lecia miasta, dedykowane pamięci jednego z najbardziej charyzmatycznych muzyków mieszkających na Śląsku – Lothara Dziwoki, zmarłego 10 listopada 2019 roku. Znałem jego rodzinę od dziecka: przez pięć lat uczyła mnie gry na fortepianie jego żona Maryla, zaprzyjaźniłem się z ich synem Dawidem (pianistą) i poznałem bliżej Daniela (perkusistę). Gdy byłem młody, Lothar jeździł po świecie, występował na pięciu kontynentach. Był jednym z najlepszych polskich puzonistów. Siedmiokrotnie grał na Jazz Jamboree w Warszawie, występował z zespołem Czesława Gawlika, High Society i Big Bandem Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach. Na Wydziale Jazzu i Muzyki Rozrywkowej tej uczelni stworzył i prowadził klasę puzonu. Trzykrotnie zdobył nagrody na festiwalu Jazz nad Odrą we Wrocławiu z zespołem Lotharsa. Grywał z Adamem Makowiczem oraz przyjaciółmi Janem Cichym i Andrzejem Trefonem. Występował na festiwalach w Pradze, Sofii, Norymberdze, San Francisco, a także w Tokio, Wiedniu, Budapeszcie czy Oslo. Gdy zaczął śpiewać, w USA zaczęto go nazywać „polish Satchmo” czyli polski Armstrong. Podczas artystycznych podróży poznał Omara Sharifa, Ritę Moreno czy Ginger Rogers. Zaaranżował wiele utworów i pracował jako dyrygent. Otrzymał między

innymi: „Złotą Tarkę” na Jazz Jamboree, „Złotą Superatę” oraz „Phoenix Sariensis”.

Kiedy jesienią 2002 roku Lothar zakładał Żorską Orkiestrę Rozrywkową – dzięki wsparciu prezydenta miasta Waldemara Sochy i MOK-u – zadzwonił do mnie, proponując współpracę. Poprowadziłem kilkadziesiąt koncertów, współorganizowałem razem z instytucją Ars Cameralis występ tego big-bandu w szwedzkim Goeteborgu, byliśmy w zaprzyjaźnionym z Żorami niemieckim mieście Kamp-Lintfort, udało nam się wydać płytę, zrealizowaliśmy z reżyserem TVP Katowice Waldemarem Patlewiczem i miastem Mysłowice koncert w ramach Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Podczas „Świąteczka do nieba” Żorska Orkiestra Rozrywkowa z Lotharem i Kasią Moś pojawiła się na ekranach telewizorów w Polsce i za granicą, za pośrednictwem Telewizji Katowice, TVP 2 i TVP Polonia. Orkiestra grała też w Gliwickim Teatrze Muzycznym, na festiwalu Silesian Jazz Meeting w Rybniku czy w katowickim „Spodku”. Z zespołem występowało wielu wspaniałych artystów, jak: Urszula Dudziak, Ewa Bem, Lora Szafran, Bogusław Mec, Sławek Uniatowski, Mieczysław Szcześniak, Kuba Badach, Edi Sanchez, Peter Getz czy Jan „Ptaszyn” Wróblewski.

W 2006 roku Lothar zrealizował z Miejskim Ośrodkiem Kultury w Żorach pierwszy Easy Jazz Festival. Na to wielkie, radosne święto muzyki zapraszał gwiazdy jazzu nie tylko z Polski, ale także z USA,

Brazylii, Australii i wielu krajów Europy, m.in.: nominowanego do Grammy saksofonistę Boba Mintzera, laureata Grammy trębacza Rendy’ego Breckera, saksofonistę Billa Evansa, puzonistę Samuela Blasera, amerykańską piosenkarkę Fay Victor, australijską wokalistkę Liz Tobias, brazylijskiego kontrabasistę i gitarzystę Guila Guimaraesa. Wielkie wrażenie zostawił w nas koncert żorskiego big-bandu z udziałem jednego z najwybitniejszych amerykańskich gitarzystów, wokalisty i showmana Hirama Bullocka, który wcześniej występował z Barbarą Streisand, Milesem Davisem, Stingiem i Stevie Wonderem (zmarł w wieku 52 lat w 2008 roku, niedługo po koncercie w Żorach).

W pogrzebie Lothara w listopadzie 2019 roku uczestniczyły setki osób z całej Polski. Orkiestra przyjęła imię Lothara Dziwoki, a jej szefem został wspólnie syn Dawid (świetnie sprawdził się w podwójnej roli dyrygenta i pianisty). Publiczność szczerze wypełniła widownię podczas dwóch koncertów pamięci polskiego Armstronga. Z Żorską Orkiestrą Rozrywkową wystąpili tak znakomici wokaliści, jak: Krystyna Prońko, Ewa Uryga, Beata Bednarz, Magdalena Tul, Stanisław Soyka, Rafał Brzozowski, Michał Gasz, Grzegorz Wilk i Michał Rudaś.

Koncerty zorganizowali: Dawid i Maria Dziwoki oraz pracownicy MOK-u w Żorach. Podziękowania i gratulacje należą się wszystkim artystom, dyrektorowi Stanisławowi Ratajczykowi, kierownicze kina „Na Starówce” Jolancie Hrycak, koordynatorowi Grzegorzowi Grankowi, realizatorom dźwięku i światła oraz wszystkim, którzy sprawili, że te koncerty były wyjątkowe. Publiczność reagowała wspólnie i domagała się, by Żorska Orkiestra Rozrywkowa działała dalej. Jesienią planowany jest jubileuszowy koncert z okazji 20-lecia zespołu. Mam nadzieję, że uda się również powrócić do pięknej tradycji koncertów świątecznych. A tymczasem razem z Pawłem Gruzłą przygotowujemy dla Telewizji Katowice relacje z tych wydarzeń na okres Wielkanocy. ■

fot. Anna Kozłowiejska



fot. Anna Kozłowiejska

„Doskonały kancjonał polski” z 1673 roku

JAN MALICKI

Wędrujący po Europie, w przededniu okrutnej wojny trzydziestoletniej, Marton Csombor opisywał Śląsk i przyległe doń Łużyce jako miejsce szczególne, gdzie znajdować się miały nawet *Pola Elizejskie*, czyli *miejsce gdzie dusze tych, co dobrze żyli, weselą się, oddają się przechadzkom i zabawom, wszystko to w wiekuistej czyniąc radości*. Opisywał też społeczność mieszkającą wśród lasów, sadów pełnych owoców i rozległych pól z bujnym zbożem. *Lud jest tu łagodnego usposobienia, spokojny, umiarkowany i cichy, skory do wielkich czynów. Ubiory po części takie jak u Niemców, po części jak u Polaków*. Opisuje też śląskie miasta: Wrocław, sławny z pięknych budowli, schlundnych ulic, kupieckich bogactw; Nysę – siedzibę biskupią; Brzeg – znany dzięki soli. A Kochanowski by dodał: i wołów pędzonych z Polski. I jak niemal każdy człowiek tamtych czasów zwracał też uwagę na religię: *Wiara panuje tam głównie luteraniska. W wielu jednakowoż miejscach mieszkają kalwiniści i papiści*. Swoją wólcę kończył niemal u granic Rzeczypospolitej. Zawędrował do Bytomia. Pisze: *Srogiej doznaliśmy tam trwogi, albowiem w mieście stało wojsko wysłane przez króla polskiego cesarzowi na pomoc w walce przeciwko Czechom. Żołdacy najróżniejszych dopuszczali się bezceństw, pijatyk i lubieżności. Zabijali się wzajemnie*.

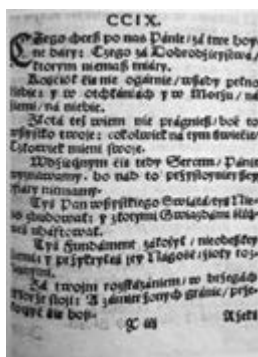
Tak więc sielankowe oblicze Śląska za sprawą Lisowczyków, nieregularnych oddziałów utworzonych podczas wojny moskiewskiej, rozpadło się Csomborowi w proch. Niczym Andersenowe lustro rozsypany świat pokoju, przynosząc ze sobą jak zawsze tragedie ludzkie, zgłiszcza i ruinę całego śląskiego Edenu. Z miast, które poznał, jedynie Wrocław i Brzeg nie zostały ograbione i zrujnowane. One też odegrały szczególną rolę w powstaniu kancjonału.

Jest rok 1648. Podpisany właśnie pokój westfalski wraz z paragrafem 38 gwarantował *pełną wolność religijną księżstwu, w których władzę sprawowali samodzielnie ewangelicy książęta, to znaczy księstwu brzeskiemu, legnickiemu oleśnickiemu oraz miastu Wrocław (G. Wąs, w: Dzieje Śląska..., s. 172)*. Do pewnego czasu będą to miejsca bezpieczne w szerokim nurcie rekatalizacji Śląska. Jednak historyk kultury spoglądający na czasy okalające druk *Doskonałego kancjonału polskiego*, a więc lata sześćdziesiąte, siedemdziesiąte i osiemdziesiąte XVII stulecia, zwraca uwagę nie tylko na uwarunkowania prowadzące do wypierania jednej grupy wyznaniowej przez drugą; istnienia ogromnych kontrastów między światem elit: tej odchodzącej, której uosobieniem był ostatni brzeski Piast, oraz z tej nadchodzącej, nowych książąt już z nadania katolickiego cesarza. Zwraca też uwagę na konsolidację wokół wartości prymarnych, utrwalających wiarę przodków w „języku domowym”; u nas bądź polskim, bądź niemieckim, bądź czeskim. Co więcej, potrzebę publikowania

ksiąg użytecznych na Śląsku, a nie poza nim. O ile bowiem – piszą autorzy w Przedmowie do „*Doskonałego kancjonału polskiego*” – nie ma kłopotów z dotarciem do edycji wydawanych w Toruniu, Gdańsku, Królewcu, o tyle wiele problemów przysparza interpretacja tekstów pieśni właśnie tu na miejscu. Co prawda *lud popolity i ubogi po wsiach się tulący* nawet jeśli słuchając pieśni, *jako tako się nauczył, choć ich nie rozumiał, albo też kiedy jemu klecha nieuk słowa, rym i sens pofalszowawszy przepisał i tak prostak prostaka w większą wprawił nieumiejętność; przetoż wielebne duchowieństwo zabiegając wszelakiemu dalszemu zgorzeniu serdecznie pragnęło widzieć i mieć „Doskonały kancjonał polski”, który by z dawniejszych zebrany i do pisemnych Ducha Św. świadectw a nie mniej do augspurskiej konfesji nieodmieniony stosowany, kosztem małym tak bogatszeemu, jako też ubogiemu mógł być pożytecznym, aby na potym wszystkie Zbory ewanielickie jednomyślnie między sobą według Krystusa Jezusa jednomyślnie jedynymi usty wysławiały Boga i Ojca Pana naszego Jezusa Krystusa*.

Tak też się stało. Dokładnie 6 czerwca 1673 roku pięciu pastorów z wrocławskich kościołów: św. Elżbiety, św. Marii Magdaleny i św. Krzysztofa zakończyło pracę nad *Doskonałym kancjonałem polskim*. Oto oni: Johannes Acoluthus, Johannes Herden, Carolus Fridericus Güssau, Matthaeus Klippel i Adamus Regius. Manuskrypt przekazali do brzeskiej drukarni Krzysztofa Tschorna, kierowanej przezeń w latach 1646–1673. Oficyna ta miała ugruntowaną pozycję.

Tutaj wszak, dodajmy na marginesie, wydrukowane zostało między innymi jedno z najważniejszych dzieł europejskiej humanistyki *Orbis sensualium pictus* Jana Amosa Komenskigo. Dzieło to uchodzi za oryginalny, a powszechnie akceptowany wzór podręcznika do nauki języków obcych. Brzeska edycja opublikowana została na sześć lat przed drukiem *Doskonałego kancjonału polskiego* i to w trzech językach: po polsku, po łacinie i po francusku. To nobilituje brzeską oficynę, wszak Jan Amos Komenski był najwybitniejszym barokowym uczonym i pisarzem czeskim. On także zresztą opublikował w 1659 roku kancjonał, w którym zebrał pieśni Jednoty Brackiej, dodał też własne tek-



sty i dołączył pieśń Jana Kochanowskiego *Czego chcesz od nas, Panie?* To jednak nie jest zaskoczeniem, gdyż we wszystkich edycjach kancjonałów polskich i słowiańskich zawsze się ona w nich znajduje. W *Doskonałym kancjonałem polskim* jako pieśń CCIX, wśród *Pieśni o uczynkach opatrności i dobrodziejstwach Bożych*. Dodajmy przy okazji, że autorzy kancjonału brzeskiego przejęli też

aż dwie trzecie psalmów tłumaczonych przez czarnoleskiego poeetę; dokładnie 92 – ze 150.

Nie czas na filologiczną analizę tego pierwszego, fundamentalnego dla śląskiej duchowości ewangelickiej, przeszłego już monumentu, liczącego 647 pieśni, *podług sznuru wiary naszej w słowa ułożone*. Bo też jego znaczenie znacznie przewyższa ograniczenia religijne, liturgiczne, osobiste zakreślone własnymi przeżyciami. To dzieło ma też ogromne znaczenie kulturowe. Stworzyło bowiem śląską, a zarazem polską – tradycję kancjonałową, której etapy wyznaczają: Chrystian Rohrman (1672–1731) i jego *Kancjonał zamykający w sobie pieśni chrześcijańskie* („jest to uzupełnione wydanie kancjonału z 1673 r.” – pisze autor), Jerzy Schlag (1695–1764) i jego *Kancjonał odnowiony i pomnożony, Kancjonał... międzyborski* z lat 80. XVII wieku, czy Jan Chrystian Bockshammer (1733–1804), którego zbiór pieśni doczekał się do połowy XIX wieku aż 20. edycji, czy wreszcie ks. Jerzy Heczko, którego *Kancjonał czyli śpiewnik dla chrześcijan ewangelickich* w roku 1899 miał już 11 edycji. Powtórzmy: owe kontynuacje, nawiązania i lokalne uaktualnienia ukazują nie tylko ciągłość i trwałość zasobu pieśniowego, jego użyteczność w codziennym życiu chrześcijanina, ale i w wymiarze społecznym doskonałą i uszlachetniającą język. Język macierzyński, jak pisał ks. Jerzy Heczko. ■

Doskonały Kancjonał Polski zawierający w sobie pieśni, hymny i psalmy, Wydawnictwo Naukowe, „Śląsk”, Katowice 2018, s. 291 + 1 nrb. Monumenta Śląskiej Reformacji. Kolekcja Staropolska. Red. Jan Malicki. Współwydawca Biblioteka Śląska. Oprac.: Jan Malicki, Tadeusz Sierny.

NOTATNIK KULTURALNY



Redaguje:
Anna Gaitoer

Piknik „łączy nas coś więcej niż barwy” zorganizowany na stadionie śląskim

KATOWICE. Dżem, Golec Orkiestra, GOORAL, De Mono, Enej oraz Marcin Wyrostek, Ewelina Lisowska, Arek Kłusowski, a także Yulie Belei, Kasia Moś, Adam Nowak Raz Dwa Trzy i Chemia – to gwiazdy, które wystąpiły w pikniku „Łączy nas coś więcej niż barwy” zorganizowanego na Stadionie Śląskim, a będącym wyrazem solidarności z pogrążonym w wojnie narodem ukraińskim. Patronat honorowy nad wydarzeniem sprawował marszałek województwa Jakub Chelstowski. Piknik cieszył się dużą frekwencją. W ramach imprezy trwały zbiórki charytatywne, z których dochód wspomóżę uciekających do Polski obywateli Ukrainy. Można było m. in. wziąć także udział w biegu charytatywnym. Jako pierwszy na scenie pojawił się zespół Enej. Nad całością zbiórki i dostarczeniem najważniejszych rzeczy ofiarom wojny czuwało Stowarzyszenie „Pokolenie” oraz Fundacja Onkologiczna „Rakiety”. Także w trakcie Pikniku Wsparcia będzie prowadzona była zbiórka rzeczowa i pieniężna dla obywateli Ukrainy.

Szczepan Twardoch laureatem Nagrody im. Kazimierza Kutza

KATOWICE. Szczepan Twardoch otrzymał w środę Nagrodę im. Kazimierza Kutza – przyznaną od zeszłego roku osobom łączącym artystyczną aktywność ze społecznym zaangażowaniem. Nagrodę, przyznaną przez Teatr Śląski, Miasto Katowice i Uniwersytet Śląski, wręczono w 93. urodziny jej patrona. W kapitule przyznającej nagrodę doszło do rozłamu – przeciwni uhonorowaniu Twardocha byli: Jerzy Illg i Iwona Świętochowska-Kutz, czyli żona zmarłego reżysera, którego imię nosi wyróżnienie.

Nominowani byli również fotografka i pisarka Joanna Hełander, architekt Tomasz Konior, reżyser Wojciech Smarzowski oraz pisarz Zbigniew Rokita.

Nagroda promuje artystów, którzy łączą działalność artystyczną ze społecznym zaangażowaniem, prezentując postawę bliską jej patronowi – zmarłemu ponad trzy lata temu wybitnemu reżyserowi i promotorowi Śląska. Nagroda dotyczy działalności prowadzonej w nieodległej przeszłości.

Laureat otrzymuje statuetkę zaprojektowaną przez Erwina Sówkę oraz 50 tys. zł – ufundowane przez samorząd Katowic.

Pierwszą laureatką nagrody została rok temu krakowska aktorka i działaczka społeczna, założycielka fundacji „Mimo wszystko” Anna Dymna. Nominowanych w tym roku wyłoniła 16-osobowa kapituła, w skład której wchodzi też m.in.

prezydent Katowic Marcin Krupa, dyrektor Teatru Śląskiego Robert Talarczyk, wdowa po Kazimierzu Kutzu Iwona Świętochowska-Kutz i aktor Olgierd Łukaszewicz.

Ambasador Śląska

KATOWICE. W tym roku po raz pierwszy przyznano nagrodę honorową Ambasadora Śląska, przewidzianą w regulaminie dla osób, które w szczególny sposób wpisują się w działania na rzecz regionu. Nagrodę tę otrzymał prof. Tadeusz Sławek – literaturoznawca, filozof, poeta, b. rektor Uniwersytetu Śląskiego, samorządowiec, a także mieszkaniec Cisownicy. Wyróżnienie przyznane zostało po raz pierwszy podczas gali wręczenia Nagrody im. Kazimierza Kutza.

Nikiszowiec zasiedlony

KATOWICE. Katowickie osiedle Nowy Nikiszowiec z 513 mieszkaniami, zbudowanymi w ramach rządowego programu mieszkaniowego, zasiedlone jest już w ponad 90 proc.

Ponad 30 proc. katowiczian na osiedle przeprowadziło się ze ścisłego centrum miasta i jego okolic. Przeszło jedna trzecia najemców to osoby, które mieszkały poza Katowicami, w woj. śląskim. Najwięcej z nich przeprowadziło się z Mysłowic i Sosnowca, ale są też rodziny z Dąbrowy Górniczej, Chorzowa, Bytomia, Mikołowa czy Siemianowic Śląskich. Nowy Nikiszowiec przyciągnął również najemców z Warszawy, Lublina, Olsztyna czy Przemysła.

Nowy Nikiszowiec przyciągnął również najemców z Warszawy, Lublina, Olsztyna czy Przemysła.

Osiedle Nowy Nikiszowiec jest objęte dopłatami do czynszów w ramach programu Mieszkanie na Start, który realizuje Bank Gospodarstwa Krajowego. Z początkiem lutego br. do otrzymania tego rodzaju wsparcia uprawniona była ponad połowa najemców. Średnia miesięczna dopłata w katowickiej inwestycji wynosi 340 zł.

Rozpoczęta ponad trzy lata temu inwestycja jest w Polsce największą powstającą w ramach rynkowej części rządowego programu Mieszkanie Plus. Mieści się w pobliżu jednego z najbardziej rozpoznawalnych zabytkowych osiedli robotniczych w kraju – ponad 100-letniego Nikiszowca, na blisko 5,5-hektarowej działce przy ul. Górniczego Dorobku.

W Nowym Nikiszowcu dostępne były mieszkania różnej wielkości: 236 lokali dwupokojowych o metrażu 41-52 m kw., 196 trzypokojowych o powierzchni 52-80 m kw. oraz 81 mieszkań czteropokojowych liczących 70-95 m kw. Na osiedlu jest też 14 lokali handlowo-usługowych o powierzchni od 32-219 m kw.

Architekci zaproponowali charakterystyczny ceglasty kolor elewacji i rozrysowali niskie, czterokondygnacyjne budynki tak, by tworzyły trzy kwartały z wewnętrznymi zielonymi dziedzińcami. Kolorystyka elewacji odnosi się do nikiszowskich tradycji. Inwestycja była nominowana do nagrody im. Miesa van der Rohe.

Szokujące prognozy – na Śląsku prawdziwy dramat

ŚLĄSK. Główny Urząd Statystyczny opublikował raport analityczny „Rozwój regionalny Polski”. Wynika z niego, że w 2020 r. liczba ludności w Polsce liczyła 38,35 mln osób. W latach 2011–2020 liczba ludności Polski zmniejszyła się o 273,4 tys., w tym ponad 40 proc. tej wartości stanowił ubytek odnotowany w 2020 r.

Na podstawie tendencji z ostatnich lat (nie uwzględniających kryzysu migracyjnego związanego z wojną na Ukrainie – przyp. red.) GUS przedstawił też prognozy na lata 2025–2050. Jak wynika z danych GUS, największy ubytek liczby ludności prognozowany jest w śląskim (o ok. 690 tys.), łódzkim (o ok. 375 tys.) i lubelskim (o ok. 340 tys.). W opolskim przewidywany jest największy ubytek w stosunku do liczby ludności – ma on przekroczyć 20 proc. W 2050 r. liczba ludności w opolskim ma wynieść ok. 745 tys. (ok. 935 tys. w 2025 r.).

Ujemny przyrost naturalny w latach 2020–2025 przewidywany jest we wszystkich województwach, w tym najniższe wartości w całym okresie dotyczyć mają śląskiego, gdzie od 2029 r. coroczny ubytek naturalny ludności przekracza ma 20 tys.

Szacuje się, że w 2050 r. liczba ludności w wieku produkcyjnym w Polsce wyniesie 19 mln (wobec 23,1 mln w 2025 r.). Zmniejszenie liczby ludności w wieku produkcyjnym obserwowane ma być we wszystkich regionach, poza warszawskim stołecznym, gdzie prognozuje się nieznaczny wzrost (o ok. 4,0 tys.).

Największą dynamiką ubytku ludności w wieku produkcyjnym dotyczyć ma opolskiego, świętokrzyskiego, lubelskiego, podlaskiego i śląskiego (ubytek od ok. 30 proc. do blisko 25 proc.).

Największą dynamikę wzrostu ludności w wieku produkcyjnym przewiduje się dla warszawskiego stołecznego, małopolskiego i podkarpackiego (o blisko 35 proc. w każdym z nich); najmniejszą – w łódzkim i śląskim (poniżej 10% w obu z nich). Szacunki GUS wskazują, że w 2050 r. liczba ludności w wieku przedprodukcyjnym wyniesie niespełna 5,0 mln wobec 6,5 mln w 2025 r.

Ubytek ludności w najmłodszej ekonomicznej grupie wieku spodziewany jest we wszystkich regionach, w tym największy – w śląskim (o ok. 195 tys.), wielkopolskim (o ok. 130 tys.) oraz małopolskim i mazowieckim regionalnym (po ok. 120 tys.), a najmniejszy – w warszawskim stołecznym (o ok. 35 tys.).

Najwyższy budynek w śląskim ma pozwolenie na użytkowanie KATOWICE. Wybudowany w ciągu niespełna 2,5 roku w pobliżu katowickiego Spodka 133 metrowy biurowiec KTW II uzyskał pozwolenie na użytkowanie – poinformował w piątek inwestor, firma TDJ Estate. Pierwszy najemca, PwC Service Delivery Center, wprowadzi się do budynku na początku 2023 r. i zajmie dziewięć pięter. Zlokalizowany w bezpośrednim sąsiedztwie Spodka i katowickiej Strefy Kultury biurowiec KTW II ma 133 metry wysokości, 31 kondygnacji nadziemnych i trzy podziemne. To najwyższy budynek w Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii. Obecnie trwają przygotowania do rozpoczęcia prac związanych z wykańczaniem powierzchni najmu. Wydanie pozwolenia na użytkowanie poprzedziło wiele kontroli i ekspertyz. Zgodność wykonania obiektu z projektem budowlanym potwierdziły pozytywne stanowiska m.in. straży pożarnej i sanepidu. Łącznie kompleks dwóch wież KTW (pierwszy, 66-metrowy obiekt został oddany do użytku w czerwcu 2018 r.) dostarczy na rynek ok. 58 tys. m kw. powierzchni biurowej oraz 3,7 tys. m kw. powierzchni handlowej. KTW II będzie m.in. siedzibą Centrum Serwisowo-Badawczego LKQ Europe oraz firmy PwC Service Delivery Center.

Procedura przetargowa na realizację KTW II rozpoczęła się w kwietniu 2019 r. Rok później na gotowej konstrukcji rozpoczął się montaż elewacji, którą tworzy 4,4 tys. szklanych paneli. W końcu lutego ub. roku biurowiec osiągnął najwyższy punkt konstrukcyjny. Do budowy zużyto 22 tys. m sześć. betonu i 3,5 tys. ton stali.

Biurowce KTW powstały w miejscu wyburzonego wcześniej budynku, będącego dawną siedzibą Śląskiej Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych, zaprojektowanego przez znaną architekta Jerzego Gottfrieda.

Katowicka Agencja Wydawnicza

KATOWICE. Katowicka Agencja Wydawnicza, czyli nowa miejska spółka, która ma się zająć promocją innych katowickich spółek i jednostek

Katowicka Agencja Wydawnicza została powołana kilka miesięcy temu jako spółka córka Katowickiej Infrastruktury Wodociągowo-Kanalizacyjnej. Prezesem został **Jacek Szymik-Kozaczko**, rzecznik Uniwersytetu Śląskiego, który w ostatnich wyborach samorządowych był pełnomocnikiem

komitetu wyborczego Forum Samorządowego i Marcin Krupa. Niedawno został też członkiem rady nadzorczej Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej. Dyrektorem ds. PR w KAW został radny **Adam Skowron**, który do niedawna pracował w Katowickim Towarzystwie Budownictwa Społecznego. W spółce zatrudniony został też **Dawid Zapala**, który był kierownikiem biura prezydenta Marcina Krupy, a wcześniej jego asystentem. W radzie nadzorczej KAW znaleźli się wiceprezydent **Waldemar Bojarun**, dyrektor MO-SIR **Daniel Muc** oraz prezes KIWK **Andrzej Hołda**. KAW ma obsługiwać PR-em m. in.: KTBS, Katowickie Wodociągi, PKM, Szpital Murcki, KIWK oraz MPGK, Zakład Zielni Miejskiej, MOSiR, KZGM i MZUiM. **Katowicka Agencja Wydawnicza ma też wydawać stronę internetową katowicach.eu. W tym celu spółka zatrudniła kilku byłych dziennikarzy z lokalnych mediów.**

Rada Instytutu Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfanteo KATOWICE. Od 2.03.2022 Radę Programową IMP im. WK tworzą: Antoni Barciak, Maria Czarnecka, Zdzisław Krasnodębski, Grzegorz Kucharczyk, Adam Lityński, Jan Malicki, Stanisław Niciejka, Piotr Ornowski, Zbigniew Przedpełski, Jacek Siebel, Jan Żaryn.

Nowy Dyrektor IMP im. Wojciecha Korfanteo KATOWICE. Po śmierci w dn. 24.02.2022 prof. dr hab. Zygmunta Woźniczki Zarząd Województwa powierzył się Panu Łukaszowi Rosickiemu pełnienie obowiązków dyrektora Instytutu Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfanteo od dnia 25 lutego 2022 r. do czasu powołania dyrektora tej instytucji, jednak na okres nie dłuższy niż rok. Ustalono wynagrodzenie Pana Łukasza Rosickiego w wysokości: wynagrodzenia zasadniczego 9.000 zł, dodatku funkcyjnego w wysokości 50% wynagrodzenia zasadniczego tj. 4.500 oraz dodatku za wieloletnią pracę – zgodnie z obowiązującymi przepisami i premią – zgodnie z Regulaminem premiowania dyrektorów i zastępców dyrektorów instytucji kultury wpisanych do „Rejestru instytucji kultury, których organizatorem jest Województwo Śląskie”, powoływanych przez Zarząd Województwa Śląskiego.

Personalia CHORZÓW. Wszczęto procedurę związaną z zamiarem powołania Pani Aleksandry Gajewskiej na stanowisko dyrektora Teatru Rozrywki w Chorzowie polegającą na zebraniu wymaganych opinii związków zawodowych oraz stowarzyszeń zawodowych i twórczych właściwych ze względu na rodzaj działalności prowadzonej przez instytucję, a także Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

KATOWICE. Wszczęto procedurę związaną z zamiarem powołania Pana Adama Wesołowskiego na stanowisko dyrektora Filharmonii Śląskiej im. H. M. Góreckiego w Katowicach polegającą na zebraniu wymaganych opinii związków zawodowych oraz stowarzyszeń zawodowych i twórczych właściwych ze względu na rodzaj działalności prowadzonej przez instytucję, a także Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Złote maski KATOWICE. Ustalono, że w roku 2022 nagroda teatralna Złote Maski w województwie śląskim za rok 2021 fundowana będzie z budżetu Województwa Śląskiego w wysokości po 10 000 zł w dziewięciu kategoriach regulaminowych.

Pracownicy instytucji kultury w Bielsku-Białej walczą o podwyżki

BIELSKO-BIAŁA. Teatr Lalek Banialuka, Teatr Polski i Książnica Beskidzka to trzy instytucje, które wspólnie zawiązały sztab protestacyjno-strajkowy. Instytucje walczą o podwyżki, a Urząd Miejski w Bielsku-Białej tłumaczy, że obecnie nie stać go wzrost wynagrodzeń.

KSIĄŻKI NADESŁANE



Tomasz Jedz

Pomyliłem drogi

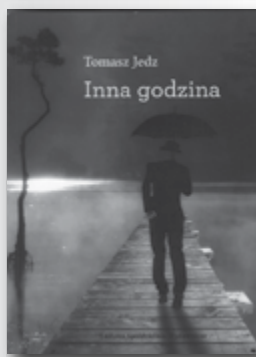
Wydawca: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2021.



Bernard Kopiec, Ludwig Schneider

Architektura sakralna. Dzieła wszystkie

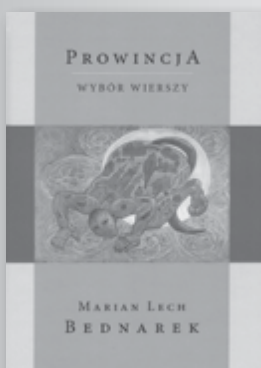
Wydawca: Wydawnictwo Prasa i Książka Grzegorz Grzegorek, Katowice 2021.



Tomasz Jedz

Inna godzina

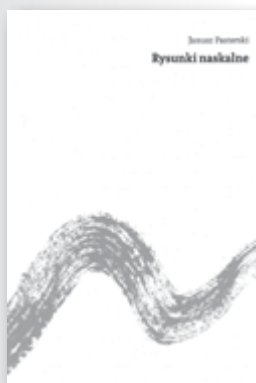
Wydawca: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2021.



Marian Lech Bednarek

Prowincja. Wybór wierszy

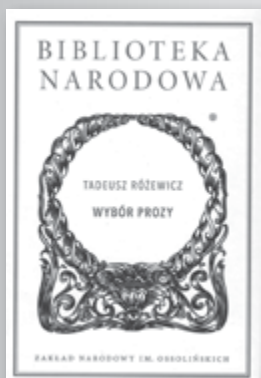
Wydawca: Wydawnictwo Pisarze.pl, Warszawa 2021.



Janusz Pasterski

Rysunki naskalne

Wydawca: Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, Rzeszów 2021.



Tadeusz Różewicz

Wybór prozy

Wydawca: Biblioteka Narodowa, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 2021.



Nim wybuchło pierwsze powstanie śląskie 1919 roku. Teksty źródłowe do genezy i początków konspiracji wojskowej.

Do druku przygotował Edward Długajczyk

Wydawcy: „Śląsk” Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Instytut Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfantego, Katowice, 2021.



Janina Barbara Sokołowska

Nikt

Wydawca: Mamiko Apolonia Maliszewska, Nowa Ruda 2021.



Marcin Gacek

Ukąszenie Monomacha. Konflikt między Rzeczpospolitą i Moskwą w latach 1648–1667. Studium socjologiczne z pogranicza wojny, literatury i polityki

Wydawca: „Śląsk” Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice, 2021.

Muzyka to emocje. My dajemy im nowoczesną i komfortową przestrzeń. Otwieramy swoje drzwi dla dźwięków z całego świata – powiedzieli wysłannikowi „Śląska” gospodarze niezwyklego obiektu, CAVATINA HALL w Bielsku-Białej. Jest to pierwsza w Polsce prywatna, duża sala koncertowa.

Oddany w lutym do użytku 6-kondygnacyjny gmach (pięć pięter nad ziemią i jedno podziemne) przyciąga z daleka uwagę zarówno bielszczan, jak i gości. Całość ma niesamowity kształt kosmicznej elipsoidy, obudowanej efektownie innymi bryłami, wykraczającymi poza banalny schemat stereotypowych graniasłupów. To supernowoczesna budowla, łącząca funkcje amfiteatralnego salonu muzycznego z niecodziennym biurowcem.

DŹWIĘKOWA PERFEKCJA

Przeszklona sala koncertowa o powierzchni 2020 metrów kwadratowych i kubaturze 10 tysięcy metrów sześciennych wyróżnia się szczególnymi właściwościami fizykalnymi. Zaprojektowano ją w taki sposób, by każdy gatunek muzyki rozbrzmiewał perfekcyjnie w całym jej wnętrzu. Gipsowe ścianki, obłożone specjalnymi wykładzinami dębowymi, zapewniają rewelacyjną akustykę, o czym można się było przekonać podczas zorganizowanych w tej sali, premierowych koncertów zimowych.

W kosmicznym gmachu utworzono ponadto nowoczesne studio nagrań, umożliwiające artystom rejestrację płyt z ich utworami, w warunkach odpowiadających wymogom XXI wieku. To cenna forma promocji sztuki muzycznej.

CAVATINA HALL

Kosmiczna architektura

ZBIGNIEW LUBOWSKI

Cavatina Hall jest obiektem należącym do grupy kapitałowej Cavatina Holding SA z siedzibą w Krakowie. Stanowi prywatną własność bielszczanina Michała Dziudy. Znajduje się u zbiegu ulic Dworkowej i Sempołowskiej, w odległości ok. 8 minut spacerowego marszu od stacji kolejowej Bielsko-Biała Lipnik. Ze względów czysto praktycznych należy jeszcze dodać, że czas dojazdu samochodem z Katowic wynosi 70 minut, a z Krakowa – 120 minut. Zmotoryzowani mogą skorzystać z trzech parkingów usytuowanych w pobliżu koncertowej areny. Jeden z nich (przy ul. Broniewskiego) jest bezpłatny, a na dwóch pozostałych (przy Dmowskiego i Rychlińskiego) są pobierane opłaty od poniedziałku do piątku w godz. 8-17.

UNIKATOWY SYSTEM NAGŁOŚNIENIA

Budowa wielofunkcyjnego obiektu rozpoczęła się w sierpniu 2019 roku. Trwała z przerwami ponad dwa lata (okres dokuczliwej pandemii). Inwestycję realizowano w miejscu dawnych zabudowań fabrycznych bielskiego „Polsportu”,

producenta sprzętu narciarskiego. Wykonawcami zadania były specjalistyczne firmy budowlane z Krakowa i Warszawy. Niełatwe technicznie przedsięwzięcie okazało się dość kosztowne. Obecnie nie da się jednak ustalić precyzyjnej wartości całej inwestycji. Jedno jest pewne: prywatna, elipsoidalna sala koncertowa stanowi architektoniczny i muzyczny atut Bielska-Białej.

Z KATOWIC DO BIELSKA

– Wyjątkową jakość dźwięku gwarantuje nowoczesny system nagłośnienia L-ISA (L-Acoustics). W amfiteatralnej sali o maksymalnej wysokości 14 m zamontowano wiszące i stojące źródła dźwięku, złożone z ponad 100 głośników różnej wielkości, wśród których nie brakuje niskotonowych i tzw. efektowych. Słyszalność jest znakomita w każdym punkcie widowni – wyjaśnia Arkadiusz Neugebauer, menedżer ds. technicznych.

Wcześniej, co bardzo ciekawe, pełnił on podobną funkcję w jednostce



Cavatina Hall – architektoniczny atut Bielska-Białej, fot. Robert Zembrzycki

zarządzającej katowicką salą koncertową Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia. Swoje wieloletnie doświadczenia zawodowe wykorzystuje teraz z powodzeniem w nowej roli, dojeżdżając codziennie do pracy z Katowic do Bielska-Białej.

Dostrzega on pewne techniczne podobieństwa wyposażenia obu obiektów, ale z wyraźnym zastrzeżeniem, że Cavatina Hall reprezentuje najnowsze rozwiązania światowe w dziedzinie nagłośnienia sal koncertowych. Ogromną różnicę widać jednak przede wszystkim w zewnętrznym wyglądzie architektonicznym obu budowli – w Katowicach jest to zwykły prostopadłościan, a w Bielsku – ekscytująca kopuła o niepowtarzalnym wyglądzie.

Przy okazji warto odnotować, że nowatorskie obiekty architektoniczne o charakterze „miastotwórczym” nie wszędzie na Śląsku przybierają oryginalny kształt. Bielsko-Biała jawi się na tym tle w interesującym świetle. Identyfikacja wizualna miast nie jest należycie doceniana w naszym regionie. Prawda jest smutna – liczne miasta śląskie po prostu nie mają niczego nowego do pokazania i poprzestają na schematycznym eksponowaniu zabytków gotyckiej czy barokowej architektury odziedziczonej po przodkach.

PAMIĘĆ O ERZE SWINGU

W ostatnią niedzielę lutego nowoczesna Cavatina Hall – z tysiącem miejsc dla publiczności – rozbrzmiewała dźwiękami jazzu. W pierwszej kolejności wystąpiła formacja pod nazwą „Alchemik Big Band” pod kierunkiem saksofonisty Grzegorza Piotrowskiego. Zaprezentowała klasyczne standardy jazzowe z lat trzydziestych i czterdziestych XX wieku. Widzowie mieli okazję posłuchać m.in. historycznych utworów z repertuaru Elli Fitzgerald czy Franka Sinatry, w aranżacjach nasuwających



Amfiteatralna sala koncertowa wyróżnia się znakomitą akustyką, fot. Robert Zembrzycki

natychmiastowe skojarzenia z czarowną erą swingu.

Uwagę zgromadzonych w sali melomanów zwróciła wokalistka Ada Kiepusza, której interpretacje jazzowych standardów wpadały dosłownie w ucho. A w składzie big-bandu wyróżnił się świetny trębacz Ignacy Wendt, syn sławnego saksofonisty Adama Wendta, współtwórcy sukcesów jazz-rockowej grupy Walk Away. Przypomnieć tutaj warto, że przed 25 laty istniał w naszym kraju zespół jazzowy Alchemik, którego założycielami – obok Grzegorza Piotrowskiego – byli bracia Golcowie (Łukasz i Paweł), późniejsi liderzy popularnej formacji Golec uOrkiestra, prezentującej repertuar z pogranicza pop-music, rock'n'rolla, jazzu i twórczości folklorystycznej.

PACYFISTYCZNE PRZESŁANIE KONCERTU

Absolutną gwiazdą zimowego wieczoru była Ewa Bem, nazywana nie bez powodu „pierwszą damą polskiego jazzu”. Nigdy jednak nie stroniła od wykonywania piosenek z gatunku „pop-music” oraz utworów bluesowych.

Od lat słynie z niepowtarzalnego, ciepłego głosu i scenicznej charyzmy. Należy do grona najwybitniejszych polskich piosenkarek. Swoją ogólnokrajową karierę estradową rozpoczęła w 1970 roku od zespołu Bemibek, który założyła wspólnie ze swoim bratem Aleksandrem.

Była wielokrotnie wyróżniana i nagradzana („Jazz nad Odrą”, a także festiwalu polskiej piosenki w Opolu). Przed 21 laty otrzymała prestiżową statuetkę Fryderyka w kategorii „Wokalistka roku”. W uznaniu jej dokonań artystycznych została uhonorowana Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze – Gloria Artis” (2008).

W Bielsku towarzyszył jej z powodzeniem Alchemik Big Band. Zaśpiewała niezapomniane piosenki, m.in.: *Żyj kolorowo*, *Wysłałam za męża, zaraz wracam*, *Kolega maj* („i znów księżniczka Anna spadła z konia”), *Sprzedaj mnie wiatrowi*, *Podaruj mi trochę słońca*. Widzowie nagradzali artystkę gorącymi brawami na stojąco. Ewa Bem bisowała na życzenie zachwyconych słuchaczy. Przypomniała utwór sprzed 42 lat – *Moje serce to jest muzyk* z tekstem Wojciecha Młynarskiego.

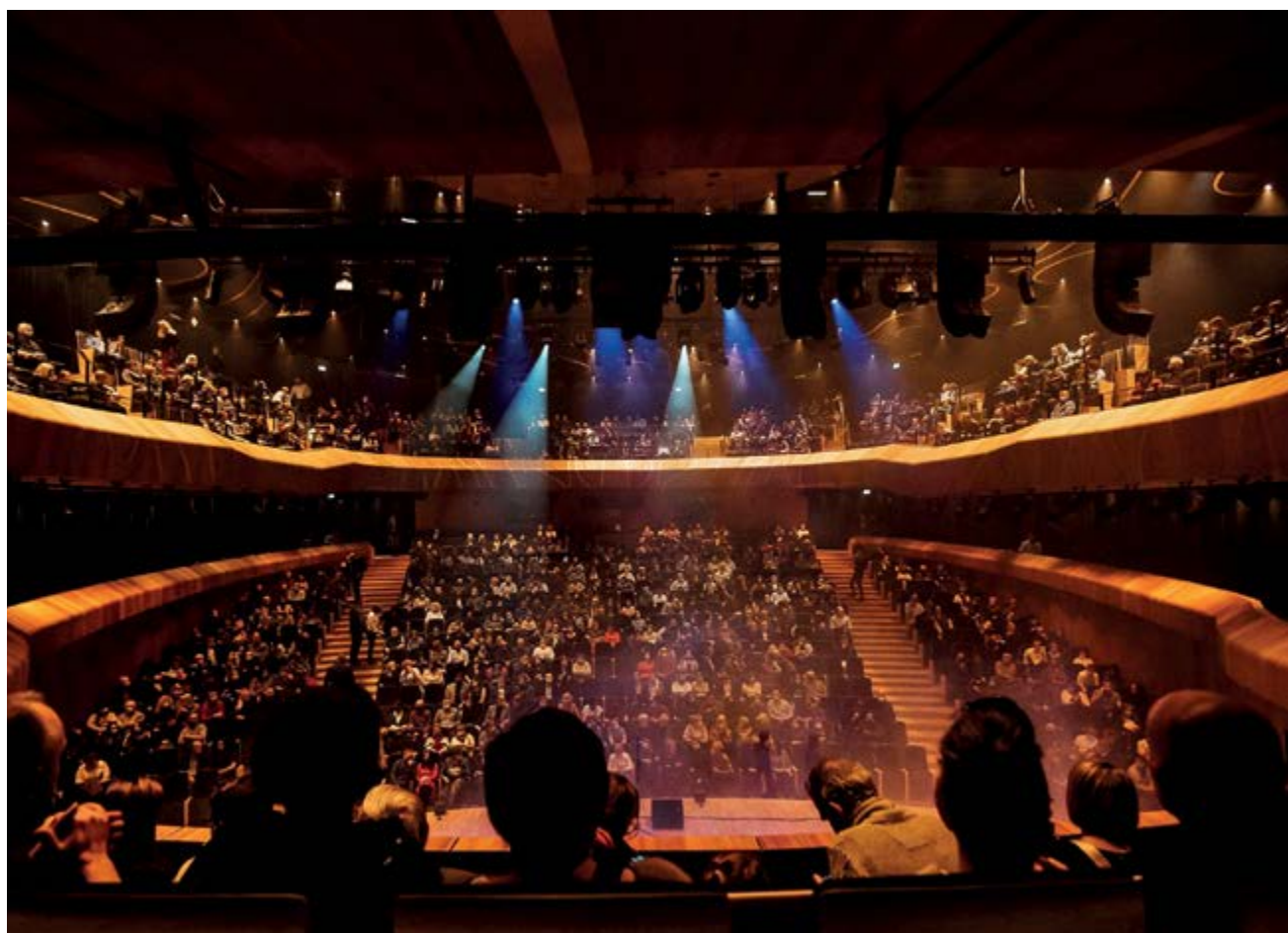
Poprzedziła tę piosenkę emocjonalnym komentarzem, nawiązującym bezpośrednio do pacyfistycznego hasła ruchu hippisowskiego: „**Make love, not war**”. Publiczność usłyszała z jej ust słowa o oszałamiającym dyktatorze, który wszczął przerażającą wojnę przeciwko Ukrainie. Utwór, skomponowany niegdyś przez Jacka Mikułę, nucono wspólnie z Ewą Bem. Jej występ w ekskluzywnej sali koncertowej u podnóża Beskidów spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem bielskich widzów. Równie ciepło oklaskiwano muzyków z towarzyszącego jej big-bandu. Instrumentaliści objawili w Bielsku znakomity kunszt muzyczny, określane przez melomanów często mianem „jazzowego feelingu”. ■



Ewa Bem – pierwsza dama polskiego jazzu, fot. Robert Zembrzycki



Fantazyjna bryła budowli Cavatina Hall u podnóża Beskidów wpisuje się malowniczo w pejzaż Bielska-Białej, fot. Robert Zembrzycki



W wewnętrznej przestrzeni sali koncertowej, obdarzonej świetną akustyką, muzyka rozbrzmiewa perfekcyjnie, fot. Robert Zembrzycki



Rainy evening * Ilustracja komputerowa * Imac 1440 x 2560 px * 2021

Autor: Yevhenii Liukh